wolnelektury.pl

Bianka Rolando

Biała książka

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

BIANKA ROLANDO

Biała książka

[Motto]

Dlatego pewien pogański mistrz powiada:

To, w czym poznajemy lub wyrażamy Pierwszą Przyczynę,
bardziej jest nami niż Pierwszą Przyczyną,
ta bowiem wznosi się ponad wszelkie słowa i rozumienie.

Mistrz Eckhart

Niebo

Pieśń zerowa. Usprawiedliwienie

Niech zaczną się tajemne i skryte mruczanki
z witaminami, z minerałami, z kleikiem ryżowym
dla ciebie, pachnący mlekiem cielaku
byś był jeszcze bardziej syty niż zwykle
Obiecuję nie stać na paluszkach u nóg
nie dotykać czupryną wielkiej kazalnicy
Jej mroczne sapanie słychać już z daleka
Wszyscy mają podniesione wysoko oczy
dostrzegają rozwiązania sklepień żebrowych
Pani w drugiej ławce popuszcza mocz
stary niedźwiedź mocno śpi, my się go boimy
Oto wschodzi nowa gwiazda na Południu
jej ciemność oblewa mnie lukrem
skleja moje ruchy, czyni je monumentalnymi
Pani ortodontka ostrzegała mnie przed słowami
które psują od swej słodyczy zdrowe zęby
Moje końskie uzębienie prawidłowo spoczywa
w smyczy z nierdzewnego drutu, pociągnij dalej
pogryzę swój język do mięśnia, do anatomii
Zostanę przysypana magicznym proszkiem
bym mogła skryć swe bliki i odbicia od ciebie
gruba warstwa niech skryje moją głowę
niczym pokrywa śniegowa będzie ciężka
niespodziewanie wywoła katastrofy konstrukcyjne
Oby ich ogrom przeraził ekipy budowlane

zastanawiające się nad tym, jak temu zapobiegać
Pan majster radzi — szlifierki używamy ostrożnie
by nie ranić jaśminowych i pachnących rąk
Pogłaszcz, no pogłaszcz mnie, no jeszcze boleśniej
Wydrapałam resztki komfortowego naskórka
spod kolan, spod łokci, z szyi, z ramion, z pleców
Drapałam się boleśnie, ale i z bolesną przyjemnością
do czarnej krwi, do białej kości
Czerwone ślady po tych wycieczkach są obecne
Nic nie pomaga, próbowałam alantanu, cukru pudru
nic nie złagodzi tych objawów, żadna tajemna maź
Mimo swej kruchości oraz tendencji do cukrzycy
uczyniłam swe kroki hałaśliwymi i monumentalnymi
Rehabilitacja obślinionej i bezwładnej Bianki
Nie ma już wózka inwalidzkiego, ni pomocnej dłoni
droga jest tylko na oślep
Trudno wymacać jakieś znajome, przyjazne kształty
znaleźć jakąś barierkę

Jestem straszliwie zakudlona, zakundlona
Oczy porasta cierpki zarost zapomnianej
na policzku rośnie warkocz mojej siły Samsona
po moim grzbiecie biegają drogocenne pchły
Weszłam po skrzypiących z delikatności schodach
na stary, zapomniany strych pełen bibelotów
Kiedyś były tak dobrze rozpoznawane z daleka
teraz wszyscy zapomnieli ich przyjemnego widoku
Takie dekoracyjne, takie dodatki do wszystkiego
po prostu świetne się nadają na black garden party
Idę z wypukłą piersią pełną nie mleka, ale stali
przyporządkowaną mi przypadkowo i śpiesznie
przez świat natury, kotów, gruszek, lepkich much
Naturalna odporność wzmacniana przez składniki
w mleku nowej matki o chłodnym spojrzeniu
Nie spodziewaj się ciepłego, rozpoznawalnego
to wszystko dla tych, którzy mają tylko dziąsła
nie potrafią dobrze i prawidłowo przepychać dalej
Moja konstrukcja tak delikatna, wrażliwa
będzie niezniszczalna, wiekuista i trwała
Będą się o nią rozbijać kutry rybackie pełne węgorzy
jak o górę lodową lub nie zanotowaną na mapie rafę
Padlinożerne ryby będą miały zdziwiony wyraz pyska
nad wyraz, nad słowo
Moje podbrzusze miękkie kute jest w niezwykłym stopie
z kowalskim zacietrzewieniem wykuwane w piwnicach
Technologowie z Uniwersytetu w Chicago
nigdy nie dojdą, z jakich składników jest ten stop
mimo licznych badań i wielości papieru do drukarki
będą uśmiechać się niepewnie, spoglądając na siebie
Oto idzie przed wami Bianka, wasza prywatna bielanka
sypie w niezwykłej obfitości czarne kwiaty
z zawieszonym na szyi koszyczkiem
Rozsypuję ich kadzielniczy swąd pod wasze stopy
by ośmielić wasze kroki i uczynić je odtąd innymi

Pieśń pierwsza. Strojne przygotowania

Cierpkie wilcze jagody o kolorze nieprzeniknionym
w mojej rozwartej jamie ustnej niczym perły macicy
turlają się, rozsadzają się przez wewnętrzne ciśnienia
mają niezwykłą moc trucia i atakowania śluzówki
Być może istnieją sanktuaria Matki Bożej z żylakami
od zbyt ciężkich reklamówek reklamujących pustki
gdzie przez pomyłkę komuś śnią się niewłaściwe sny
Przygotowałam się odpowiednio do pisania pieśni
Nocne rzucania kamieniami w zwierzęce skowyty
Stroiłam się, zerkając na małe, schowane lusterko
takie kosmetyczne, takie żeby nikt nie widział
Wkładałam różne wersje ubrań, chcąc robić wrażenie
niebieskie spodnie, czarna bluzka, biały stanik
Nic jednak nie pasowało w mojej garderobie
z radością odkryłam, że wszystkie moje ubrania
są za małe na mnie, co za miła niespodzianka
Stanęłam naga, bardzo narażona przed sobą
Spoglądałam ciekawie, uśmiechałam się cynicznie
wobec siebie, wobec mojego własnego podglądactwa
W moich włosach zaszczepiłam dyskretne sadzonki
byłam bardzo tkliwą ogrodniczką dla moich pasożytów
jak dziwne zwierzę w głębi ciemnych kolorów
z drobnymi żyjątkami narośniętymi na nim
naturalnie, bez dekoratorstwa, bez designu
Tylko niech one zdobią moją niezręczną nagość
Jest wśród nich parę niezwykłych okazów, spójrz
moje słodkie narośla, moje guzy schowane
Ze względu na tę uroczystą, podniosłą okazję
założę tylko dziecięcy śliniaczek, bo będę się ślinić
od dużej ilości słów, nadmiar może mnie pobrudzić
Brudasek będzie opowiadał
Prosto do kąpieli, marsz
Prosto do chloru, marsz
Moja ucieczka przed detergentem zaczyna się
Mogłabym zapuścić sobie długą, gęstą brodę
czesałabym ją, zmieniając codziennie stylistykę
to w prawo, to w lewo
Merdałabym nią jak długim ogonem uznania
starcze doświadczenie zaklęte w końskim włosiu
To naprawdę robi cyrkowe wrażenie
ilu jest chętnych na takie rozwiązanie
Stoją cierpliwie w długiej kolejce, doczekując się
Przenoszą ciężar ciała z jednej nogi na drugą
delektując się rozdawanymi za darmo drinkami
Moja broda pasowałaby stylistycznie do powagi sytuacji
Mój złagodzony wzrok osiadałby na pobliskiej ławce
ze zmęczenia, już nie mogłabym iść dalej, jeszcze
dalej, i jeszcze przejść przez płot, i jeszcze przez ten
dziurawiąc swoje nylonowe rajstopy z przeceny
Więc udaję się na dziką wyprawę do źródeł Amazonki
jako tako dogadam się pewnie z każdym ludem

pogryzą mnie jakieś łacińskie muszki przeszkadzajki
Moją samotną przeprawę zrelacjonuje chrząszcz
Dostanę po buzi od jakiegoś nazistowskiego przybłędy
Wsłuchując się w zwiastujące dźwięki odmętów
maczetą będę ciąć ostro zarośniętą od dawna ścieżkę
Szeleszcząc złowieszczo i delikatnie
ze śliniakiem i ze spinkami we włosach przez las
będę szeptać o Niebie, Piekle, staroświeckim Czyśćcu
Wysoko drażniący środek do czyszczenia toalet
stoi z boku obok niszczącego wszystko proszku
wraz z brudem zginie wszystko
Obsikane dookoła, tylko nie tam
Rozluźnij nozdrza teraz

Pieśń druga. Rebus I

Został mi zadany pewien rebus, nie do rozwiązania
Niestety nigdy nie był ani czytelny, ani oczekiwany
Czy był napisany w języku łacińskim, czy fińskim
a może jakiś tajemny dialekt kretów w czasie nocy?
Rebus ciągle tkwił spalony, w tłuszczu pływając
wbity jak nóż harcerski dla zabawy w ziemię, we śnie
Potykałam się ciągle o niego, przeklinając
jego przypadkową namolność i tępe ostrze
Do tego te obrazki w środku niego, do rozwiązania
Nic nie rozumiałam z ich kształtów, ze znaczeń
mimo że uzbrojona byłam w wiedzę o abstrakcji
Nic nie pomogło mi zbliżyć się do tego, co znałam
One ciągle śledziły, śledziły każde moje drgnienie
śledziły moją wycieczkę do sklepu spożywczego
Nerwowo odwracałam się do tyłu, czując się obserwowana
w poszukiwaniu tajemniczego sprawcy moich niepokojów
Ich nierozpoznawalność i niemożliwość zrozumienia
była niezwykle strojna, kusząca dla znudzonego
a ich powłóczyste treny ciągnęły się, ciągnęły
Świadczyły o ich niezwykłym dostojeństwie i randze
To wszystko zaplątało się w moje krótkie włosy
Jako kobieta muszę się regularnie czesać z pokorą
by wszyscy znali mój jasny i dobry wizerunek
Chciałam się rozczesać, z radością rozpoznać
swoje oblicze w lustrze, ale się już nie rozpoznałam
niestety już nie, na zawsze będę już rozczochrana
Rebus został mi zadany, a rozwiązanie nie może go dotyczyć
już nie ma żadnych gotowych rozwiązań w zestawach
w zestawach z warzywami z plantacji czyśćcowych
Chóry, zastępy krzyczą w odpowiedzi jednocześnie
każda jest inną właściwością, każda jest właściwa
więc posłucham nieuważnie tych wiekuistych stworów
Niech w chórach, bo tak raźniej, niech krzyczą, niech fałszują
Niech zaczerwienią się na widok publiczności
Niech ich gigantyczne płomienne oblicza będą nieśmiałe
schowane za moim mięsistym ramieniem, podziwiajcie

Pieśń trzecia. Oblubieniec na drodze

On ma maślane stopy pełne prochu, pełne maku
Rozpływają się w żarze taniego asfaltu
położonego tu tylko lokalnie, na chwilę
Słyszę, jak stukają jego brokatowe obcasy
Jak wyglądam, czy jestem dostatecznie piękna
czy zauważy mnie w niezwykle ciemnym lesie
Mój speszony wzrok sarenki zza krzaka
Chodź ze mną w bardzo ciemne błądzenie
bez ścieżek, bez górskich szlaków, bez niczego
Stanę tak oniemiała, uderzona jego blaskiem
drażniącym boleśnie nocne spojrzenie
Będę bezbronna, bez żadnej ukrytej kieszeni
pachnąca dzikimi odmętami leśnych dotyków
głaszczą, głaszczą moją dziką skórę
Nadchodzi, a jego wzrok przenika ukrywane
pod paznokciami drobne tajemnice nieczystości
Myśliwy bez nienawiści w oczach, w powiekach
Jego głos słychać z dala, jest przenikliwie cichy
Ze wzruszeniem dopytuje się o mnie u znajomych
pokazując im moje nieaktualne zdjęcie
Już tęskni za szorstkim, za ściernym ciałem
Wszyscy będą go mieli za bezpiecznego szaleńca
Jego zazdrość zawieszona na wieszaku w szatni
Układy współrzędnych, niech on będzie zerem
Teraz jest bardziej X niż Y, później bardziej Y niż X
Gołębie roznoszące tyfus już zwiastują kroki kolosa
Jego naiwne ciało pachnie ciastem drożdżowym
pełnym ciepła, wewnętrznej, radosnej pulchności
Spotyka mnie liżącą swoim różowym języczkiem ranę
Prawdziwe łobuziary łażą cały dzień po drzewach
nie schodzą na ziemię, tylko boleśnie spadają
na kolana, na kolana
Spojrzy na mnie bez pożądania, bez przywiązania
Podejdziemy do siebie w połowie drogi do Miąskowa
Na czarnym podłożu rzeczy wszelkiej pozdrowi mnie
pod naporem tak banalnie niezwykłego gestu rozpadnę się
na kawałki

Pieśń czwarta. Love will tear us apart

Oto efekt pryzmatu, jednak lekcja fizyki
Zjawisko całkowitego wewnętrznego odbicia
pozwala użyć pryzmatu jako idealnego elementu
odbijającego światło, mam kąt wynoszący 62°
kąt między ścianami, gdzie skryłam resztki
Odrobina miłosierdzia ubranego w plastikowe kwiaty
rozszczepiła mnie na kilka barw, na kilka właściwości
już nie mogłabym być tylko jako Bianka
Muszę już chóralnie, oralnie, muszę piszczeć już
w trzech postaciach, w trzech wygodnych zapachach
Stoję na złotym trójnogu przed tobą, żeby się nie potknąć

Jestem teraz jeszcze bardziej zwichrowana niż zwykle
Moje czarne patyczki w konstrukcji koronkowej
połamały nóżki, zresztą mechanik konstrukcji to wie
były za silne przeciążenia na delikatny materiał
Można było się tego spodziewać od samego początku
Z przerażenia tą katastrofą każdy z kolorów uciekł
pośpiesznie chowając swe atrybuty w zarośla
byś nie zauważył, że wszyscy są nadzy i tacy słabi
Stałeś jeszcze przez chwilę, a potem z miną znudzoną
krok za krokiem wracałeś do domu na obiad
pozostawiając mnie tak bardzo inną, pokolorowaną
Mój pierwszy kawałek schował się w norze jako Nieme
czekał on do wieczora, by ruszyć na nocne łowy i ruję
Drugi kawałek znalazł się pod ściółką i przytulał się
uciekał do przygodnych futerek dających ciepło
Trzeci zaś sklecił sobie gniazdo z ostrej trzciny
Po pewnym czasie zostałam wywąchiwaną
Moje tropy znały już wszystkie dzikie zwierzęta
Bianka już nie jestem tu, oto moje trzy ramiona
Tylko dla twojej osobistej pociechy
przedstawiam ci: Bianca, Bruna, Blu

Pieśń piąta. Pierwszy kawałek o najbardziej łagodnych krawędziach

Z powiewem wiatru w przyszerokich spodniach
wielokrotnie rozrywanych w bolesnym kroku
od zbyt długich i tanecznych kroków
z oddechem, którego wszyscy unikają
podśmiechują się ze mnie w autobusie, jestem Blu
Dziewczyny na mój widok mocniej przytulają
swoich przystankowych towarzyszy, drżąc
jak sadzonki pomidorów wspierające swój ciężar
na solidnych patykach, które korygują ich kształt
Dzieci patrzą na moje ciemne oblicze
szukając oczu do rozpoznania twarzy
Chodzę, patrząc się na bezcelowy ruch
Ich mobilność jest absolutnie zbędna
Na dworcach świata mam swoje apartamenty
President Suite z marmurową posadzką
Oddaje mi ona swój zbawienny chłód, spokój
Obdarty jestem z koronek tłumiących oddech i ciało
Drapię się za uchem, spoglądając na wysokie kobiety
w reklamówkach całe życie za 35 złotych z resztą
Jestem cieniem, przybrudzonym krawężnikiem
w którym zbierają się kałuże, mokre odpadki
wsiąkają we mnie swobodnie i lękliwie
Wystraszeni swoją pewnością siebie, uciekają
na drobnych nóżkach, w podziemne przejścia
Szarobura cera uczyniła mnie prawie umarłym
co może się stać z człowiekiem, gdy nie słucha mamy
co może stać się z człowiekiem, gdy nie słucha innych

Moje kroki bujają się w rytmie siarczanych opowieści
Prawdziwie niesamowite, bo oni tak zawsze
moi kompani częstują mnie nimi jak papierosami
Nie mam przeszłości, nie mam ani ojca, ani matki
nie mam licznych sióstr, braci, przyjaciół, wrogów
nie mam kochanek, ani kochanków
nie płaczę, nie szukam pocieszenia
ani łaski, ani litości, ani gniewu, ani ciebie
Nie jestem samowystarczający, ale wystarczający
dlatego jestem nieproszonym dozorcą
komentatorem pięknych, rozproszonych detali
Dostaję grosze od zgarbionych ludzi
dzięki temu co dzień jem czerstwy chleb
piję najtańsze, wiśniowe wino
w plastikowo-kryształowym kielichu uwielbienia
Toczą mnie w środku jakieś nieznane choroby
których objawów ciągle oczekuję
Z pełną świadomością przyjmuję wszystko
Moje ciało tęskni już za rozkładem
Czuję tę piękną i skuteczną presję
tę dyskretną elegancję wycofywania się
w środku przyjęcia

Pieśń szósta. Ośrodek wypoczynkowy z kokosem w logo

Chłodny poranek zaglądał mi ostro w oczy
jego mocne uderzenia to jasna tenisówka
Prosto w głowę pachnącym butem z gumy
W mojej głowie jeszcze vino bianco
w plastikowej paczce, z kraju kwitnącej wiśni
Odkleiłem powieki ważące na oko pół tony
Przeprowadzając sondę, zbierałem na bułki
Tematem sondy był wpływ poezji metafizycznej
wpływ na codzienne życie młodzieży licealnej
Jakaś piękna kobieta o niewyraźnych rysach
podarowała mi coś niezwykłego
w dniu mojej śmierci, amen
Błękitny likier o smaku kokosowym
luksusowa przyjemność, z naruszoną pieczęcią
Siedziała przy mnie, nie mówiąc nic
Spoglądała na mój płaszcz, cerując go wzrokiem
Kobieta pełna lęku o swoje chude ciało
Gdy moi kompani zobaczyli moje błękitne usta
powiedzieli, że całowałem się z niebem
Wysoko, wysoko w tym pięknym dniu
Moje ciało bujał jeszcze skryty aromat kokosów
które w egzotycznych krainach zdobią hotele
nazwy ośrodków wypoczynkowych all inclusive
Moje serce zaczęło wybijać nieznany mi rytm
bardziej nerwowy, nieujarzmiony już niczym
Rytmika zaczęła wyskakiwać poza układ linii

Nuty nie mieściły się już w tych układach
przestały się do nich ciągle odnosić
Poczułem przeciągły ból w klatce piersiowej
cicha czerń okryła moje zmęczone oczy
Bolesna depilacja trwała zaskakująco krótko
Spojrzałem jeszcze raz na to moje ciało
pogrążone w przyjemnym półmroku dworca
Porzucony odwłok, zapomniana torba turystyczna
Czułem radość cząsteczek w stanie rozpadania się
w podskokach z radości wracały do domu
na progu z dala wyglądali ich widoku zżercy
Ktoś próbował mnie przebudzić elektrowstrząsami
robiąc mi awanturę za jego własne życie
Słuchałem tych oddalających się dźwięków
zmierzając już na stację Ursus Północny

Pieśń siódma. Blu podróżuje znów

Tchnienie jak wiatr zdmuchnęło mnie czule
ruszyłem w kierunku cichych konstrukcji
pełen nieśmiałego oczekiwania na jakieś zaproszenie
to wszystko przez te kokosy, jak zwykle
Ich egzotyczna woń kołysała mnie w uśpieniu
CHODŹ — szepnęło niejęzykiem jakieś nieistnienie
Wszystko zaczęło się wzajemnie znosić
ten szum był szeptem miliardów istnień
Żaden z tych głosów nie był głośniejszy czy cichszy
dlatego wszystkie były słyszalne równocześnie
Chodź do nas, chodź do nas, wielość cię woła
Jesteśmy cudnie przeludnieni
jakże piękna ta istna katastrofa demograficzna
w obfitości przelewamy się na wszystko
Usłyszałem w swoim duchu rwącą tęsknotę
byłem ścigany z wielką szybkością
Czułem, jak wszystko ściszone do tej pory
ryknęło przeciągle z ukrytego schowka
odpowiadając twierdząco na zawołanie
zaklęte w tym dźwięku, przenikliwie pytające
Pozostawiłem wspomnienia, zbędne powidoki
Nędzne, żebracze wybory zdmuchnięte zostały
Przymknąłem swoje już nieoczy z powodu blasku
gdy je otworzyłem, byłem już w czymś innym
gdzie powietrze było gęste od Wielkiego Jodu
Oddychało się już tylko nim
przy pierwszym oddechu poczułem bliskość morza
Biegnij, biegnij, zaraz je zobaczysz
Przestrzeń była podobna do niezwykłej plaży
Na szerokim, ciepłym brzegu zobaczyłem
w różnych odległościach od siebie postaci
Jeszcze były w odległościach od siebie
czekały na przypływ, aby je zabrał
gdy spojrzałem w stronę morza, poczułem
AAAAAAbsolutne spełnienie mnie i wszystkiego

Pieśń ósma. Mare[1]

Wielkie, czarne, rozlewające się po policzkach
Nieskończona liczba koncepcji, myśli, konstruktów
powołanych z przepełnienia do przepełnienia
do jeszcze większej obfitości przelewana
Czułem miliardy, były wspólne i oddzielne
Chłód owiewał mi twarz, spełniona rewolucja
To chłód dostrzegany przez niewielu
za słaba jakość soczewki w lornetce
Dryfowały tu nieoczekiwane metafory
burzycielskie i dzięki falom rytmiczne
Były jak resztki po rozbitych samo lotach
Drzazgi z drewna, resztki wsłuchane ostatecznie
Nie było tam czasu teraźniejszego, passato prossimo
Ja stałem, wchłaniałem ten widok otwartą gębą
Pocztówka z widokiem za 1,50
plus znaczek znaczeń, by odnaleźć nadawcę
Wiekuiste leżenie na zabujanym w tobie hamaku
podczas zmasowanych ataków rozwiązań
z butelką niepotrzebnego wina oglądasz sufity
nie dotykasz podłóg zabezpieczonych izolacją
Dotykam głową sufitu, no proszę
mój policzek przykleja się do niego
no, już nareszcie nie można wyżej
To bardzo staroświeckie standardy wysokości
Supłana konstrukcja przyjemnie cię obejmuje
Nie ma tu wielce oczekiwanych staruszków — owadów
Wszystkie możliwości są tu spełniane w spokoju
wszystkie oprócz ograniczeń, koncert życzeń
Słowa mają tu swoje liturgiczne głębokości
zaskakujące w swych turbulencjach i przejawach
Sanctus, sanctus, sanctus[2] łamie porządki
porządki szklanych gablotek
porządki systematyczności gatunków
ułożonych przez moralizatorów, przez archeologów
Morze ma swoje przypływy i odpływy
Teraz lekko się wycofało, odsłaniając piaszczysty brzeg
odsłaniając swą anarchiczną antygramatykę
Oto reklama ośrodka wypoczynkowego
gdzie ciągle brakuje kompletu na turnus 27.07.–30.08

Pieśń dziewiąta. Wybrzeże

Na plaży dostrzegłem resztki po ludziach
Zbiornik je zabierze, poszerzając swoje reguły
lingwistyczne
Bliskość morza sprawiała, że piasek rumienił się
był poświęcony wielokrotną ilość razy
na wszelki wypadek uświęcany stale
Miewa swoje ledwo słyszalne harmonie

[1] *Mare* (łac.) — morze. [przypis edytorski]
[2] *Sanctus, sanctus, sanctus* (łac.) — święty, święty, święty. [przypis edytorski]

Niechcący porzucone muszle dające echa
wyrzeźbione w kruchej powłoce wapniowej
wspominają pracownie rzeźb z plasteliny
zwiastują perfekcję w niedoskonałym tworzywie
Północna plaża pociągała mnie najbardziej
inaczej łamała się tu linia brzegu zwiędniętego
Nie było tu żadnego przedstawiciela ratownictwa wodnego
Zanurzyłem swe stopy w piaszczystym brokacie
Moje istnienie mieniło się niczym zabawka na choince
pełna refleksów, pełna uroczystej odświętności
lecz pozbawiona odbić wpatrzonych we mnie
Spacer do wysokiej kobiety, którą obrałem za punkt A
sprawiał mi niewymowną przyjemność
Samotny wypad za miasto w pojedynkę
Pojedynek ze sobą samym
W podmiejskim pociągu, dwie moje połówki
Czy jeszcze coś Pan sobie życzy?
Wie Pani, tak się jeszcze zastanawiam
cienie po ciałach w formie ręczników, poproszę
Dizionario di lingua perfetta, per favore
jeszcze poproszę, aby pani się też spakowała
do tych zakupów, czy zmieści się Pani do jednej reklamówki?
Czy wszyscy się zmieszczą?
Mój wózek złomiarza, wiecznego tułacza
da sobie radę z takim ciężarem, z taką mnogością
na sankach zawiozę, zostawiając po sobie ślad
Wszyscy będą w stanie mnie wywąchać już teraz
psy policyjne, młodzieżówki polityczne
Moje sekretne drogi i skróty

Pieśń dziesiąta. Psalm do kobiety ze złamanym stawem biodrowym

Kim jesteś, o piękna przyjaciółko moja
o rudych włosach, zawsze mi się takie podobały
spiętych jak kurtyna, tylko dwoma punktami
Jakże twoje jasne oblicze jest olśniewające
Piłaś zawsze esencję z herbaty, inni rozwadniali
stąd pewnie twój herbaciany odcień
Twoją cerę pokryły piegi i niedoskonałości skóry
wrażliwej z tendencją do wysuszania się
Z długimi nogami na ręczniku plażowym leżysz
kremem posmarowana UV 100, byś się nie spaliła
jesteś tak cholernie wrażliwa na wszystko
Czarne okulary chronią twój skacowany wzrok
Jednoczęściowy kostium zawodowej pływaczki
Siedzisz tak, paląc papierosa, wpatrując się w morze
Jego łagodna rytmika odpowiada echem w tobie
Cóżżeś zrobiła, o moja piękna przyjaciółko
że znalazłaś się tutaj, na tym dziwnym brzegu?
Czy nosiłaś etiopskie dzieci na uszach
a może byłaś artystką społecznie zaangażowaną

wzruszałaś się na samą myśl o mniejszościach?
Może dostałaś pokojową nagrodę Dżingis-chana
Zapach od morza morski swąd oddaje, czy wiesz
masz piękne ramiona i spokojny oddech w sobie
Czy mogę położyć się przy tobie na ręczniku?
Przyglądając się wnikliwie, skorzystać z tej okazji
kiedy jesteś taka plażująca i obojętna wobec mnie
Nie proponuję ci romansu w stylu country rose
po prostu położę się obok ciebie, spojrzysz na mnie
swoim szarym spojrzeniem z rudym owłosieniem
Więc zlituj się, o zlituj
Bądź miłosierna, zdejmij te okulary
No pokaż mi się wreszcie

Pieśń jedenasta. 29 minut i 3 sekundy

Pięknie piejesz, o nieznajomy, budzisz mnie
Pięknie piejesz, o nieznajoma, budzisz mnie
Prosząc mnie o głośną odpowiedź na ciebie
Tajemnicze reguły zawołały mnie tutaj
niepotrzebne jest mi ich zrozumienie
Jestem kobietą ze złamanym stawem biodrowym
Moje dawne gesty zakończyły się wreszcie
Oceniam je jako niedostateczne formy baletowe
wywijanie nogami i rękami według ustalonych reguł
Moje całe życie to był wielki wyścig pokoju
Ja utalentowany, lecz niedoświadczony kierowca
w środku sezonu zaczynam spadać w rankingach
nie potrafię sprostać wysokim oczekiwaniom
jakie narzuca mi ambitna publiczność teatralna
Zamiast jechać prosto, z dużym impetem prosto
skręciłam na dziwne drogi, łykając żwir z pobocza
znalazłam sobie mój osobisty pościg
za tym, który kochał mnie grzecznościowo
przez 29 minut i 3 sekundy
potem już nie, potem już tylko płacz
Byłam doskonałą aktorką teatralną, słodka żmijka
tak mnie przezywali moi drobni przyjaciele
przyjemne włazidupki liżące mi opuszki palców
Moje role były wymagające poświęceń
„Nigdy nie będę twoja w polu rzodkiewek"
Wyżej oczy, wyżej nad publiczność, nad
Melodramatycznie do granic obrzydliwości
zakochałam się w stażyście, grał drzewo w tle
Nikt go wtedy nie zauważył, tylko ja niestety
Skrywał się nagi za gałęziami, wstydząc się
Nagi, schowany przed karcącym wzrokiem
wciągnął mnie do swojej czarnej dziupli
na 29 minut i 3 sekundy
potem uciekł wraz z całym sztucznym listowiem
Obciął mi ręce, nogi, głowę, włosy, rzęsy

za pomocą chińskiego zestawu do obcinania
wydłubał ze mnie wnętrzności, porcja rosołowa
Pozostawił mnie kadłubem, bez właściwości
wypieprzonym na jakieś nieprzyjemne warunki
atmosferyczne, wtedy było zimno i mokro
Jeździłam cadillakiem, pijąc drogi koniak
z gwinta, sapiąc z przyjemności i bekając
Oto pocałunki mącące moją marność
Słodkie pocałunki prosto w usta, z gwinta
Załamana nerwowo aktorka biega w nocy
Nie chciałam nikogo innego już więcej
Byłam bogata, ale to nie było nic warte
Zostawił mnie z jego dociskami palców
łatwy do rozpoznania sprawca zamieszania
Jego intensywny zapach ciągle miałam na sobie
Jeździłam płynnie przez rozświetlone bulwary
nawet rozbijając swój wóz w kolorze ecru
miałam w ustach jego znakomity smak
Wypadek spowodował moje kulawe inwalidztwo
Miałam wiele okazji na przyjemne chwile
z pachnącymi jeszcze produkcją, jeszcze fabryką
ale stałam się umarła dla pustych odwłoków
Stałam się jednoosobową zakonnicą
odepchniętą, z wbitym kawałkiem karoserii
w kolorze kremowym w piękne biodro
Wycięty z tyłu mój czarny habit z wyleniałą etolą
którą miałam na sobie w tamten wieczór
Złożyłam śluby czystości dla tego, który odszedł
w sumie chrzanił moją kondycję psychiczną
Oto rzucam miliony nie pereł, ale diamentów
przed niegodnego
Niech kopie on te kamienie poświęcone
Niech jego but zgniecie ich mineralne struktury
Niech wreszcie poślizgnie się na nich
I niech stłucze sobie boleśnie staw biodrowy

Pieśń dwunasta. Biodro, które się zrosło

Nie miałam w sobie cynizmu ani złości w trzewiach
nie nosiłam w portmonetce drobnych, przekleństw
Byłam przyjemna dla środowiska naturalnego
Moje osobiste spaliny chronione były katalizatorem
Zestarzałam się w spokoju, narzekając na ślad
w krągłym biodrze, choć już nikt nie pamiętał
Świetność mojego brązowego biodra minęła z czasem
Pokochałam swoją cichą samotność z esencją herbaty
Miałam coraz bardziej niewygodnie spętlone buty
wbijały mi się w moje poskręcane stopy zapomnianej
Coraz bardziej gniotły mi się jedwabne rajstopy
na zmarszczonych kolanach ciągle wyczekujących
Codziennie na targu kupowałam świeże warzywa
Gotowałam, patrząc, jak zanurzają się w gorącej wodzie

to jedyny grzech, który wspominam z niepewnością
Słoneczna staruszka ze zdziwieniem odkrywa siwiznę
Często w sklepach, dla żartu, grałam zapomniane role
ku uciesze publiczności, by się cieszyli jeszcze raz
Umierałam spokojnie wraz z kolejnymi kwitkami
odcinki emerytury i badań na obecność nowotworu
Na ostatnie pół roku bólu zostałam położona
w Umieralni, gdzie zaprzyjaźniłam się z paprotką
z wolontariuszką, którą namówiłam na studia
Kiedy zmieniała mi pieluchę, podawała mi mleko
dla dzieci powyżej 6 miesiąca życia, 6 miesięcy życia
Cicho zasnęłam którejś gwiaździstej nocy teatralnej
oddychając spokojnie i nie oddychając już spokojnie
Słodka ciemność przygarnęła mnie ręką, wyciągniętą
tylko do mnie, zgarniającą mnie jak drobniaki
Teraz tu, na plaży, moje nieciało spoczywa w pokoju
na ręczniku w kolorze ecrú wieczny odpoczynek
Niedługo przyjdzie przypływ, czuję to w biodrze
Jest bardzo wrażliwe na zmiany atmosferyczne
Zabierze mnie do siebie na zawsze, spełni mnie
tam gdzie będę tą, której biodro nareszcie się zrosło
Moja meta nie była więc w ramionach drzewa
Moja meta to ramiona tego brzegu, kochana czarna toń
Nic potrzebuję, to miłość od pierwszego wejrzenia
Wiem, znam doskonale jej słodki smak

Pieśń trzynasta. Pocałunek na dobranoc

Blu śpiewa
Moje współodczuwanie stało się teraz wyraźne
Poczułem dokładny jej ślad na moim biodrze
bolesną karoserię w sobie, którą ona nosiła
przez lata jak drogocenną biżuterię, pamiątkę
Leżeliśmy chwilę na jej pachnącym ręczniku
Wielki Jod napełniał nasze resztki płuc
wypełnieniem tam, gdzie zawsze brakowało
czyniąc z każdej naszej odpowiedzi pieśni
o zapomnianych melodiach i hultajskim rytmie
Brokat lepił się zabawnie do naszych lekkich dłoni
Pocałowaliśmy się w usta na dobranoc
w koszulach nocnych dopasowanych do braku ciała
wymierzonych przez szepczące dziwadła
Oto stroje wieczorowe, strojne tylko na jeden wieczór
na jeden cichy zmierzch, schowany przed wszystkimi
kiedy jest tak sympatycznie chłodno, dyskretnie
Moja przyjaciółka spokojnie odwróciła się do morza
Nie potrzebowała mojej czułości ani głaskania
Nie potrzebowała już mojej śpiewnej obecności
Z dala punkt B migotał już do mnie cekinem
Był to dla mnie sygnał dźwiękowo-świetlny
powinienem już iść do kolejnego morskiego żyjątka

Moje kroki znów stały się taneczne
Mój wzrok ciekawie rysował kontury nieznanego

Pieśń czternasta. Pieśń przejściowa

Tanecznym krokiem
Przechodzenia, dochodzenia do ciebie
Prawie mam ciebie, prawie się zbliżam
Poczekalnie na przejście w ścisku do uścisku
Korytarzem długim wędruję i wrzeszczę
Rytmiczne uderzenia z boków rozpraszają
Po pęknięciach betonu skaczę
byle nie na gładką płaszczyznę szlaków
by nie iść wygodnie, skuchy obowiązkowe
Wymagam znalezienia słodkich błędów
tylko ich śladami wędruję zdyscyplinowany
tany, tany, jestem kawałkiem rozpryśniętym
wywijam rękami w powietrzu
skacząc nad przepaściami płyt chodnikowych
W powietrzu łapię braki słów niczym alpinista
przyciągam swój ciężar ciała do nich
już mogą utrzymać mój ciężar
Zawsze mi ich brakowało jakoś
bo to jest pieśń przejściowa
bo zazwyczaj tak bywa
bo nie jest to pieśń pomiędzy
lecz to taki nieśmiały rodzaj układu rodnego
prawie że ginekologiczny opis
przechodzenia z bezcelu do bezcelu

Pieśń piętnasta. Dziewica z czerwonymi uszami na plaży

Na piachu, w piachu pogrzebany
Ma oczy zwrócone na mnie, woła cicho
Oczekuje mnie z niecierpliwością
chce zaśpiewać mi mleczarską pieśń
Jego zapach unosi się z daleka
Ciemne, kręcone włosy i wysokie ciało
długie ramiona, czerwone uszy słonia
pierwotnie wyzbyte żądzy, a to ciekawe
Jedwab jego skóry najdelikatniejszy
tkany przez nieświadomych przodków
Panie i panowie, proszę nie piszczeć
Leżał całkiem nagi i spokojny zarazem
Wiatr święty delikatnie palcami czesał
jego ukryte kołtuny, ukryte skrzętnie
czerpał z tego ukrytą przyjemność
Jego istnienie zwiastowało kwaśność
Jasna, wytworna obecność na brzegu

Na jego widok pragnąłem go już mieć
jakbym się z nim rozstał na chwilę kiedyś
powracając do siebie z większą tęsknotą
Twoje ręce nie pachną ciałami innych
Manikiur pozwala ci zachować czystość myśli
Pachnąca pokusa pozostawiona na parapecie
zwabia wygłodniałych daleką podróżą
Nieotwarty dłużej zachowuje swój smak
Wytrwale skrywany przed smażalnią ryb
zwinięty w papierek-cukierek słodki
O Boże, o Boże, jaki on bywa piękny

Pieśń szesnasta. Dziewica o czerwonych uszach śpiewa

Tak, jestem nią, czystą, wyborową jednostką
Nikt mnie nie dotknął, ja sam nie dotykałem
choć może raz albo dwa razy z tęsknoty
Jestem ofiarą całopalną, spaloną doszczętnie
Tylko czerwone, zawstydzone uszy pozostały
po mnie jako jedyna odznaka, medal za odwagę
Śpiewam teraz postpunkowe pieśni jodłowane
byś, piękny włóczęgo, pozostał chwilę przy mnie
Od liceum nosiłem buty, które gniotły miękkości
Byłem jak trup spalony dla wszystkich
Nikt nie zna tego smaku dziwnego
rwą się w swojej wilgotności i gotowości
do spełniania się w tym lub innym na chwilę
Ja, syn mleczarza, rozwoziłem ser żółty i biały
z czerwoną obwódką po północnych wsiach
a stare kobiety uśmiechały się do mnie cicho
nie miały reszty, one były resztkami
Dla wszystkich byłem raczej sfumato
Moje krawędzie były miękkie i maślane
nikt nie mógł mnie uchwycić za ostry kontur
Tylko czerwone uszy do tarmoszenia pozostały
czerwone i drażniące w mlecznym pejzażu
sygnalizowały mnie z daleka, w nabiałowej mgle
Z pewną łatwością akceptowałem mój brak siebie
brak szorstkiego zarostu z powodu jego lub jej
W czarnym podkoszulku rozwoziłem serki
homogenizowane, do smarowania się na plaży
Ani kobieta, ani mężczyzna
ani chodzący na rękach czy tańczący na zębie
nie oderwał mnie od wąchania krajobrazu
o 4 rano, gdy już ciężarówka czekała na mnie
na moje czerwone uszy z małą zawartością tłuszczu
Dla wielu mogłem być nosicielem płodnych wirusów
lecz nie byłem ani dodatni, ani ujemny
Zbliżałem się do nich, lecz nigdy nie dotknąłem
mógłbym przez to coś stracić z mleczności
Przejeżdżałem poprzez ich zbiorowiska rano
Mogłem być dupą światowców, co za frajda

w zapasach błotnych zdobyłbym główne wyróżnienie
za każdorazowe drżenie przed stosunkiem ze strachu
Niepotrzebne mi były kwieciste badania ginekologiczne
Nie oceniałem ich, tylko z daleka spoglądałem
pozostawiając po sobie ślad czerwonych uszu
Cóż by mi przyszło, gdybym ich wszystkich posiadł
doznał okrzyków rozkoszy, zdziwienia sobą nagle?
Nikogo nie obsługuję, więc nie mam nikogo
Chciałem być takim wielkim kolektywem
dla tych, których nie wybrałem z powodu uszu
czerwieniących się ze wstydu bliskości
Popuszczanie fizjologii, popuszczanie słów
Więc dzięki temu mogę wyśpiewać tę pieśń
wyznaczoną przez wieki tylko dla mnie
Moja negatywna melodia przy morzu

Pieśń siedemnasta. Uszy stają się mleczne

W dniu swojej śmierci miałem dziewiętnaście lat
dwie plomby w zębach, jeden ubytek
Nastrojowy zachód słońca w mojej głowie
Była zima i wcześniej zachodziło słońce
Była zima, więc szybciej zachodziłem i ja
Wybuch gwiazdy, katastrofa astronomiczna
wylew w mózgu, wylew na ten brzeg tutaj
Zadano mi tylko jedno pytanie w przejściu
uśmiechnąłem się, znając odpowiedź
Anarchistyczne echo we mnie się odezwało
śpiewne spojrzenia we mnie, na mnie
Poślubiony z czarną oblubienicą, ulubienicą
patrzę na jej cichy rytm, leżąc tutaj, słuchając
Oto idę mleczny i zależny już teraz od niej
tylko moje białe uszy jeszcze tu pozostały
nie są już czerwone, usłyszały nowe rzeczy
Noc poślubna tylko dla mnie, z morską tonią
Połóż się przy mnie towarzyszu, głowę oprzyj
Patrzmy na naszą nieznaną piękność schowaną
przed światem tutaj skrytą, niepodglądaną
Chowa się ona przed nami, kusząc nas
swoim egzotycznym spojrzeniem niewinnej
Nie musisz degustować, dzisiaj jest szwedzki stół
kosztuj mnie z ciała bez ciała, ile chcesz
można wywalić ten pachnący wilgocią ręcznik
do wiecznego podcierania krocza
Leżę więc bez ręcznika na lśniącym piasku
Kto zna takie trudne pieśni?
Kto zna ich smak, gdy melodia jest wymagająca
od piejącego odpowiedniego, niemożliwego głosu?

Pieśń osiemnasta. Korytarzem i potem prosto

Korytarzem w lewo, potem w prawo
Lewy kąt w prawy róg wystający patrz
Potem trochę schowam się za kaloryferem
Potem trochę przy niesuficie zawisnę
na półtorej godziny albo na 40 minut

Głowa włóczęgi porysuje ściany brudem
Rozwalę rękę o ogrodzenie, przechodząc
boleśnie, serdecznie będzie zdruzgotana
Potem skręcisz w przecznicę bez świateł
zauważysz do niczego nic podobnego

Młodzieńca pozostawiam w spokoju
idę do punktów D i G prosto krętą drogą
one razem machają do mnie z daleka
chusteczkami higienicznymi z zapachem
Chusteczkami wilgotnymi z lanoliną

Korytarzem musisz przejść, trochę w dół
w górę, potem szargaj się na boki
aż odrapiesz resztki ubrania i siebie
Szerokie i wąskie naprzemianległe wejścia
trącanie się o pradawne konstrukcje

W lewo, w prawo, w lewo, w prawo
W górę, dół, w górę, dół, w górę, dół
Niespodziewana musztra moich kroków
Nie bój się, że zabłądzisz kochanie
brak oznaczeń ci pomoże, na pewno

Pieśń dziewiętnasta. Blu śpiewa dla dwuosobowej publiczności

Moje drogie plażowiczki, pozwólcie, proszę
że będę was zabawiał niczym przybłęda
olśniony znienacka waszą urodą i szykiem
Pachnące świętymi olejkami do opalania
leżycie tu razem, grając w dziwne scrabble
za pomocą słów, lecz już z ich spełnieniami
Obejmujecie fantazje, reakcje nieświadome
idee niesprawdzalne za pomocą grabek
swymi ramionami, obejmuje się razem
Będę was teraz przedrzeźniał i przezywał
Wasz publiczny autyzm jest uroczy, zaprawdę
a dialog dopiero zaczęty zaprasza mnie
Czy mogę dołączyć się do waszej gry w słówka?
Upijemy się znaczeniami każdej litery

jak chłodnym winem na plaży razem z butelki
Jesteście niczym morskie potwory
o ciekawej dla ewolucjonisty fizjologii dziwadeł
Wasze filozoficzne śpiewy uśpiły niejednego
Sen zachłannego podróżnika, niby to odkrywcy
który ze zdziwieniem roztrzaskiwał się o skały
otwardy brzeg z krzaczkami logicznymi w tle
malowanymi pośpiesznie na potrzeby scenografii
a potem nie mógł wykonywać już żadnej pracy
on tak by chciał być tylko filozofem, tylko
Wy jesteście jego dyskretnymi kusicielkami
przez wasze pirackie pieśni pachnące tytoniem
i morzem

Pieśń dwudziesta. Kobiety śpiewają razem

pianissimo possibile et fortissimo possibile [3]

Zaśpiewajmy razem pieśń dla włóczykija
najciszej jak potrafimy, najgłośniej jak można
Oznaczenia muzyczne w zapisie nutowym
pochodzą z języka trudnego do translacji
by prawidłowo wykonać utwór, musimy je znać
Nasze gęste słowa turlają się zdziwione ciężarem
od pierwszych brzmień, pierwotnych przedsłówek
Jesteśmy osobliwymi chórzystkami na czele
ubrane w białe kołnierze wszystkowiedzących
ambitne cele, zmęczone powieki przy nocnej lampce
Dotykając abstrakcyjnych pojęć palcami
musisz mieć co najmniej gumowe rękawiczki
Nasze ciała pozostawiałyśmy w kącie przy wieszaku
na niepotrzebne lumpeksowe palta, wywłaszczane
My raczej za życia wbijałyśmy się mocno zębami
w wysokie półki skalne niedostępne dla wielu
za pomocą jakiegoś w miarę ostrego narzędzia
Byłyśmy kiedyś strażą graniczną języka
szerokich kieszeni, w których tak wiele się mieści
ale i wiele gubi się gdzieś na chodniku, w przejściu
powodując nasz szczery płacz, ubolewanie
Ubrane niczym poetki w szarobure mundury
dla doskonałego kamuflażu na co dzień
wychodziłyśmy nocną porą na zwiady w las
osobiście przybliżając się do słupów granicznych
Siadałyśmy wtedy przy nich i paliłyśmy papierosy
Patrzyłyśmy na daleki horyzont, czytałyśmy książki
gotowe do postawienia kroków zagranicznych
Tutaj na plaży obfitość znaczeń nas onieśmiela
z cierpliwością filatelisty zbieramy teraz resztki
zagubionych, płochych, zaprzepaszczonych słów
Leśne tropicielki z błyszczykiem na ustach
dla niepoznaki, że sytuacja była zawsze poważna

[3] *pianissimo possibile et fortissimo possibile* (wł.) — najciszej jak można i najgłośniej jak można. [przypis edytorski]

Pieśń dwudziesta pierwsza. Blu śpiewa do Ciuciubabki

Z oczami dokładnie zawiązanymi szalem
nie widząc nic, znając pośrednio reguły
kiedy kręcisz się wokół, a potem łapiesz
łapiesz w mroku niepewności cienie
po rzeczach i ich namacalne kształty
To jest ta, która w czerni migotała bytem
z harcerskim rumieńcem na twarzy
z misjonarskim, dobrym zgryzem zębów
Śpiewała pieśni Przechodzącej w mroku
Niech zabrzmią dźwięki zbyt głośne na noc
Oootakich wielkich rzeczach mówić unitarnie
Grzebać słabymi dłońmi umykające znaczenia
Czy ktoś bawi się w metafizyczną ciuciubabkę?
To jest taka odmiana tej gry dla starszaków
wywija się łapami na lewo, prawo chwytając
uciekające sylwety, co drażnią cię, wołają
Niewielu zostało wielbicieli tej ślepej gry
czmychnęli przed wieczorem, bo było późno
w sumie szybko robiło się chłodno i niewygodnie
mama wołała już na ciepły posiłek z daleka
więc nie warto było nawet zaczynać zabawy
Wszyscy zaczynają śnić swoje prywatne sny
Nikt nie chce wędrować nocnymi szlakami
Nikt nocą nie wędruje po tych pustych ulicach
Tu jest ciemno i niebezpiecznie i kostka brukowa
nie gładka
A ty sama śpiewasz pieśni ciuciubabki idącej prosto
przechodząc w mroku, śpiewając o nim słowa
można dostać po żebrach od przymglonych bytów
Znałaś ukryte gramatyki i ortografie nocy
niewielu takich zostało, co jeszcze pamiętają
Słodkie ich głosy z chorymi gardłami
z ciągle zainfekowanymi gardłami od wycia
śpiewają podniesione pieśni zaciemnione
O kusicielko metafizyki negatywistycznej
Wódź, wódź mnie na pokuszenie ramieniem
To jest ta, której nie było, a tym bardziej jest
Czy mogę znów obrócić ciebie wokół
byś jeszcze raz szukała, z niepewną miną?

Pieśń dwudziesta druga. Pieśń Ciuciubabki

Zaczynam dla ciebie pieśń ciuciubabki
przypominają mi się dawne reguły
Był chłód wychodzenia z domu
Był chłód zakładania płaszcza

gdy wszyscy śpią już w śpiochach
we flanelowych koszulach i pościeli
Nocą czarne ulice są niebezpieczne
Szłam najmroczniejszymi zaułkami
uparcie pod nocnymi latarniami
Czytałam książki z zakresu metafizyki
takie pieśni śpiewali dawni brodacze
śliniąc się nieprawdopodobnie przy tym
Ale dziewczyna ze zmarszczonym czołem
w naszej epoce elektryczności psuje wzrok
od latarni na dawno zapomnianych ulicach
zamiast zająć się doskonaleniem gotowania
nóżek kurczaków w sosie z kiwi i ciasteczek
To ja swoje oblicze wpisałam w nieznane
w to, czego nie ma, a tym bardziej jest, bo tęskni
Nosiłam w reklamówkach ze sklepu nocnego
resztki wieczornych oddechów, modlitw
z opaską na oczach szczelnie zawiązaną
Czasami, gdy nikt nie widział, podglądałam
by nie zderzyć się z innymi ciuciubabkami
W czarnej smudze chłodnej godziny podglądanie
Ludzie boją się bardzo ryb głębinowych
nieznanych z nazw, one zakopane są w mule
Niechętnie się demaskują, podając swoje imiona
odmieniając łacińskie ozdobne sentencje
Moim łuczywem była końcówka papierosa
która sygnalizowała światełkiem odblaskowym
moje ciągłe czuwanie do jutrzni, bez powodu
bez praktycznego argumentowania funkcji
tych godzin zgubionych, zaprzepaszczonych
Gdyby to jeszcze miało jakieś zastosowanie
w celu zbawienia np. insektów syberyjskich
Odkryć, że oddech w parę się zamienia w mroku
tylko po to, by było to zbędne i niepotrzebne
by te ślady rozpłynęły się w niebywaniu
Jestem kobietą Nic, zupą Nic z mąki, z wody
Cieniem, który nosi w sobie resztki dawnego rysu
rysu czarnej księżniczki Kunegundy
która całe życie przemieszkała samorodnie
Drugie piętro w moskiewskim akademiku
ze wspólną toaletą dla niedostatecznych
Całe moje życie jak zakładka do książek
Przytulać się do szorstkiej logiki, prosić o czułość
Taka randka w ciemno z niezwykłościami
w moich zmęczonych, podrażnionych oczach
od łapania ostrości w ulicznym mroku
z opaską na oczach, ślepa jak niemowlę
Wszystkie pojęcia chowają się przed światłem
lekko się wycofują, bojąc się zwartej formy
Ćmy i nocne owady roztrzaskują swoje czoła
małe główki zderzone z wielką jasnością
która jest też największym zaćmieniem
największą ciemnością, ona ściga wszystkich
Szłam przez noc, zapalając papierosa od papierosa
wspominając swoich filozoficznych poprzedników
wplatając w wieczorne pieśni resztki ich wersów

przekazane przez tradycje słowa przekazywanego
jak od papierosa do papierosa, moje ciemne roraty
gdy noc nie ustępuje dniu, gdy się potykasz boleśnie
Czarne, płaskie pantofle nigdy nie rozgniotły
ślepych, delikatnych stworzeń w nieczytelności nocy
stworzenia nieświadome mojego przemarszu wypełzały
Patrzyłam wtedy na ich piękną ulotność i naprawiałam
im złamane nóżki, bandażując otwarte złamania żeber
Oto pieśń ciuciubabki, która przechadzała się
na nieznanych przez taksówkarzy z nazwy ulicach
Ręce badają byty o zmęczonej porze
jakże słodka noc, w której tak można pięknie błądzić

Pieśń dwudziesta trzecia. Ciuciubabka zdejmuje apaszkę z głowy

W godzinie śmierci mojej amen, w tym dniu
W godzinie drugiej przed zimnym świtaniem
gdy przechodziłam zmęczona nocą przez ulicę
w ciemności nie zauważyło mnie jadące auto
Nie paliła się latarnia elektryczna na tej ulicy
Pijany jeszcze jakimś spotkaniem młody pan
strzaskał się tam z moim cienistym ciałem
pozostawiając je nieśmiało pogruchotane
neon reklamowy Endless, w witrynie sklepu
Odchodzenie trwało w samotności parę minut
więc zdążyłam jeszcze ze spokojem spojrzeć
w życie z przekrzywionym uśmiechem spokoju
Przebite plecy i brzuch wszystko przepełniało się
płynami hamulcowymi, olejami, keczupem
modnym i wykorzystywanym w filmach grozy
niskobudżetowych, prześlicznie amatorskich
z pełnym zaangażowaniem w moje umieranie

Usłyszałam tylko śpiewne pozdrowienie
Miałam doświadczenie jako ciuciubabka 24 h
Znałam ten miły chłód, ciepło powitania
żegnania się o poranku, gdy na dzień idziesz spać
Krzyknęłam sobą, by być dobrze zrozumiana
Czułe spojrzenie przeniosło mnie tutaj na brzeg
tu jest moja noc, mój poranek, moja godzina
tu jest zakończenie mojej gry, gdy jaśnieją oblicza
wszystkiego, co miało jedynie śliski dotyk w sobie
W powietrzu dopełnia każde moje słabe słowo
usprawiedliwia braki, w ramach pracy domowej
którą ciągle sam sobie zadaje, odczuwając pełniej
zna doskonale te koronkowe rebusy w pionie
w poziomie rozwiązywane dla osiągnięcia błędu
Cieszy go uzupełnianie wszystkich pustaków we mnie
Cieszy się, że się tak bardzo starałam wpisywać
we właściwe pola dobre pojęcia, nocną porą
na kolanie powtórzone magicznie brzmiące zasady

W świetle staroświeckiej latarni kontemplowałam go
często z nieświadomością mojej krzyżówki z nim

Pieśń dwudziesta czwarta. Pieśń metafizyczna

to nie będzie pieśń miłosna, lecz pieśń
która nie powinna być wyśpiewana
bo nie ma takich głosów
bo nie ma już takiej ciszy
podpiwniczone okna z wilgotną głębią
schowane przed szeroką publicznością
zdradzają jej wytworne szaleństwo ukrycia
moje argumenty czystej negacji
niebyt jest bardziej rumiany niż byt
to, co się nie stało
moje zdrady ciche
moje wycofywanie się
nie w szereg, ale za szereg
moja bierność wobec układu planet
i promieniowania ultrafioletowego
unitarnie zebrać wielkie przestrzenie
tak większość ucieka między, całe masy
pominąć mnóstwo, nie dotykając niebytu
jeszcze ta niemożliwość zrealizowania
dość przekonującej prezentacji, slajdów
grafów, szlaczków, obrazków humorystycznych
na ten nietemat
dlatego też wszyscy się na pewno znudzą
nie ukoronują cię, o wrajterko, o fajterko
nie musisz popisywać się i podpisywać
nie musisz łasić się do odpowiednich osób
atrakcyjna wobec czerni rozpraszającej
wyblurowana rozkoszą i egzotycznym pączem
tańczę sama, nieoczekująca kogokolwiek

nie będzie owacji na stojąco ani laurów
nikt ci ich nie przyklei na ślinę do skroni
dawno zwietrzał ich zapach na szczęście
połamane liście laurowe wsypywane do zup

nieestetycznie jest wkładać głowę do spływu
obserwując, gdzie to wszystko ucieka
co z tym dalej
wsadź tam łeb głęboko
każdy taki ściek trafia w końcu do Morza
to jest moja nieekologiczna pociecha

Pieśń dwudziesta piąta. Blu przesiada się do drugiej kobiety na ręczniku

Leżę sobie na kocu podziurawionym przez wszystko
Pijemy razem doskonałe wino, podziwiając morze
Przytulam was, a wy całujecie mi uszy słuchającego
Moje nieciało leżało na jednej stronie wygodnie
Ciemna łuna twojego mroku mocno mnie spala
lecz teraz przewrócę się na drugi bok, kochanie
opalając się od twojej przyjaciółki, mogę teraz
dzielić się z wami, a wy ze mną sobą, bez urazy

Wszyscy do wszystkich, więc możemy tu razem być
Leżymy tu razem na końcu świata, wszystko topi się
Siedzimy tu cierpliwie, oczekując rozwiązania nas
zaplątanych z czasem przedłużaczy elektrycznych
Czuwać, aż nadejdzie upragniona fala, zabierając nas
w odmęty odczuwania w niezwykłej głośności
Tu są nasze końcowe napisy, tytuły na koniec filmu
Scenariusz i reżyseria, możemy podziwiać producenta

Leżę sobie na kocu podziurawionym przez wszystko
razem z pięknymi kobietami na plaży, przytulając się
do braku ich ciał, których kształt określa tylko melodia

Pieśń dwudziesta szósta. Blu śpiewa do kobiety z miłosiernym spojrzeniem

Kobieto, z drzewa miłosiernego uczyniona, módl się za mną
Ty, co za życia szukałaś sprawiedliwości, módl się za mną
Ty, co biegłaś spóźniona na wykłady, módl się za mną
Denerwująca się, że dziecko nie śpi, a ty masz tyle książek
do przeczytania jeszcze tej nocy, módl się za mną
Samotna z dzieckiem na stypendium jadąca, módl się za mną
Zasmucona wydatkami za miesiąc luty, módl się za mną
Pochylająca się ze zmęczenia do przodu, módl się za mną
Pisząca parę wersji książki o wybaczeniu, módl się za mną
i tkliwie się przy tym uśmiechająca, módl się za mną
Stawiająca miłosierdzie nad sprawiedliwością, módl się za mną
O litości śpiewająca w zwartych esejach, módl się za mną
Zapomnienie w twojej puderniczce koryguje niedoskonałości
żeby nie nienawidzić, aby wzgardy w kieszeniach nie nosić
Twoja elokwentna ślina to mikstura na zapominanie o tym
że sprawiedliwość musi karać z Zaciśnięciem, módl się za mną

Bo ty zawsze tylko

Kyrie eleison
Kyrie eleison
Kyrie eleison

Pieśń dwudziesta siódma. Kobieta o miłosiernym spojrzeniu śpiewa

Miłosierne spojrzenie przez okulary dalekowidza
nie ćwiczyłam go przy lustrze codziennie rano
byłam dzięki niemu bardziej ślepa od ociemniałych
Z racji tego kalectwa musiałam walczyć z detalami
z wykonywaniem obowiązków domowych
Miałam dwoje dzieci, które teraz mają problemy
z wyborem zakładu pogrzebowego w mieście
jasne głowy, ciepłe twarze dobrze odżywione
Wychowałam je samotnie, mój mąż mnie pozostawił
w supermarkecie przy produktach mocno przecenionych
i odszedł, nie chciał znać ich pierwotnej, wysokiej ceny
Ten rabat był tylko dla niego, wyprzedaż całkowita ze mnie
Pracowałam na uniwersytetach, piejąc rano niczym kur
ze zmęczoną cerą, lecz z miłosiernym spojrzeniem
Chciałam powiedzieć im o przebaczaniu spokojnym
o zapominaniu, o słodkiej chorobie Alzheimera
Szukałam pojęć w bibliotekach dla ociemniałych
Szukałam, aby każdy mógł się nasycić uspokojeniem
i nie miał tych nieprzyjemnych wzdęć u niemowląt
z powodu nerwowego połykania powietrza i płaczu
Wada wzroku spowodowana łagodnym spojrzeniem
wzbudzała niezadowolenie wielu okulistów z praktyką
Czy ślepa kobieta może być sprawiedliwa?
Czy kobieta gotująca łagodne sosy może być sprawiedliwa?
Czy niechciana może być sprawiedliwa?
Przez przymknięte oczy nie widać bolesnych detali
tych ostrych odpryśnięć z kryształowych wazonów
one były kiedyś honorowymi nagrodami z okazji udziału
w jakiejś letniej wojnie połączonej z koszeniem
bardziej wystających ciał, dłoni i rozumów z tłumu
Te zmiecione resztki pod dywan z zagiętym rogiem
jak w pamiętniczku z twardą oprawą albumową
z dopiskiem na zgiętym rogu ku pamięci i ku przypominaniu
gdzie przeprowadzić tę niechcianą granicę wybaczenia
kredą narysować ją za pomocą drżącej ręki
Ja widzę tylko detale kulące się w miłosierną całość
Choć są rzeczy, które odrzucam od jej obłego kształtu
te drobiazgi bowiem w swej jaskrawości przeczą jej

Miażdżycowe zapomnienie siebie w funkcjach
Wzrok oparł się więc miękko na niedowidzeniu
gdzie wszystko zaczyna być całością, niepomijającą

Delikatne macanie pod spódnicami świata
Uchylając je

Pieśń dwudziesta ósma. Wada wzroku się powiększa

Wada wzroku się nareszcie powiększyła
Jestem teraz bardzo niewidoma, a tym więcej widzę
Niepotrzebne są mi więc grube okulary do czytania
soczewki, lupy zegarmistrzowskie wszczepiane
Problemy z sercem miłosiernym pod bluzką
z sercem, od którego odchodziły złote promienie
łuny kolorowe sugerujące mój wewnętrzny blask
Już dawno było widać ciche nieprawidłowości
Czy to jeden z tych złotych, ostrych promyków
przez przypadek wbił się w drugą stronę tak
że malowane kropelki krwi sączyły się skrycie
pod koronkową bluzką kości i ścięgien kolorowych
Podczas rozmowy z dziećmi przy kawie zbożowej
serce malowane przetarty dźwięk wydało
Jęknęłam, a pauza wcisnęła się w żelazną rytmikę
słaby wzrok osłabł jeszcze bardziej w tej chwili
wśród krzyków zdumienia dzieci odchodziłam
ich płacz i zdezorientowanie sytuacją łaskotały jeszcze
Promyki pozłacane mojego słabego serca błyszczały
ściągane za pomocą Magnesu z plusem i minusem
Podniosłam swoje oczy z miłosierną wadą wzroku
a wtedy zostałam porwana z wielkim zdecydowaniem
na tutejszą plażę, łagodnością swego klimatu ujmującą
Teraz leżę na ręczniku o nieostrych krawędziach
w błyszczącym brokacie siedzimy tu razem, odpoczywając
razem gramy w scrabble, czekając, aż litery roztopi fala
która mieni się niezwykłymi barwami z daleka
wszystkie odcienie miłosierdzia w nieskończonej ilości
Tu słowa nareszcie wypełniają się potencjalnościami
ich krawędzie ciągle są przebrzmiałe z nadmiaru znaczeń
na ten nasz brzeg leżących spokojnie i zapiaszczonych
Tutaj jest sens w słodkim bezsensie gry popołudniowej

Pieśń dwudziesta dziewiąta. Blu przechodzi do punktu F

pieśń antyarchitektoniczna
Na czarnej plaży nie ma już żadnych budowli
ani z piasku, ani z kamienia na brzegu
Nic już nie musi być konstruowane, opierane
Nie ma żadnych oparć ani sił ciążenia
Nic nie musisz już wykreślać na kalce
Nie potrzebujesz różnicować grubości linii
widzialnych i cieńszych, prawie niewidzialnych
albo nieistniejących przerywaną linią
Nie znajdziesz tu żadnych drogich przyborników

No spróbuj zrobić makietę mojego niekroczenia
No spróbuj zrobić makietę mojego odchodzenia
Przygotuj planszę, gdzie narysujesz moją niedrogę
Niech będzie perfekcyjnie wykonana na tekturze
Niech nic już nie będzie na pachnącym papierze
Jeśli pozostanie pusta, będzie zaprawdę pełna
Ulep to swoimi higienicznymi łapami, z piachu i błota
bez projektu, bez niczego, na golasa, z brudzeniem się
Taka niezwykła jest droga od punktu C i D do F

Powinna być zrealizowana w ramach konkursu
pająków zaangażowanych z okolicy do happeningu
one robią to ze śliny i włókien, gdy nikt nie widzi
To linie słów niewypowiedzianych, rozpiętych
pomiędzy w miarę stałymi, czarnymi gałęziami
Po takim moście przejdę, nie raniąc się, do ciebie
mój kolejny ochotniku, mój dawco opowieści
Skopane resztki kształtów przesuwa dalej wiatr
Foremka po moim kształcie pozostawia ślad
powielony wielokrotnie w celu osiągnięcia rytmu

Pieśń trzydziesta. Blu spotyka człowieka o trzydziestu dłoniach

Czy jeszcze możliwy jest taki stwór niezwykły
który ma trzydzieści dłoni na co dzień?
Zgadnijmy więc, kto to, wyglądający jak Rozgałęzione
trzydzieści dłoni i naturalne spojrzenie
To jest taki stwór, okaz morza przetrzymywany tutaj
niczym ryba w akwarium, można mu się przyjrzeć
przed jego powrotem do morza, pooglądać trochę
Niezwykłe ubarwienie skóry i mnogość zakończeń
Ma tyle dłoni głaszczących, karmiących potomstwo
czuły ojciec, bez zacięć maszynką przy goleniu
z jogurtami biegnie do kasy, by zdążyć do teatrzyku
na spektakl dwudziestego pierwszego dziecka
On nigdy nie zapomniał, choć to nieważna sztuka
syn gra ostatniego w tłumie, ale ma wypieki na twarzy
ma tremę i tylko sprawdza, czy ojciec wieloręki jest
Usłyszał, że dwudziesta druga córka płacze
za marynarzem, siedział z nią w nocy, słuchając jej
Karmił swą owłosioną piersią najmniejsze bliźnięta
na przemian z ich natychmiastowym przewijaniem
Je wszystkie głaszcze po wygłaskanych już głowach
przynosi z pracy paczki okolicznościowe dla nich
Dzieląc zawsze sprawiedliwie, za pomocą dłoni
za pomocą żylastych trzydziestu dłoni
Wielkie, kolorowe szczęśliwe wstęgi wokół niego
Wszystkie dzieci doskonale znają każdą z tych rąk
ich linie papilarne i prawie niezauważalne detale
robią sobie konkursy, teraz ty znajdź różnice
między dwudziestą pierwszą a dwunastą ręką ojca

Czy można tak licznie, tak sprawiedliwie kochać
wszystko jednocześnie i dostrzegać każdy smutek?
Wyławiać z ich spojrzeń, łagodzić każdy ból
nigdy nie załamując ze zmęczenia licznych ramion

Pieśń trzydziesta pierwsza. Człowiek z trzydziestą pierwszą dłonią śpiewa periplus[4]

Będę śpiewał *periplus* dla ciebie, pieśń dziwnej mapy
dlatego, że zawsze trzymałem się widocznego brzegu
Nie odważyłem się wpływać na otwarte przestrzenie
zawsze obserwowałem brzeg dla bezpieczeństwa
lękliwe nawigując według znanych mi punktów
Zbudowałem wiele portów wokół mojego wybrzeża
cały czas pływałem kraulem pomiędzy miastami
Z czasem łatwiej mi było przemierzać te odcinki
przybywało mi coraz więcej ramion do żeglugi
W każdym z tych portów moje rybie potomstwo
Kochałem je tak mocno, tak chciałem im pomagać
że ciało samoistnie wypuszczało nowe ramiona
Stałem się więc drzewem z wieloma zakończeniami
Moja królowa-matka-pszczoła pisała pieśni dla dzieci
ja wypływałem, spotykając każde z moich Licznych
Oczekiwano mnie z radością i niecierpliwością
Znałem każdy ich grymas, każde załamanie głosu
każdą pliskę skóry i sposoby wielu zachowań
Analizując swoje błędy wychowawcze przy herbacie
opowiadałem im zamorskie opowieści wieczorami
Do mojego łóżka przed nocą schodził się tłum
Chcą tylko przy mnie być czuć mój morski zapach
od ciągłego pływania kraulem za pomocą tylu ramion
Z daleka co dzień wszystkie widziały moją banderę
wtulały się w moją zniszczoną solą i słońcem koszulę
tropiły każdy jej wątek, lepiej mnie zapamiętując
Kładłem je spać, przytulałem do siebie, słuchając ich
rytmicznych oddechów wpływających już w noc
by jutro z piskiem radości przywitać kolejny dzień
na pływalni

[4] *periplus* — ze starogreckiego: „opłynięcie dookoła", rodzaj pieśni nawigacyjnej dla statków, które pływały przy brzegach w starożytnej Grecji i Rzymie. [przypis autorski]

Pieśń trzydziesta druga. Trzydzieści dwie dłonie do potęgi n

Naturalną konsekwencją licznego rozgałęzienia
był nowotwór mojego zdeformowanego ciała
Rozrastał się on wraz z moimi kończynami
pod skórą zamieszkał i był nielegalny
Piszczałem wewnętrznie z przeciągłego bólu
ciągle zatykając sobie licznymi rękami usta
Twarz wysuszała się z niepokoju
a w dłoniach pierwszy raz poczułem drżenie
Wielkie dziedzictwo moje pozostanie same
dorosłe dzieci będą karmić młodsze filetami
Otwarte buźki ze zdziwienia, że odchodzę
Zapamiętałem ich pożegnanie z refrenem
każde z nich było długą, samodzielną zwrotką
rytmiczne zderzanie się
codziennie z ich kamienistymi brzegami
Kolejna dawka morfiny na uśmierzenie bólu
serce stęknęło w skurczu podwodnym
znużone zmęczeniem tego opierania się jeszcze
Wszystkie moje dłonie cicho opadły na pościel
spokojnie na dno morza opadałem, czując chłód
Zostałem złowiony słowami Obcokrajowca
liczne ramiona wplątały się na szczęście
w najpiękniejszą z sieci utkanej z pytań do mnie
Zostałem wyrzucony tutaj na czarną plażę
Teraz gałęzie z każdą pieśnią mnożą się
coraz liczniej, coraz liczniej zajmują miejsca
obrastają mnie jak porosty niezwykle płodne
Jest to znak braterstwa z tym, co ma najwięcej
ramion, a każde możliwe zakończenie je zna
Nasycę się więc nieskończonością na brzegach
choć zawsze śpiewałem periplusy[5] blisko lądu

W tej mnogości zachowam ostrość wszystkiego
każdego detalu obrzędowego przy nawigowaniu
na nieznane lądy

Pieśń trzydziesta trzecia. Do następnego przejścia

Prześlizgnę się na brokacie piasku przeciągle
za pomocą jednego, mocno rozkraczonego
gestu tanecznego z akompaniamentem słów
dotrzeć do następnego chętnego z publiczności
wybranego, oderwanego od czynności ciała

[5] *periplus* (gr.) — rękopis wyliczający porty i charakterystyczne punkty na wybrzeżu. [przypis edytorski]

Na palcu średnim mojej lewej stopy tańczyłem
Dawne wykonanie pozy łyżwiarki chińskiej
która wygnie się tak mocno, boleśnie dla was
chce być taka piękna i najwyżej oceniona
przez komisję, która nie lubi Chińczyków

Dawne konkursy odbijają się we wspomnieniu
lecz teraz mój najdrobniejszy ruch powieki
jest doceniony u napełnionych wszystkim
Mój taniec jest więc wolny od choreografii
Chybotliwe echo naśmiewa się ze wzorników

Płynę teraz na tafli wszystkiego najlepszego
Jestem wśród finalistów mistrzostw świata
Paraolimpiady dla nie do końca sprawnych
gdzie wszyscy dostaną swoje złote medale
za niedokładne wykonanie figur na lodzie

Pieśń trzydziesta czwarta. Blu spotyka czarną Bambolę[6]

Czy przy tobie jeszcze można coś skomleć?
Ty jesteś taką bambolą, z różnymi funkcjami
możesz mówić mama, możesz nawet sikać
Słodki wyraz twarzy, nadzwyczaj słodki
Gdybym był gwiazdą muzyki rozrywkowej
śpiewał co roku na festiwalu San Remo
gdzie podstarzali łysiejący, gdzie młode kicie
to bym wzruszał się infantylnie nad dolą lalki
made in Rwanda or Republic of China
Jak słodko można chrzanić i wzruszać się
Małe, czarne bambole z Afryki transportowane
Czyż moje wzruszenie nie jest śmieszne
jest kłamliwe, bo wymówione na głos?
Śpiewanie na głosy, teraz już tak potrafię
Czy tylko łzy wylewać do kwiatów ogrodowych
nad dolą światów trzecich i czwartych, i piątych
Popatrzmy na zdjęcia małych, głodnych ust
czarnych, małych gardeł ze strunami
na których grana jest bardzo dziwna melodia
Jakże straszliwe są te pęczki warzyw
te cenne darowizny, wypieprzone na boki
z nadmiaru, zbyt niskiej ceny rynkowej
Nie opłaca się ich przechowywać dłużej
w drewnianych skrzyniach płynących
Język jest bezużyteczny i pachnie tandetą
zakwiecone wersje opisujące czarną skórę
Ładne litery z motywami etnicznymi
informują, że jest to wersja second skin
Nawet jak się histerycznie bronisz chirurgią
staje mi wszystko w gardle i krztuszę się

[6]bambola — z włoskiego: lalka, kukła do zabawy. [przypis autorski]

i duszę, i wypluwam, i znów dławię się
ciemniejszą wersją kaszki manny na mleku

Chodź do mnie, moja mała dziewczynko
bawisz się teraz wiaderkiem na plaży
budując nieznane rzeźby minimalistyczne
Nie będę trzaskać twoim plastikowym ciałem
w kaloryfer, sprawdzając, czy jesteś odporna
jaki dźwięk dasz przy tym do akompaniamentu
Nie będę białym kolonizatorem gwałcącym czerń
Nie będę ci obgryzać paznokci nerwowo
ani też czesać twoich włosów w ciągłe dekoracje
Nie posadzę cię obok mnie, byś mi towarzyszyła
lecz ja przysiądę się do ciebie, ja będę twoją kukłą
dla ciebie choć przez chwilę, kukłą drugiego sortu
zakopaną tylko dla twojej zabawy w piachu
bym to Ja śmiesznie i litościwie wyglądał

Pieśń trzydziesta piąta. Bambola z funkcją śpiewania

Mam taką funkcję w sobie, mogę śpiewać
Funkcja niezwykle pożądana wśród was
kolekcjonerów pamiątek z dziwnych miejsc
Czarne wydłużone rzeźby z pseudohebanu
Udawanie materiałów, udawanie wzruszenia
z udawania ciebie i mnie, wiekuiste podróby
Jestem wieczną sierotą pozostawianą w przejściach
Czy ktoś mnie przygarnie ze względu na wygląd?
Mieszkałam w Kinoni, rodzice zginęli w walkach
Nikt nie znał ich z imienia, z nazwisk źle napisanych
Nikt mnie nie znał, leżałam jak porzucona zabawka
która pociesza wokół wszystkich swymi zdrobnieniami
bez tkanych białych kwiatków na bluzce
w ułożonych pęczkach, w pęczkach smażonych
bez żadnych wstążek na sukience, trzeba oszczędnie
Przy ulicy Pamiątkowej jest taki smutny plac zabaw
porozrzucane są tam deszczowe mioty dżdżownic
tak boleśnie czują wszystko w porach suchych
braki opiekunów do przytuleń, choć chwilowych
a ja żywiłam się zgniłymi bananami
więc nimi pachniałam doszczętnie
Mój głód był największy na świecie
Byłam głodna wszelkich bananowych eliksirów
radości i zapachów szczęścia, i najedzenia
Cała lepiłam się od słodkości porzucenia
od odwróconych spojrzeń w inne strony
dlatego przyczepiałam się do wielkich drzew
gdzie czułam się bezpieczna, gdzie duża mama
przyjaźnie częstowała mnie tłustym cieniem
zawsze nachylając się do mnie gościnnie

Pieśń trzydziesta szósta. Bambola traci swe funkcje

Czarna, cicha, bezkrwawa rewolucja
wyzwolenie z wiekuistego głodu
Dzień, gdy deszcz dźwięcznie bębnił
w suchą skórę ziemi, zmuszając ją do rytmu
Przewożono mnie ciężarówką z innymi dziećmi
do innego miejsca, do sierocińca w gęstych lasach
Wypadłam z ciężarówki, boleśnie upadłam
na zadżunglony dywan mchów i porostów
Nikt nie usłyszał mego słabego głosu w tle
Musiałbyś bardzo podgłośnić, by usłyszeć
Zaczęłam płakać, bo wiedziałam wszystko
że to będzie ostatnie porzucenie, byle gdzie
Deszcz płukał moje włosy, moją sukienkę
ja skuliłam się w kulkę i schowałam się
pod dużym, prawie opiekuńczym liściem
Leżałam jak szyszka, co nieoczekiwanie spadła
pachnąca z wolna zapachem ziemi i rozkładu
Wilgoć lasu była wielka, tajemnicza, zachłanna
Wiedziałam, że nikt już nie znajdzie mnie w dżungli
Byłam wielkim głodomorem, skurczonym z lęku
w zieleni najpiękniejszej, mruczałam wtedy
najsmutniejszą piosenkę świata
Nikt nie słyszał, to nareszcie mogłam śpiewać
w uśpieniu odchodziłam, w zapomnieniu
zapomnieniu wszystkiego przez wszystkich
Deszcz rozmył wielki liść, pod którym byłam
skryta byłam całe życie, skrywana po kątach
przez prawie osiem lat, dwa dni kamuflażu
mój sen rozpuścił się w wodzie i soli

Nastało to, poczułam w sobie wielkie znalezienie
ktoś czekał cały czas na ten moment znalezienia
już nie jako Bambolę, ale by kochać mnie bez skór
zaspokoić mój nieprzenikniony w czerni głód
Zostałam wtedy tak mocno wtulona w Wielkie Czucie
obdarowana wielkimi skarbami i słodyczami
Byłam odnaleziona po ukrytej we mnie informacji
do kogo należę, z adresem, że ktoś czeka, gdy zginę
Zwracaj mnie właśnie tam, gdzie jestem teraz
Moje wielkie dosycenie spełnia się bez przerwy
bez przerwy na funkcję, na tę kanapkę z kiełbasą

Pieśń trzydziesta siódma. Pieśń rzeźbiarska

Dalsze przechodzenie, poruszanie się za pomocą wiatru
Rzeźbiony jestem podczas moich mistycznych spacerów

Pod skórą rzeźbią mnie słowa głęboko, boleśnie niekiedy
Rytmiczne strupy po nich na śliskim ciele podróżnika
W powietrzu rysują się słowa właściwe
odrzucając niepotrzebne kawałki moich tkanek
Materiał odcinany odsłania właściwy kształt głęboki
Drążą mnie pewne brzmienia prawie muzyczne wokół
bardzo ostre, łagodne zarazem uderzenia dłuta w cielesność
Ostatnie poprawki, szlifowanie do gładkiej chropowatości
Tutaj znaczenia są bardzo wnikliwe i docierają celnie, oj

Przechodzę przez ich delikatne łuskanie i pieszczoty
zabierają coraz więcej zbytku z mojego nieciała
Wielkie szczotki w myjni samochodowej przenikliwe
wycinają resztki styropianu cichego, ciepłego, izolacyjnego
Strzepuję się z niego, z jego resztek, strzepuję się z siebie
Idąc po brokatowym piasku, nie mając głowy na karku
w murzyńskim tańcu zbliżam się do następnego przystanku
Rytmiczne uderzenia we mnie, ślady słów mnie biczują
dla pięknego niewyglądu, dla nieistotnego nastroju sytuacji
To one jeszcze mnie określają, trzeba jeszcze zamieść resztki
Sam jestem teraz zaskoczony swoim prawidłowym wyobrażeniem
Śpiewam pieśń rzeźbiarską, rozkruszając się w brokat dekoracyjny
bliski morskiemu oddechowi, bez wygimnastykowania się w pocie

molto allegro
Pomału gubię swoje nogi i ręce
O rzeźb mnie, rzeźb, słowo wiekuiste
Pakuj mnie w czarne foliowe worki
te rozproszone tłuszcze po mnie
Niech całkiem nowy stanę przed tobą
wszystko zgodnie z naturą materiału
słuchając jej technologicznego szeptu
Nic nie będzie przeciwko mnie
pogłębi mnie bardziej do środka
za pomocą nowej wymowy

Pieśń trzydziesta ósma. Blu spotyka Ricarda

Na polaroidzie z 1982 roku stałeś mniej więcej
w takiej samej pozie, mrużąc oczy tak jak teraz
w wypłowiałych resztkach traw, jasnych
w pogniecionym podkoszulku z szarym napisem
Teraz znów tak stoisz w białych nietrampkach
patrzysz zmęczonym wzrokiem w stronę wody
Schodzi ci po raz ostatni skóra, od opalania się

Na nieudanym zdjęciu typu polaroid z 1982 roku
mrużąc ze zmęczenia oczy, w podobnej pozie stoi
wysoki żebrowany, w ciemniejszej wersji językowej
Smutne oczy patrzą na zamorskie krainy, za
Wygniecione, ciemne ciało wydzierane przez słońce

Ręce jakieś takie niepotrzebne, kieszeni brak
w podkoszulku z mocno wypranym napisem

Na plaży stoi postać jak na polaroidzie z 82 roku
Czarnuch ukochany w wypłowiałych kolorach odbitki
zdjęcie bardzo nietrwałe, rozsypujące się w dłoniach
Stoi jak patyk wbity w piasek, jako mój ostatni punkt
Z daleka dostrzegam jego rysy twarzy, to mój brat
który raczej nie bywał na zdjęciach, bo uciekał
Stoi w podartej koszuli z napisem Paradise Tours

Przewrażliwiony bardzo
Przebarwiony bardzo
Podatny na farbowanie
od wszystkich materiałów

Pieśń trzydziesta dziewiąta. Blu śpiewa do brata

Powoli zajeżdżam do zajezdni na końcu świata
Ostatni pasażer na gapę wsiada na końcowni
w łagodnym przyzwoleniu mroku i świateł
Widzę jego odbicie w szybie przybrudzonej
podobny jest trochę do mnie, mruży oczy z dala
bojąc się ślepoty od mocnych uderzeń z boku
czarnego słońca prosto w twarze, bez przygotowania
prosto na rozdziawione twarze, bez przygotowania
Jesteśmy razem z tajemnego zakonu braci zgubionych
Mamy habity uszyte trochę ze smutnych spojrzeń
z klauzurą wiekuistego śpiewania i milczenia
Na naszych biodrach sznur przewiązany luźno
by czuć, że jeszcze istniejemy, by mieć dowód
wszystko wskazuje na to, że już nie jesteśmy
Mój zszywany ściegiem amatorskim brat-brak-wrak
na plaży z rękami pokłutymi w różne wzory
Teraz możemy się z radością porównywać
nasze podobieństwo odkryć dopiero tutaj
ten sam sposób seplenienia, z dużą ilością śliny
cicho, niewyraźnie, nerwowo zadając sobie rebusy
nie w formie haiku czy też zdania z myślnikami
ale formie mnogiej, barokowo zaprzepaszczonej
z dużą liczbą detali i zbędnych szczegółów
które płodzą się bez ustanku, po kilkanaście miotów
na minutę z każdego słowa, z każdego brzmienia
nasza rozrzutność słów, dźwięków, obrazów
których nie ma gdzie przechowywać z nadmiaru
Jak my się mamy zmieścić z tym wszystkim
Czy jest jakieś rozwiązanie naszego problemu?
Czy jest jakiś funkcjonalny system meblowy
do przechowywania tych bytów niepraktycznych?
Nasza reguła została spisana wiele wieków temu
reguła opierała się na specyficznym mrużeniu się
Miło cię tu widzieć, umorusany w brokacie bracie

Pieśń czterdziesta. Rebus II

Mógłbym się nie dzielić z nikim ułomkami w koszach
swoimi utopiami utopionymi na dnie wanny, bez korka
Mógłbym się schować przed innymi w roli scenografa
skrywając swoje ludowe misje, sugestia tła jedynie
Lecz ty, Rolando, ze złamaniem otwartym swojego bycia
przyszedłeś we śnie moim, wkradłeś się na paluszkach
innych nie budząc w środku nocy, nie przeszkadzając
Przyszedłeś z rebusem w kieszeni w piżamie dla dziecka
Czemu obdarowujesz mnie takim dziwnym darem?
I nie rozpłynąłeś się na moją milicyjną komendę?
Lecz stałeś, pozując jak na zdjęciu polaroidowym z 82 roku
gapiąc się na mnie z błagalnym wyrazem twarzy
Twoja przenajświętsza wrażliwość właściwa tylko tobie
Opowiedz, jak to się stało, że leżałeś taki umierający i pokłuty
w miejskim szalecie zarzyganym przez anorektyczki
Matka nie dostarczyła ci odpowiedniej ilości witamin?
Twoja dieta za uboga była w warzywa, w owoce?
Po co przychodzisz do mnie z takim głupim wyrazem oczu?
Więc stałem się prawie cycatą ratowniczką z patrolu
słoneczną ratowniczką wyciągającą twego trupa na brzeg
bez szansy na jakąkolwiek reanimację, zmartwychwstanie
przyglądając się tobie uważnie, drobiazgowo cię opisując
Chciałeś mi coś przekazać, jakiś rebus nierozwiązywalny
Mówiłeś do mnie w niezrozumiałym mi z brzmienia języku
Stałeś we śnie, szeptałeś z trudem tak, jakbyś dopiero się uczył
wypowiadać prawidłowo zdania, wyrazy, dziwne słowa
To było jak ciche pojękiwanie niemowy z trudem fałszu
Szeptanie słów, które były zamazane korektorem i wydrapane
nożem introligatorskim, zdarte z warstwy rozumienia ich
Resztki zostały zamazane markerem Universal Permanent
jednak coś tak mocno tkwiło pod tą warstwą skrytą
chowało się pod czarną folią malarską, zachęcając
by wymacać kształt i radośnie krzyknąć, aha
W twojej mowie nowe są brzmienia słów
Jak być jeszcze zrozumiałym
nie umiesz powiedzieć
to jest twoja pokuta
brak słowa
—

Wszystkie znaczenia tkwią pod absolutnie szczelnym kamuflażem
ze słomy, z kamieni, ze szmat maskujących głębokość pułapek
Musiałem tę pieśń wyśpiewać za ciebie, udając twój ton głosu
Musiałem wniknąć w nieczytelne warstwy, w resztki pozostające
Gdyby się tak nie stało, musiałbyś czekać w zakładzie utylizacji
odpadów higienicznych dla niewystarczających, w oczyszczalni
Niech więc zabrzmi wreszcie twoje śpiewanie pełnym głosem
tańcz przy tym z radości, wykonując przy okazji Nieboskłony
wymachuj dziurawymi rękami jak białymi flagami na znak
twojego oficjalnego poddania się

Pieśń czterdziesta pierwsza. Ostatnia chwila Czyśćca Ricarda

Ricardo śpiewa wreszcie
Otwierasz mi usta bardzo szeroko do badania
do dentystycznego, laryngologicznego dźwięku
tak, aż moja żuchwa swobodnie odfruwa na bok
Śpiewam nie za pomocą słów, ani też jakiejś składni
swoim ulotnym niebyciem mruczę cicho
resztka obecności jeszcze pomrukuje z ciepła

Nie będę śpiewał o moim przewrażliwionym bycie
Nie będę śpiewał o moim tłustym ojcu Heliosie
Nie będę śpiewał o mojej matce porwanej przez morze
Nie będę śpiewał o połykaniu kwaśnych winogron
Nie będę śpiewał o mojej śmierci
Nie będę śpiewał o niegodziwości wspaniałych narkotyków
Nie będę śpiewał o moralizowaniu i niemoralizowaniu
Nie będę śpiewał o jasno i sterylnie wyznaczonych szlakach
Nie będę śpiewał o moim błądzeniu i niebłądzeniu
Nie będę śpiewał o ostrych kamieniach w mojej stopie
Nie będę śpiewał o smutnych spojrzeniach
Nie będę śpiewał o nadmiarze śliny w słowach
Nie będę śpiewał o tobie siostro moja, bracie mój
Nie będę śpiewał już o niczym, wszystko zostało mi darowane
za jedno słowo
Nie jest ani miłosierdziem, ani przebaczeniem
lecz czymś zakochanym w tobie tak, że zapomina
że jesteś zafajdany resztkami po wczorajszym obiedzie
że masz resztki farby pod paznokciami i ją ciągle wyjadasz
badając, jaki smak ma zdrapywanie do białości, do czystości
Nie umiesz zawołać, zabrakło ci słów, których nadużywałeś
Pozostały ci tylko puste uderzenia w blachę w rytmie zdań
może by się ktoś domyślił, że jest to rodzaj alfabetu Morse'a
lecz bez znaczeń, bez znaczenia dźwięki te były
Wybacza ci wszystko, przyciąga cię do siebie
za kręgosłup ze skłonnościami do skoliozy

Pieśń czterdziesta druga. Blu śpiewa o śmierci Ricarda

Nie jest łatwo nosić brzemię zachrypniętego głosu
Czy mam stanąć tak jak ty, domalować sobie twoje rysy
bardziej przekonująco zagrać twoją rolę ducha?
Niech więc będę twoim głośnikiem, twoją tubą głuchą
będę tłumaczem twojego milczenia, tak jak kiedyś
Teraz będę cię tłumaczyć, jeśli pozwolisz jeszcze raz
Byłeś wiecznie rozmazywany przez swojego ojca
który jednym ruchem przekreślił ciebie, twój łupież
przydługie ręce, chude nogi, zmrużone oczy

Nikomu się nie chciało rozczytywać niechlujnych słów
znaczenia ich ulegały destrukcji, coraz większej korozji
język stawał się dla ciebie coraz bardziej bezużyteczny
W końcu zamilkłeś, postanowiłeś to sobie na zawsze
Twój głos stawał się coraz smutniejszy i gorzki niewybaczalnie
Coraz więcej byłeś podziurawiony przez ostrza strzykawek
ten właśnie las piniowy sprawił, że stałeś się durszlakiem
dlatego wszystko przepływało, nie czując żadnych oporów
W miejskim szalecie leżałeś i umierałeś, dosyć to zabawne
na pewno melodramatyczne, sentymentalne tak zdychać
za ostatnie pieniądze ukradzione z torebki
uszytej z wężowej skóry
Widziałeś kolorowe ściany, przenikałeś przez nie
dzięki dziurawej chemii, przenikałeś przez meblościanki
Byłeś tą nieważną literą alfabetu, tą ostatnią, tą zbędną
dla porządku słów, dla języka, konstrukcji ze sklejki
Leżałeś, opalając się w pełnym lśnieniu lampki łazienkowej
opierając swoją przyciężką głowę na śmierdzącym sraczu
Dworcowałeś przez wiele tygodni, więc cuchnąłeś
swoją obsikaną fizjologią, śliną ściekającą z ust jak jad
Byłeś taki zmęczony paradą wenecką tych głosów
we śnie twoje serce, niepewne kolejnych uderzeń
przestało ci wreszcie służyć cicho w środku, zmarło
Opadłeś upozowany na posadzkę, kierując swe oczy
na sztuczne oświetlenie, ono zdawało się gasnąć
Posadzka, na której leżałeś, była mozaiką szczególną
przedstawiającą historię zbawienia w wersji light
w wersji dla korzystających z miejskiej łazienki
Postacie wszystkie szczerzą białe, amerykańskie zęby
Ich kolor komponuje się z kolorem umywalek
gdzie szatan to uśmiechnięty kolega z klasy
z nosa wyjada dziwne rzeczy, poci się ze strachu
swąd jego lęku przed nauczycielem czuć wszędzie
Chrystus to gwiazda kina popularnego we Włoszech
na którego polują lafiryndy i rzesze dziennikarzy
chcą robić sobie zdjęcie z nim w tle, z autografem
mieć kolejne, niezbite świadectwo jego istnienia
zbadane przez chemików ustalających daty powstania
pocieszyć wszystkich ateistów, że to fałszerstwo
kolejny zuchwały triumf nauki nad wierzeniami
Murzynów, dzieci, starców drżących, sikających w ławkach
oświetlając sztucznym oświetleniem nieprzenikniony mrok
za pomocą wszelkich nam dostępnych zdobyczy techniki
Pozostaną im tylko te białe zęby szczerzące się
z hasłem dbaj o swój promienny uśmiech pośmiertny
Taka mozaika popularnonaukowa w miejskim szalecie
na którą nie mogłeś już patrzeć, na niej umierałeś

Poczułeś wtedy ryk trzeźwego chłodu, wymagania
Usłyszałeś, że jesteś niedostateczny z plusem
złowiony za pomocą niedurszlaka
został ci włożony do niekieszeni rebus
rebus do wypowiedzenia
Ty sam nie mogłeś wypowiedzieć jego rozwiązania
nie miałeś tego daru języka, za karę i bezszelestność
Mogła to tylko twoja siostra, skryta w milczeniu
Musiałeś ją prosić w sposób niezrozumiały o pomoc

Echo po ciele jeszcze raz odbiło się w sennej rzeczywistości
tak stałeś w przepoconym podkoszulku, ucząc się mówić
od początku, krztusząc się, deformując wszystko śmiesznie
wymówić słowo między znaczeniami, literować je
to słowo jest dmuchanym kołem z PCV
kołem ratunkowym, rzuconym, wypychającym cię
Tylko jedno słowo, które nie istnieje z powodu wad
wymowy, seplenienia wszystkich języków, dialektów
Analiza zbawicielska każdej sekundy twojego życia
twój każdy spłowiały włos został zbawiony z osobna
Zbawiony jest także ten cyniczny w twoim przypadku napis
na wypranej i przebarwionej od innych podkoszulce
żeby Paradise Tours dobrze się kojarzyły z niebem
Zachęcić wycieczki szkolne do odwiedzenia tych okolic
które są ciągle niedocenione, mało reklamowane w TV
Zbawienie miłosierne dryfuje niczym meduza w wodzie
możesz go nie zauważyć, choć mieni się, odbijając ciebie
Jego galaretowatą strukturę trudno uchwycić w wodzie
Uczyni cię miłosiernym, uczyni wszystko na nowo
Uczyni cię ostatnim plażowiczem przed przypływem
Oto teraz dziury po kornikach zostały zaimpregnowane
będziesz teraz mógł wyglądać jak stary, stylowy antyk
Handlarze będą się zabijać o ciebie, jeden już umarł

Niech więc nastanie już twoje milczenie i niech tylko ciche
świsty wiatru w tobie jeszcze pozostawią jakiś pogłos

Pieśń czterdziesta trzecia. Ostatnie przechodzenie

Idę brzegiem plaży w moim zapiaszczonym bycie
Jestem największym burzycielem konstrukcji z piachu
choć dosyć dyskretnym krokiem kroczę tanecznie
absolutnie wolny w dzisiejszy wieczór życia
Więc gdzie chcesz ze mną pójść na późny spacer?
Poczujesz chłód mojego śpiewania, może ubierz coś
cieplejszego, coś włóż na siebie, byś się nie przeziębiła
bo jeszcze umrzesz i wtedy to będzie dopiero ciekawie
Więc ubierz się ciepło na spacer z trupem zbawionym
Pachnę likierem kokosowym, a moje usta są niebieskie
od pocałunków przechadzających się na plaży
Zatracam rysy twarzy najbardziej mi znane
takie legitymacyjne, rozpoznawalne, wzrost 174
znaków szczególnych miliardy we mnie
Przemieszczam się, zdążając na molo w Ahlbecku
gdzie przejdę po drewnianych stopniach rytmicznie
Festiwal organowy przy każdym moim dotknięciu
palcami u nóg zagram jeszcze raz coś pociesznego
Wszyscy będą się dziwić, że potrafię grać stopami
co za miły, niepełnosprawny człowiek, tak potrafi
Będę naciskać te drewniane klawisze, bez obawy
Oto jest wejście na mój punkt obserwacyjny, ostatni
Przed wejściem widzę jeszcze resztki architektury

Z cukru pudru i śliny poczynionej przez ludzi budowli
uświetniające tysiącletnie rocznice śmierci świętych
oni nigdy się namiętnie nie całowali, nie dotykali
im zawsze było wstyd tak zatracić się na chwilę
w ciepłocie izolacji, w pomarańczowej skórze
Dmuchnę, tchnieniem rozproszę wokół siebie
te przemądrzające się w mej pamięci wieżyczki
zdmuchnę ten tort urodzinowy bez świeczek
z dużą ilością tłustego kremu, z dekoracjami
żyj sto lat, sto lat, sto lat i nigdy nie umieraj

Przechodząc, znoszę ze sobą wszystko
W lustrze ustawionym w stronę morza
w jednym z od dawna nieużywanych hoteli
widać przeglądającego się na tle Morza
Widok ten ścigać cię będzie od teraz
aż złapie cię za ramię i krzyknie
raz, dwa, trzy, szukasz mnie teraz ty

Pieśń czterdziesta czwarta. Domy z cukru pudru w Ahlbecku

Dosyć cukrowych rozwiązań architektonicznych
nad brzegiem wody jeszcze widać ich szyk
nad słoną wodą cukier, mój Boże, jakie to urocze
Białe rusztowania dekoracyjne, wyżej, jeszcze wyżej
skręcone tylko w niejasnym układzie pokoi i niepokoi
Ma tu bywać Bóg z dziurawymi zębami leczonymi
Myśleli, że przy parapecie w takim domku jest miło
będzie można oglądać jego dobrotliwe twarzysko
jego wapienną figurkę z martwym uśmiechem
Nie spodziewali się słonej wody oczyszczającej
szczypie w oczy tak, że je przecierasz ze zdziwienia
Choć bliskość morza była odczuwalna intensywnie
skryli się w koronkowe i wysokie rusztowania
koncentrując się na białym montażu do użytkowania
Szlifowali z zawziętością szczegóły wystroju wnętrz
detale dekoracyjne, gustowne dodatki w stylu retro
Choć z okien widać było już obiektywną czerń
Choć z okien widać było już nieskończoną toń
tuczyli się węglowodanami, podziwiając swoje prace
swój sztucznie diamentowy pot na zmęczonych czołach
Dumni i pewni motywów dekoracyjnych użytych właśnie
wykorzystywanych w przemyśle cukierniczym
Tucz się, tucz z uśmiechniętą naiwnością, rozczarujesz się
twój Bóg nie ma siwej brody mędrców ni zgrabnych nóg
Wielki żywioł poszerza ciągle swoje granice mocniej
podmywając dyskretnie fundamenty
pudrowych zjawisk w swoim otoczeniu
Sól wygra z cukrem, bo nie lęgnie się w niej nic
Umykajcie więc, resztki po architekturze w Alhbecku
wygodne i komfortowe, z widokiem na morze

Dużo świeżych kwiatów w przejściach, w pokojach
Cisza i spokój i można odpoczywać miło od pracy
leżąc, leżąc w łóżku wygodnym jak grób
Nie trzeba schodzić na plażę, jest ciepły basen w środku
Nie musisz zderzać się z chłodem wymagania od ciebie ciepła
Basen jest zawsze otwarty, temperatura wody jest komfortowa
Pozostaną jedynie stare zdjęcia dokumentujące budowle białe
Według starych zdjęć wszyscy będą zgadywać te dawne miejsca
i będą szukać w swej niepamięci ich lepkich resztek

Pieśń czterdziesta piąta. Molo w Ahlbecku

Na molo impregnowanym solą, sezonowo odświeżanym
idę, podziwiając głęboką czerń złożoną z przemnożenia
Wychylam się niebezpiecznie za dziwną barierkę
tracąc prawie równowagę, próbuję złapać tę wilgoć
Latarnie nieczynne oświetlają mi tę wieczorną drogę
Mój pas startowy, rozpędzam się, odfruwając daleko
z lewej i prawej strony wiatr całuje mnie coraz namiętniej
Nie mogę się ciebie doczekać, no choć już, chodź do mnie
Chłodny wiatr poczułem na swojej żylastej karkówce
No rozbierz się już, rozbierz, niech nastąpi rajska nagość
Zdejmij te przyciasne stopy, ten płaszcz wysuszającej się skóry
ten kapelusz tłustych włosów zostaw gdzieś przypadkowo
Rozbieraj się szybko, chodź do mnie, nie wstydź się
nagi i zawstydzony, i przygarnięty, tak zależny, Tak
Niech się otworzy ta czarna dziura pochłaniająca wszystko
do siebie z szerokimi ramionami, zagarniającymi każdą drobinę
Jestem w miejscu, gdzie wszystko jest dawno nieczynne
nigdy nie było czynne, zamknięte z powodu remanentów

W samotności przecieram swe oblicze
jednocześnie je rozmazując na zawsze
Nic nie będzie już do siebie podobne
na drewnianym pomoście obserwacyjnym
Połykam wiatr, otwierając swój pysk szeroko
Anioł zwiastujący przypływ w moim przełyku
utknął zdziwiony kształtem mej krtani

Pieśń czterdziesta szósta. Rysunek I

Mnogie resztki po mnie pogubione błędnie
w piachu pozostawione jak ślad ślimaka, ślina
na błyszczącym wewnętrznym blaskiem brokacie
Przechodziłem między plażującymi, idąc anarchistycznie
Moje ścieżki były naznaczone swobodą ruchu, bez zbroi
Nie było tutaj żadnych autostrad z czarnego asfaltu
ani dróżek wyżłobionych przez ukryte zaskrońce
chód był nie uporządkowany, tylko intuicyjny

Pokonawszy drogę od punktu A do B, przechodząc
do dalszych punktów porozrzucanych w piachu
dokonałem rysunku za pomocą ciepła
Co jeszcze po mnie zostaje, wystudzam się ciągle
Czyż więc zakładając chaos mojego wędrowania
wyznaczyłem nowy, czarny szlak turystyczny?
Teraz to widzę z dystansu, kształt chodzenia
droga między postaciami miała znaczenie i kształt
przepełniona anarchią porządkującą właściwie
na wyższym poziomie, znając wszelkie alternatywy
Oto mój ostatni rysunek poczyniony ze śliny
Panie i Panowie, dziwcie się, jaki oryginalny dobór narzędzia
Nie znam znaczenia tego rysunku, pachnie dziwacznie
Nie jest to jednak forma dekoracyjna, poczyniona dla kurażu
raczej dzika konstrukcja w części tylko mi ujawniona
Patrząc na nią teraz, wiem, że to część większej formy
Mam w spoconej dłoni jeden element Trzyczęściowego
aby z powrotem złączyć je w całość dawno rozbitą
Nie przyklejając ich za pomocą kleju szybkoschnącego
badając, w które pęknięcie wkleić, jaką część czego
Mój rysunek z pęknięć i ukruszeń wyznaczony
przez śpiewanie nadmorskie o słonym smaku
Coraz lżejszy jest nacisk na powierzchnię
więc kreska zaczyna się rwać i gubić na kartce
do rysunku technicznego, ma inny punkt zbiegu
linie horyzontu ruchome, przesuwające się
rytmicznie, zgodnie z cichymi ruchami fali
Nie zobaczysz więc tutaj szkicu z lotu ptaka
ani z żabiej perspektywy wyginającej do siebie
do siebie ciągnąc przedmioty, deformując je skrycie
Zobaczysz bardzo głęboko detal wszystkiego
z wszystkich perspektyw możliwych i utopijnych
Będziesz miał wrażenie, że wszystko zbiega się
do mięsistego punktu wciągającego do siebie
wszelkie byty z odwiecznej tęsknoty tworzenia
rysunków nieregularnych wykraczających poza
układ współrzędnych z ciała i kości poczynionego
Promienne linie zbiegu, koniec jest rozmyty
rozmazany przez rapidograf podobnież precyzyjny
ale niestety się rozlał, jeszcze w takim miejscu
miejscu zbiegu dla zbiegów ze świata poczynionym

Pieśń czterdziesta siódma. Przypływ

Oto nadchodzi przypływ obiecany i oczekiwany
Stoję związany prawidłowym węzłem żeglarskim
Słowa nie da się wciskać między brzmienia
Nadchodzi, czując wszelkie niedrożności we mnie
Moje cielesne myślenie pomału zaczyna się rozpadać
na fali pochłaniającej plażowiczów, na nią czekających
Właściwa w nieporządku kreacja, wybuch obfitością
pragnienie, by morskie stworzenia przypomniały ją
ukryte w nich instynkty nurkowania i nurzania się
Każdy z odpoczywających zaśpiewał swoją piosenkę

harcerską, pożegnalną, w nadziei na zbawienie ich ust
które zachłysną się powietrzem i wodą świętą
Wielka fala podtapia wszystko, lecz nie rozcieńcza
zagęszcza tym bardziej swoje możliwości, potencje
Rodzina znajdzie po mnie resztki kręgosłupa
rozpoznając, że to byłem ja, i pochowają trupa
Kosteczki koronkowe w muzeum wykopalisk
Wstęp wolny tylko w dniu zmarłych, ze zniczami
Wymachuję nogami, jeszcze coś mieć pod nogami
Jeszcze czuję dno, i jeszcze czuję dno, teraz już nie
nic już nie czuję, moje ciało rozpada się na pierwiastki
pierwotniejsze od wszelkich organizmów pierwszych
Na końcu nie ma już niczego
brak tu orkiestry symfonicznej robiącej nastrój
świeczek o zapachu cynamonowo-cytrynowym
Brak histerycznego klaskania w dłonie czy w czoła
Brak młodzieży wzruszającej się na samą myśl
Nie ma podniesionego głosu narratora błękitnego
pouczania i trzymania wszystkich w baraku
z kości słoniowej, w obozie zagłady z kryształu
Wielkie czucie ciągle cieszy, morusa się
w brokacie z resztek słów i bytów
Boże mój, Boże, wypełnij mój krwiobieg
słonym posmakiem nowych wartości odżywczych

Ostatnie moje słowa niech będą składane dla ciebie
w formie świątecznych wieńców triumfalnych
ze splecionych pogłosów słów zapomnianych

Pieśń ostatnia. Pusta plaża

((((((

Czyściec

[Czyściec — Motto]

Ad audiendum verbum
(dla usłyszenia słowa)

Pieśń pierwsza. Pralnia chemiczna

Nic już nie pozostało po dawnych wizerunkach
po wielkich ucztach, na których maczałeś swe usta
dostojnie i powoli, dostojnie i powoli

W pustce, w znużeniu rysują się nowe kształty
musisz przyzwyczaić swój wzrok do mroku
by zauważyć ich śladowe muśnięcia na boku
Oto leżę teraz w ciemności mnogiej, wielokrotnej
Me usta zawiązane są w kokardy drapowane
Tak wygląda drugi początek końca
w zapomnianej przez wszystkich odlewni żeliwa
które kiedyś miało służyć na zbroje, na mundury
tych najsłabszych i niezrównoważonych psychicznie
co to się mieli plątać się właśnie w Czyśćcu
Niech mi to udowodni ktoś wywazelinowany
że nie może istnieć druga strona postrzępiona
Niech weźmie te chrzanione lupy, skanery czułe
niech wybada wielkie braki wszystkiego
Stoję, prężę się w chórze dziwnych uczniów
z przekrzywionymi głowami śpiewają
Głowy i głosy przekrzywione ze zdziwienia
sobą w nowych, oczekiwanych funkcjach
na pasie dzielącym krainy niedostępne
Szczelne nory schowane, zapomniane
Syk chłodu i potępienia tylko rozrzedza
oddychanie innych, niezwykle intensywne
Idę ze szczotką drucianą na siebie i ciebie
Uciekaj, uciekaj ode mnie w podskokach
Widzisz moje oblicze pełne zacietrzewienia
masz się czego bać, kochanie, masz
Ostre szczotki, środki pielęgnacji drażniące
dzierżę w wysuszających się ciągle dłoniach
Druciana szczotka spoczywa już w kącie
w pewnym podkuchennym schowku porzucona
Szczotka druciana w mych dłoniach, berło
Powoli dostrzegam swoje brudactwo
Przecieram tory moich własnych wędrówek

zarastają one bardzo szybko kurzem
Biorę metalowy druciak do mycia naczyń
przypalonych garnków ze szwedzkiej stali
nigdy nie miała się przypalać, a jednak
Z wielką zawziętością szoruję ich głębokie dno
zobaczyć, jaka była ich pierwotna kolorystyka
Z drutu kolczastego korony, suknie me strojne
pochowanie w garderobach, pochowane w ziemi
Higieniczna misja pielęgnacji wszystkich
podmywanie w wodzie rumiankowej, nasiadówka
Rozdaję więc mydło z osobistego tłuszczu
z dodatkami pachnących słów zatopionych w nim
Możecie się teraz mną myć, moim woskowym ciałem
Płyny rozdaję do tych jeszcze bardziej intymniejszych
miejsc niż krocza, narażone są na reakcje alergiczne
na ciągłe informacje o tych drobnoustrojach, bakteriach
atakują nas one w ramach cichej wojny podjazdowej
w której jest tu ciągły remis, zero do zera
Mleczko kokosowe do powierzchni delikatnych
choć ślady zawsze jakieś zostaną w formie blizn
Czyść mnie, szoruj szczotkami, gąbkami syntetycznymi
Szoruj brud czystości tego wiecznego dbania o higienę
wewnętrzną i osobistą
Niech więc brudas we mnie jeszcze bardziej czarny
zaprzeczy mi w każdym słowie, zapełni arbuzami
Demontaż tak pięknie wysprzątanej konstrukcji
takiego niezwykle zdyscyplinowanego wysiłku
z zaciśniętymi zębami i zmęczeniem
z nadludzkim wysiłkiem poczynionej
z lubością ją zniweczyć, miękko
z impetem i namiętnością roztrzaskać w pył
dla miejsca, gdzie wszystko jest między
trzeba by znaleźć jeszcze lepszy środek czyszczący
aby usunąć mnie
Moje istnienie z mokradeł, z tłuszczów
moje istnienie z kurzu i bakterii rozpuścić
w odwiecznie śmierdzącym chlorze

Pieśń druga. Między

Czarna, brudna królowa, to ja, płaczliwa madonna
Mam drobne jeszcze błyski dobroci, można je zauważyć
jak przechylisz głowę trochę w lewo
to może dostrzeżesz we mnie ten zabłąkany odcień dobroci
Oto jestem Rozszczepiona pryzmatem twojego wzroku
Twoje spojrzenie na mnie prawie miłosne
złożone z tysięcy zaczepnych kryształków
Twoje spojrzenie i wiem już wszystko
Twoje spojrzenie i nie wiem już nic
A mój drugi kawałek rozszarpany, rozszczepiony
Jego krawędzie są ostrzejsze, można się skaleczyć
pokaleczyć język, podniebne podniebienie
W głębokich warstwach zostałam podzielona między
Powoli składam się, oceniam, czy jeszcze jestem

wyczyszczona z Blu i Bruny, czy jestem Bianca
Druga część mnie pomiędzy nie jest ani dobra, ani zła
na dwie nieregularne części pęknięta
Ich wewnętrzny skrzyp, walka błędnych rycerzy
Nic tu nie jest samym w sobie, wszystko odnosi się
to są ciągłe powtórzenia, powtórzenia, powtórzenia
po to, aby sędzia dokładnie przeanalizował
za pomocą mikroskopu elektronowego, kto skusił
które słowo skusiło, skacząc na oślep
To druga liga, Jemu nie chce się oglądać
Jest tu więc sytuacja nieskończenie pusta
Nie chce rozstrzygać, że coś się zmieni w grze
więc wszyscy czekają napięci jak struny
żeby zmiany zewnętrzne zmieniły ich constans
Zmierzcha już, zimno jest już, na zewnątrz
Idę skryta przez zmęczenie i mam słodką ślinę
Co rano czyszczę medale doskonałości
odznaczenia człowieka roku albo pół roku
taka łagodna, empatyczna, wszyscy lubią mnie
Promienne spojrzenie pieczołowicie mydlę, czyszczę
Te moje wyrestaurowane fasady to jedyna nadzieja
W kącikach ust i oczu, uszu tkwią wielkie czernie
wielkie apetyty niespełnione, głodne, ciągle by się spełniały
apetyty na wszystko, na wszystkich, mieć w sobie wszystko
Czym bardziej odświętne wznoszę jasne spojrzenia
tym grubsza warstwa narasta we mnie jako bunt skryty
Nie umiem być pokorna wobec uczuć dobrych, okazywanych
tych uśmiechów szczerych, tych lekkich skinień głową
Cóż za perfidna zależność wrzucona w moje istnienie
za fasadą jaśnie oświetloną, za fasadą ciemnością pokrytą
tkwi świątynia buntownika, skrycie odmalowywana na nowo
Bianca moje imię spisane, by wysoko i nisko
spoglądać, by znaleźć coś poza uczuciami, poza gramatyką
ciągle pomiędzy przebywać, doznawać rozkoszy
i goryczy bycia ani tu, ani tu
Niemożliwość zlokalizowania mnie za pomocą systemów
nawigacji satelitarnej i teologicznej
gdzie się aktualnie znajduje między
Lubię ten własny brud sklejający moje słowa, obrazy
Kreować od początku te klejące się do siebie spoiwa
z niczego
żeby tak było cicho i czysto
by móc według jakieś logicznej metody rozumieć
odzyskiwać wiarę w jakikolwiek sens mierniczy
podpisywać się jeszcze Bianca albo Chiara[7]
Białe rozcieranie rzeczywistości, do dna
do głębszych warstw, do konstrukcji pierwotnej
Moje zawzięte drapanie, prawie alergiczne
podrapać się do końca świata, do granicy
gdy się ściera już wszystko, nie ma już podłoża
Moje poszukiwanie sensu za cenę wszystkiego
za cenę połamanych paznokci, nieświeżej cery
O jad kiełbasiany, o drobnoustroje, o nieświeże oddechy
Sunę, oto ja, zachodząca gwiazda chińskich wyprzedaży

[7] *Chiara* (wł.) — odpowiednik imienia Klara bądź przymiotnik: jasna, przejrzysta, jednoznaczna. [przypis edytorski]

z bardzo dumnym wyrazem oczu, z bardzo dumnym
Prostuję się nerwowo, wyglądając lepiej zdecydowanie
Robię sobie ciągle samodzielnie operacje plastyczne
nadając mojej twarzy ciągle zdziwiony wyraz
nacinając skórę w odpowiednich miejscach
Wszyscy się podśmiechują ze mnie, widząc te zmiany
widząc ślady, blizny po moich rozciągnięciach
między słusznością i niesłusznością
Zbyt biała na popołudniową porę z ciepłem w tle
Zbyt chłodna, spokojna na zbawienną kochankę
Zbyt cicha, by jej głos ktoś pochwycił i się przewrócił
z przerażenia, z przerażenia, z przerażenia
Mój byt był zawsze zbyt, zawsze ta nawiązka zostawała
Dzielenie, po którym zostają dwa kosze ułomków
Te pozostałości, nie wiadomo, co z nimi począć
Zbyty, zbyty ciągnę za sobą, wyginając się mocno
Mój tren ślubny z szeleszczących ułamków
które po jedzeniu, miłości i snach pozostają

Pieśń trzecia. Przekrzywiony upadek

Mieszkam w ściółce leśnej — kreciej
z regularnie płaconym ogrzewaniem
gdzie wszystkie izolacje cieplne mruczą
Ciepło wyściela moje małe schronienia
z pluszu, z aksamitu, waty higienicznej
Budzę się rano, by co dzień wpieprzać
zdrową żywność i żyć w dobrym stylu
zrównoważonej diety metafizycznej
Nie jestem satanistką biegającą
w czarnych rajstopach na głowie
ani też kapłanką podcinającą piersi
biodra, łabędzią szyję, brązowe nogi
na znak, że nie pasują już do nastroju
do adwentowej sutanny w tym roku
Miało być sterylnie biało, chłodno
żeby nikt nie wchodził do mojej pułapki
zaprojektowanej na siebie samą
Mogłabym ciągle przypudrowywać się
spoconą twarz kokainą oblepiać
zachowując ten śnieżny odcień bieli
prawie nieczłowieczeństwa, diamentowy
prawie boski chłód spojrzenia na wszystko
Pozbyć się balastu głośnych opowieści
wielkiego chrzanienia ze szklanką wina
przekomarzania się i oglądania rannych
w ramach dobrej nowiny non stop kolor
Spokojnie w słonecznych okularach sunę
przez dynamicznie rozwijające się przejścia
podziemne
Skrywana biel kołnierzyka, to nieludzkie
bywać tak białym jak śmierć

jak bianka
Jakże by tu umrzeć, właściwie w jaki sposób?
Czy w wielkich cierpieniach oczy przymrużać z bólu
iskrzyć się w boleściach pozowanych do obrazu
czy odejść łagodnie nieświadomym przesunięcia?
Wybierz mi coś właściwego, na mój rozmiar
na moje możliwości amatorskiego teatru gestów
Przetestuj mnie, czy będę uciekać, czy ulegnę
Czy histerycznie będę pozdrawiać całą moją rodzinę
rozdając im w spadku kosmyki moich włosów
pozostawionych na pożółkłej od lęku poduszce
dekorując ją w orientalne wzory swym wiciem?
Swobodnie mnie skrusz i połam sobie, jak chcesz
Niech wygną się moje ręce, nogi poskładane
w porządku alfabetycznym, zrywając nowalijki
piano Moja śmierć jest biała, onieśmielona sytuacją
w której należy całować mocno w usta i patrzeć
Moja śmierć w czepku kąpielowym bawi się
w umieranie, mrużenie oczu od refleksów w niej
Lubi mój kolor, choć w ręku ściska nowe barwniki
W dzień mojego przekrzywionego upadku
wszystko było przekontrastowane i przesycone
Ta woda chlorowana, która była w basenie
powodowała niszczenie wszystkich tkanin
ich rozdzieranie w niefortunnych miejscach
W białym kostiumie siedziałam, oparta o brud
Baseny wykopywane na świętą pamiątkę męki
Nie chciało mi się wtedy pływać w tym moczu
irytowało mnie to ciągłe machanie łapami
Ciągle utrzymywać się na powierzchni lustra
rwać się do kolejnych oddechów, co wysoko wiszą
ciągle walczyć o to bycie między, o to poziomowanie
Mimo rezygnacji i zniechęcenia wodną formą relaksu
weszłam na pośrednią w wielkości skocznię, między
Chciałam zrzucić swe ciało zakostiumowane w dół
Lekko odbiłam swój ostatni ciężar, wygięłam się w łuk
triumfalny co najmniej, co najwięcej
Mój skręcony lot trwał sekundy niefortunne, odliczane
Uderzyłam w wystający brzeg sztucznego morza
w wykafelkowany skalny klif, wywafelkowany uskok
Poczułam długi ból głowy, kręgosłupa, palca u nogi
Krzyknęłam z bólu rozbita o chlor, o swoje ciało
Mój kręgosłup został złamany na tysiące części
które rozbite niestety już do siebie nie pasowały
ani ze względu na kształty, ani na motywy na nich
Zaczęłam się roztapiać, zgruchotanie czułam chwilę
przymknęłam oczy, licząc, że tak wygląda zakończenie
mojego skakania do góry w dół, do dołu w górę
Ciągnęłam za sobą cielesność wywleczoną
Migotliwa podążała ona wciąż za mną
próbowała we mnie odnaleźć dawnego właściciela
obwąchując mnie, sprawdzając, nie dowierzając
Trudno jest zostawić tę kapryśną słodycz po drodze
z daleka jeszcze w tylnej szybie samochodu widzieć
jak wyje z tęsknoty za tobą i nie rozumie, że to śmierć

Przepełniona wodą odzyskuję pełnię przecieku
Wtedy otrząśnięto mnie w chłodnym przejściu
w korytarzu usłyszałam pytanie i słowa rozwiązane
nie byłam w stanie ich uchwycić, mimo wysiłku
Nie miałam w sobie jakiegokolwiek zaczepu
żadnego przełamania w sobie, skrytej szczeliny
Słów tych zrozumieć nie mogłam, skierowanych
Przesunięcie smutne odsunęło mnie od siebie
Poczułam obietnicę brzegu oddalonego o miliardy
miliardy stóp, łokci, zaniedbywanych zgięć
Rwałam się, chwytając się czegokolwiek
ale wyrzuciłam się sama w szarosrebrny popiół
Dziwne, bo byłam przygotowana na zajęcia WF-u
miałam na sobie jeszcze ślad po kostiumie
idealnie nadającym się do pływania w morzu
Strój w cytrynowe pasy niebezpieczeństwa

Pieśń czwarta. Prochy

Oto linoskoczek, na poły przechodzący
nad piekłami srogimi, nad niebami mdłymi
teraz leży w swym stroju biało-czarnym
rozumiejąc powoli swe nagłe rozbicie
na grubą warstwę lepiącego się Prochu
Ukryte są w nim tajemnicze pumeksy i resztki
wysuszonego mleka z piersi, z witaminami
zmielone z dokładnością magistra farmacji
wszelkie lekarstwa, tabletki świata na wszystko
W środku można wyczuć jeszcze inne rzeczy
choćby spopielone kawałki słów za słabych
czy wałęsające się nawiasy jak pogubione rzęsy
Substancja ta miała cechy leczniczo-drażniące
smutek wypełniający mnie całą zgruchotaną
Słodkie tabletki przemielone otaczają mnie
Gorzkie antybiotyki zmielone w buzi
wyplute na krawężnik rzeczy wszelkiej
Wszystko było jakieś takie skurczone tu
z zimna i ze strachu, i ze smutku
podkurczone ze wstydu, że się nie udało
Patrzeć swymi przepłakanymi oczami
Nie można ich przymknąć ni zmrużyć
Krajobraz dokładnie 50% bieli-czerni
Mam w dłoni jeszcze prochy dla siebie
Moje kolorowe przyjemności skurczone
ściśnięte, barwiące swą słodką powłoką
by się lepiej łykało, by łukiem tęczy
zbawić moje bóle podziemne
Prawdziwe cuda mogą się zdarzyć, gdy zmieszam
różne lekarstwa ze sobą nie do pary, nie do wiary
Popiję zwietrzałym winem, poczekam na prochy
na moje wewnętrzne przecieranie się bolesne
Jeśli chcesz znać tę chorobę, to jest ona rzadka
osoba o takich skłonnościach cierpi prześmiesznie
ma potworne bóle głowy i zawroty, i krew z nosa

jej leci na ziemię, z nią całą na ziemię, zalewa się
wszystko widzi straszliwie ostro, każdy detal
mocno wbija się w nią, za głęboko zdecydowanie
Teraz jestem w prochach na prochach w twoich prochach
prawie zatopiona, trafiona, prawie zatopiona
Łykam miliony lekarstw za pomocą siebie, zanurzam się
Przedawkuję wielokrotnie ilość lekarstw na dobę
po to, żeby się już nie obudzić, by ten sen przedłużony
zagłuszyć za pomocą przyjaznej dłoni, jaką podaje nam
farmakologia
co głaszcze po głowie, głaszcze, głaszcze przyjemnie

Pieśń piąta. Trzy minuty Czyśćca

Trzy minuty Czyśćca, zdycham ostatecznie
Zdycham w twych ramionach jak w okowach
jak w ostatnim okopie w błocie wyżłobionym
Czy wiesz, że to przez ciebie te trzy minuty
przez to rozbicie pryzmatem twojego wzroku
twojego mdłego spojrzenia na mnie prowadzonego
Zostałam potępiona i zbawiona, bo nie umiałam
trzymać cię za rękę, nie odpowiedziałam ci
Widzisz, wszyscy mi mówili, że teraz będę płakać
że przypomnę sobie gorzkie wypełnienie tabletek
choć ich pozór, choć ich powlekanie jakże słodkie
Gdyby istniało tu jakiekolwiek ostre narzędzie
zabiłabym się wiele razy, z satysfakcją umierania
aż w końcu byś zlitował się nade mną i pochwycił
łapiąc za mą dłoń, stanowczo mi tego zabraniając
Już nigdy więcej bym tego nie zrobiła dla ciebie
Nie szantażowałabym cię swym płaczem, histerią
W wersji sproszkowanej już mnie nie chcesz za bardzo
teraz ta niepotrzebność, samotność wzgardzona
Nie ma jak pokutować, nie ma narzędzi tortur
Nie ma kół zębatych śmiejących się nieszczerze
Nie ma klatek z owocami rekordowo gorzkimi
Nie ma nic, tylko wielkie pogorzelisko wokół
Ten strup właściwy ciągle się goi i sklejony jest
z plastrem, jeszcze trzy minuty gojenia się
Daj mi właściwy powód mego czekania
W krainie zwęglonej baśni wszystko jest marne
Wszystko jest spalone, ze wstydu kryje swoje twarze
w kąty za karę
Tych kątów do odczekania miliardy, same kąty
Stoję bez ruchu, prawie jak umarła w kącie
Liczę do stu, liczę na ciebie, ojcze, liczę na liczenie
Zniszcz mnie lub zbaw, niech już nie będzie
trzech minut zapomnianych przez wszystkich
Czekam na litość
Wyciągam swe żebracze ręce, błagam o ruch
Z kartką pogniecioną informuję przechodniów
że jestem ciężko chora i nie mam nic
Mam temperaturę w cieniu bardzo niską
Czekam na litość bażancich spojrzeń na boki

Wyciągam się żebracza jak żagiel zwieszony
błagając o szept, co poruszy wielkie ciężary
Czy widzisz moje sczerniałe ręce z węgla wykute
z węgla, dobry jest na przeczyszczenie
Czekam na litość, zbieram na lekarstwa

Pieśń szósta. Sine jezioro pod powieką

Pełna bólu, zmęczenia sobą nie mogę kroczyć
w paradzie jednej osoby bez flag i emblematów
Odwracam się, zemdlona szarością w porcjach
Widzę mą podobiznę multiplikującą się w kątach
Fermentuję, deformuje się ciągle me senne spojrzenie
Smród tutejszy silnie uderza mnie po policzkach
boleśnie spłynęło wszystko wodospadami w doły
Upadłam jeszcze raz na siebie, próbując zobaczyć
wielki, osobowy siniec, rozlewający się we mnie
znak zakazu, nakazu i ostrzeżenia dla łobuziar
Odrętwiałe oczy podniosłam wielkim wysiłkiem
z siną twarzą pełną dźwięcznych zębów w ustach
Czyż nie jestem teraz piękniejsza, obita-opuchnięta?
Me wdzięczne policzki strzaskane, guzy się piętrzą
na prawej i lewej stronie mych skroni jak rogi srebrne
Uśmiecham się niecierpliwie uznając, że mnie poznasz
umalowaną dziś niewinnie dla ciebie, na spotkanie
Wije się niecierpliwie niewielkie rozlewisko
w odcieniach mieni się jej oleista fala
niestety niezachęcająco, niestety niezachęcająco
W szarym prochu fioletowo-zielone jezioro
Bajoro brudne, odmęty głębokie i ograniczone
rozlane tu przypadkiem przed wiekami
w sumie przez nieuwagę się wylało
ale nikt tego nie zmył, nie posprzątał
O nim się tylko zapomina, bo jest z boku
Jego solna toń wypełniła mi gardło
gdzieś przypomniałam sobie tę woń
znaczenie tego zapachu apteczne
walerianowy z cukrem smród wielki
Kompost, nawadnianie okolicy kroplami
z dozownika wąskiego, ciągle zatykanego

To tylko dla bydła gorszego sortu
dla cielaków z sutkiem w buzi
z papierosem najtańszym w okolicy
Mają twarde języki i żuchwy stalowe
smaków nie rozróżniają już w zasadzie
Na brzegu jeziora rozsypany cukier
Cukier zaciągający się gorzkim smakiem
dla histeryczek i histeryków baśniowych
drżą im ręce, nie potrafią nawet nosić siebie
Cukier na małe łyżeczki sypany
zachodzące walerianą zachody słońc

testów ciążowych i papierów lakmusowych
stosowanych przez jeszcze uczących się
Takie sine oko na pustyni pokrytej wykładziną
ukrywa to, że pod nią trwa konsekwentny rozpad
Pomóż mi podnieść oczy, pomóż mi spojrzeć
Cóż to za zjawisko niezwykłe i smrodliwe
czy zapominanie aż tak cuchnie, aż tak?

Pieśń siódma. Bianca śpiewa nad walerianowym jeziorem do nieznajomego

Moje spierzchnięte usta wyszeptują pytanie do ciebie
Kim jesteś, o skulony? Gęsia skóra na twym ciele?
Językiem swym chłepczesz silny koncentrat waleriany
zalany tylko 0,000001% słonej wody z morza
ta niewielka ilość już wystarcza, że pamiętasz o wszystkim
Gdzieś Jego daleka obecność przypomina tobie
że słona woda jest bardzo zdrowa i antyseptyczna

Jeżeli umiesz rozciąć jeszcze raz usta do śpiewu
słowa wypowiadane spopielają się od razu w miał
Nic nie ma smaku, nawet waleriana, nawet twoja ślina
Proszę więc o łyżkę cukru, małymi porcjami popijajmy
za naszą pośmiertną starość i niedołęstwo spowodowane
uprawianiem sportów, które defasonowały nasz bezruch
zapomnieć wszystko, czego nauczył komitet normalizacyjny

Kim jesteś, skulony potworze z jezior fotografowany?
Wszyscy myślą, że jesteś rodzajem istnienia niemożliwego
że jesteś istnieniem z dosyć precyzyjnego fotomontażu
Gumowy łabędź, z którego tchnienie umknęło, i zmarszczony
taki materac wydmuchany, dziurawy w swych spojeniach
Leżysz wyrzucony na brzeg walerianowego sińca w kształcie
nieregularnego koła narysowanego prawie ludzką ręką
Potrzebowałabym teraz kogokolwiek
Czy ty możesz być przez chwilę
Kimkolwiek?

Pieśń ósma. Walerianowy śpiewa żołnierskie piosenki

Fioletowy język trzepocze zalękniony pieśń ostatnią
nad rozlewiskiem zabagnionym ze szlamu i waleriany
Wojenne pieśni śpiewam nad głuchym jeziorem, echami
Ciągle zapomnieć nie mogę, choć chłepczę tę maź
Czynić tak muszę na pamiątkę tego, że musiałem pić
dużo lekarstw uspokajających, zapominając na zawsze

czym laur zwycięstwa jest odkupiony, medale spoczywające
w komodzie sosnowej, nie było gdzie ich położyć
To była krwawa jatka, nikt już tego prawie nie pamięta
Mnóstwo rannych, sami zabici, piekło na ziemi
choć teraz nie jestem pewien używania tej metafory
Walczyliśmy w kurzu czarnej chmury z deszczem kwaśnym
Nadchodziła burza gniewu, dla nas, dla mas wyginanych
dla mas wyginanych miękko-swobodnie na wietrze
Zabić wroga gwałcącego nasze łąki i miasta brudne
Jego kobiety czeszą się inaczej niż nasze, mają karminowe usta
naszym się zawsze włosy przetłuszczają, to oznaka zdrowia
Wojenne pieśni śpiewam nad głuchym jeziorem, z chórem
Wiesz, jak wygląda pejzaż pełen fontann żylnych, tętniczych
Nigdy pewnie nie byłaś w miejscu, gdzie nóż nie wystarczy
Te krzyki, te ciała porozrzucane przez huki, bomby
Widzisz te twarze pełne zalęknienia, płoszą się zwinnie
patrzą na ciebie, błagając o naturalną litość w tobie wydzielaną
Zamykają oczy, zaciskając je do środka, obawiając się huku
przypominają sobie jakieś pourywane strzępy modlitw
Ty stoisz przy nich i celujesz prosto w ich twarze ściśnięte
Wydaje ci się, że widzisz twarze wszystkich męczenników
rzeźbionych w miękkim drewnie przez szatana rzemieślnika
On uwypukla, jak mocno cierpią z niczego, dla igraszki losu
Te lukrowane słodycze palone, smażone i farbowane
Jak już strzelasz, to odwracasz głowę w stronę czyśćca

W końcu jednak trafiono i mnie, w ucho lewe — prawe
Leżałem wtedy na leżaku, spoglądałem w niebo
Słoneczne leżaki — nosze, niosą cię do szpitala
a tam dowiadujesz się, że nic z tego nie będzie
chyba że wytną ci wszystko bez znieczulenia
Będą ci nożyczkami do papieru wycinać wycinanki
Wydrylują twoje owocowe, robaczywe wnętrza
Wtedy przypomnisz sobie twarze wszystkich zabitych
własnoręcznie za pomocą karabinów na słowa
tratatatatrattaatrrratatratttatratttatratttatatatrrrrrata
takie karabiny mają techniczną usterkę, mogą się zacinać
i jąkać

Pieśń dziewiąta. Bitwa po bitwie

Leżę twarzą odwrócony w popiół, do środka
Muszę leczyć swe obrażenia wewnętrzne
Uciekają mi słowa pieśni żołnierskich i patriotycznych
ku pokrzepieniu serc, po śmierci krzepną z trupami
Tak bym chciał je śpiewać, żując czerwone kwiaty jak tytoń
Podsłuchujesz mnie bez ustanku, ty jesteś szpiegiem
Twój głos skryty ma w sobie ten pogłos stłamszony
zdradza ciągłą rejestrację każdego szmeru najcichszego
Czy teraz dobrze mnie słyszysz, czy przesunąć się odrobinę
do skrytych mikrofonów, czy są bardzo wsłuchane we mnie?
Chcesz śpiewu zwierzeń tego, „całego w sińcach”?
Dobrze, to niech wszyscy mnie potępią jednogłośnie
skazując mnie milionowy raz na karę śmierci za dezercję

Z pola walki zabrano mnie tutaj, piejąc dostojnie hymny
wachlując me zwłoki skrzypami i widłakami w trakcie
podczas pogrzebów spreparowanych przez domyślne wdowy
Po śmierci nastała bitwa we mnie, w każdej mej komórce
w każdym organie wewnętrznym słyszałem te skrzypy
przerzucany przez widłaki, to w jedną, to w drugą stronę
Wszystkie moje niedrożności zostały odrzucone razem
Moja batalia trwa ciągle, pełen furii kruszę się ze sobą
płacząc nad wielkim jeziorem, zostałem uderzony
w najczulsze miejsca pod skórą byka, wołu pochylonego
Nagi, bez zbroi i mundurów zszywanych z resztek
Jestem zmęczony tym ciągłym krzykiem bojowym
w oczekiwaniu na wroga w pełnym kamuflażu
Moje jezioro zostało mi dane, żebym zapomniał o biciu
mocno w policzki, dla ich własnej przytomności
Cucić się ciągle z żalu, z otumanienia zapachami
Strzelaj do mnie, strzelaj prosto w serce, 60 punktów
Dostajesz bonus w postaci dwóch granatów z drzewa
prosto w mordę, bez zawleczki, czerwone i słodkie
Po śmierci jestem jeszcze bardziej wycięty w sobie
tylko ścinki zostały po moim żołnierskim rynsztunku
Takiego mnie widzisz, taki słaby kadłub leżący
zgnieciony sam przez siebie w popiele nieświętym
Ślinię się, bo nie mam w sobie żadnych zwieraczy
Oczekuje się od mnie skrycie zupełnie nowych rzeczy
Do tego potrzebna jest mi waleriana, boskie lekarstwo
Moja pokuta nazbyt oczywista, muszę wypić ją z czasem
tę wielką gorzką łyżkę, a wtedy stanę się tylko echem
z sennym mrużeniem poobijanych oczu
z walerianowym odcieniem przeminę, wietrzejąc

Pieśń dziesiąta. Bianca obraca się wokół siebie pierwszy raz

karuzela metafizyczna
Odwrócę się od ciebie, nie będę słuchać
tego smutnego wykrzykiwania pustej sceny
tylko taka amatorszczyzna mu pozostaje
Chciał maszerować, a leży skulony w okopach
zsikany ze strachu sam przed sobą, przed wrogiem
licząc na zbawienie za linią swego horyzontu
Boli mnie słuchanie jego kwaśnego jazgotu
dźwięk, co porządkuje moje tańce ze śmiercią
Ona pochwyca mnie za biodra i obmacuje pijana
oczekując, że mam ciało na zamek błyskawiczny
to pozwoli jej szybko mnie rozebrać i obrać
Odwracam swój pielęgniarski głos zmęczony od niego
Śpiewak z mordą pełną karabinów starego typu
Pot mu jeszcze pozostał na nylonowych mankietach
Podchodziło mi wszystko pod gardło nacięte
jad szerszeni i pszczół, byłam zatruta od niego
Zawroty głowy, omdlenia jako skutki uboczne

Obracam się jako karuzela siedmioramienna
Obracam się wraz z drągami zespawanymi ze mną
Każde siedzenie jest już tutaj zarezerwowane
Niecierpliwie się kręcą w swoim miejscu, czekając
na swoją kolejność wywołanych do odpowiedzi
Jestem osią tej karuzeli, zakręcam się wokół siebie
chcąc pozbyć się tych brzmień nałożonych w nadmiarze
oto moja pokuta

Słuchanie tych kręcących się
wokół siebie rozciągniętych
Jestem karuzelą karuzeli
Mój ciężar nierozłożony
równomiernie, krzywo
Stracić tę pieprzoną równowagę
ruchu i trwania w sobie, o sobie
we własnej osi, na własnej osi
Taki przyrząd z ciernia utkany
dla zabawy, rekreacji po trudzie
w czasie, gdy park jest już zamknięty
dla odwiedzających groby

Pieśń jedenasta. Viniale

W nadmiernym ruchu, tracąc barwy na rzecz szarości
powoli moje rozkręcenie zaczęło zanikać dostojnie
Zobaczyłam przed sobą willę Viniale, stała na górze
Góra z pumeksu kosmetycznego w popiele zanurzona
na której pozostawały jeszcze skóry wężowo-księżycowe
Budynek miał w sobie tylko delikatnie muśnięcie różu
Włoskie, zielone okiennice zostały dawno zamknięte
Gęste warstwy sadzy zdradziły mi tajemnicę ukrycia
Źródło brudu i podgrzybków, niejadalnych czarnych głów
Sama zresztą podejrzewałam, że coś gnije tutaj w środku
nażyźniając okolicę swym pojedynczym wystąpieniem
Odwróciłam się w stronę zabitych drzwi deską piniową
Wtedy lekko zostałam przesunięta do środka tego pałacu
dłonią przesuniętą, co za dobro wynagradza, a za zło karze
Byłam w jego przedpokoju, panował mrok zmrużenia
W studniach głębokich wszystko miało swoje zakończenia
Pozbawione tutaj jakiegokolwiek sensu i funkcji meble
z sera topionego z dodatkiem wełny mineralnej, rzeźbione
i sreberkami kruchymi oblepiane, błyszczące, myląc
Zobaczyłam na wielkich schodach rozciągniętych wokół holu
siedzącą kobietę z bardzo chudym i smutnym policzkiem
ubraną w postrzępioną bieliznę z resztek srebra z piwnicy
Trzymała głowę w dłoniach wychudłych, wysuszonych
podkreślając bardzo matowy odcień twarzy
Zakorzenione tu były sadzonki ostów samosiejących się
Owa szorstkość jej trwania powodowała mój lęk
Prawie zauważalnie cofnęłam się do siebie znów
Poczułam, że jej pieśń z czarnego gardła gorzką będzie
Jej dzikie spojrzenie wyniuchało mnie w mroku
Nie mogłam się wycofać

choć chciałam mój ruch cofnąć
Takie są cholerne reguły gry
reguły gry w gry planszowe
nie można cofnąć ruchu
do momentu Niewiedzy

Pieśń dwunasta. Pani domu śpiewa

Jestem panią domu, jestem bardzo zajęta sobą
Muszę włożyć braki kwiatów w brak wazonu
Muszę rozmazać ten kurz z popiołu na meblach
Zabrakło mi środków czyszczących niestety
Nic nie jest przygotowane na przyjęcie gościa
Nie jestem ubrana dość wytwornie, nieumalowana
Misternie trzeba dobierać garderobę na wieczór
potem będą się z pani podśmiechiwać po cichu
że pani domu nie wygląda dobrze, zestarzała się
ostatnio
Będą ciągle komentować każdy szczegół ubrania
Dobór właściwych dodatków do całości kreacji
Wszystko komponuje idealny porządek i ład
A ty przyszłaś w moje nieprzygotowanie, teraz
Przepraszam cię za mój bałagan ciągły w środku
wszystko przez roztargnienie, przez wspomnienia
nie mogę powrócić ze spokojem do prac domowych
Prowadziłam dom mojej siostrze, przez całe życie
Ona przez lata bardzo ciężko chorowała i śmieciła
Zajmowałam się porządkami odpowiedzialnie, sama
wstydziłam się jej wolnego umierania przed innymi
Nie mogłam patrzeć, jak boleśnie odchodziła, umieraj już
Trwało to tak strasznie długo, na co czekasz, zbieraj się
Marzyłam o samotności i o tym, by umilkła, umieraj już
Miałam dosyć jej mycia, przewijania, karmienia już
utrzymywania wszystkiego w porządku, zdychaj szybko
To wszystko trwało latami, umieraj już, umieraj już
Opieka nad nią była taka męcząca, nie mogę już patrzeć
Nadszedł w końcu ten dzień, chwalcie boga, ach-lleluja
którego jutrzenki z dawna oczekiwałam z przekąsem
Siostra zmarła, nie obudziwszy się, nie poprosiła mnie
jeszcze o tę ostatnią przysługę podtarcia jej tyłka
mogła się przecież zesrać ze strachu, przed końcem
Po jej pogrzebie zostałam nareszcie sama w swym domu
Poślubiłam podczas tajemnej uroczystości siebie dla siebie
aby nikt nie rujnował pedantycznej sterylności dywanów
Wspomnienia błękitne grzybem odkładały się na ścianach
Pani domu prowadzi dom pełen bezpieczeństwa i ciepła
Pani domu kocha porządek przez lata, nic nas nie rozłączy
Unikałam ludzi ciągle odwiedzających z podarkami lichymi
Tą idealną harmonię mojego skrytego domu naruszyliby Oni
Raz dziennie chodziłam na targ po zakupy, by przyjrzeć się
tym ohydnym twarzom, brudnym, rozmnażającym biedę
Jak coś takiego można zaprosić do siebie, do domu?
Lecz ich nie powstrzymałam, do Viniale zakradł się gość
Tak jak ty tutaj zjawił się niespodziewanie, niezaproszony

Włamywacz wskoczył przez uchylone okno w dachu
Wyszłam w nocnej koszuli sprawdzić, kto hałasuje i broi
gdy zapaliłam światło, napastnik, którego nie rozpoznałam
rzucił się na mnie, zaczął mnie dusić brudnymi rękami
Czy Pani sobie to wyobraża, brudnymi łapami na mą szyję?
Gdy wytrącał ze mnie ostatnie oddechy rytmiczne
przypomniała mi się twarz mojej siostry odwracającej wzrok
odliczającej start swojej nowotworowej rakiety w gwiazdy
Gdy ostatni mój oddech został powstrzymany rybną dłonią
przymknęłam oczy na chwilę, wtedy w moim czystym domu
poczułam przeciąg

Nie było Obcego i mego ciała pod kredensem gotyckim
Chciałam pozamykać okiennice przed burzą, co nadciągała
Przeciągi są niezdrowe i można ciężko się rozchorować
Każde okno mojego domu było otwarte na roścież, hukało
więc zamykałam szczelnie moje sumienie na każde pytanie
Na strychu w ostatnim lufciku zapytano mnie
o moje przyznanie się do brudu
więc go ze złością zatrzasnęłam
by się nigdy więcej nie otwierał
Podmuchy wiatru wydają się czasem
jakimś nawoływaniem z daleka
jeżeli wpadną w jakieś szczeliny

Pieśń trzynasta. Nieporządki

Oto skryta siedzę tutaj zaczerwieniona porostem
Może ty będziesz moją przypadkową emisariuszką?
Moje zakurzone usta pełne, są poplątane w szykach
nieporządki oddechów i bezdechów grzybiarzy
Należałoby czyścić ten brud i kurz pokrywający mnie
Kurz coraz bardziej zamieszkuje tu w zakamarkach
Co na to powiedzą sąsiadki z okolicy i znajomi?
Mogę siedzieć tylko na schodach między piętrami
patrzeć, jak wokół mnie staje się nieczystość
a ja jestem tym źródłem brudu rozchodzącego się
Gdy popiół i zgnilizna wszystko już wypełnią
po brzegi wypełnię się kompostem nieprzyzwoitym
Wtedy ktoś odszuka mnie w tym otwartym grobie
dokona niezbyt sympatycznej ekshumacji
odkrywając moje domniemane imię
Grzyb piwniczny, grzyb biały wokół mnie kwitnie
kiedyś tak bardzo je zwalczałam, w kątach piwnicy
oczekuję ich obecności, modlę się o ich powracanie
Rozłożą one te żelbetonowe ściany na kruszywo
które wykorzystywane będzie do budowy obwodnic
Grzyb ten żywi się wilgocią od morza chłodnego
tak czekam znów na ten przeciąg powtórzony
bym była gotowa wobec niego i wobec siebie
Moją pokutą jest ciągłe spojrzenie mej siostry
której pod koniec lekarstw nie podawałam usłużnie
Czekałam z uśmiechem, aż w swoim moczu odparzona
odwróci się do mnie z powrotem, prosząc mojej łaski

Jakże są sekretne te odpryski z rzeczywistości
zmieniają mój dawny uśmiech w skowyt
No wie Pani, taki skowyt wewnętrzny
Czy Pani się to też czasem zdarza, taka dolegliwość?
Czy to normalne jest takie skowyczenie w brudzie
w okresie niemenopauzy, ale pauzy przeciągłej?

Pieśń czternasta. Bianca odwraca się drugi raz

Przestań, umilknij już, nie wiesz, jak fałszujesz
Drażni mnie twoja naciągana na znaczenia pieśń
Nie chcę zbliżać się do ciebie, śmierdzisz przykro
Rozkładasz się tak strasznie wolno, trwa to latami
Kompostowe lato, z tobą wakacje wymuszone
unikając pośrednio twojej obecności niepewnej
wśród mebli kolonialnych i tapet prowansalskich
Ich głównym nowym motywem jest scena hand made
Jedna z sióstr leży w łóżku i błaga Odwróconą o łaskę
pomoc w zdychaniu królewny na ziarnie grochu
Tapeta jest bardzo szczegółowa, a motyw w milionach
Ujęcie sceniczne pojawia się rytmicznie nie do zniesienia
Prowansalskie widoki, niby to słodkie, skradają się w bólu
powoli, słony grzyb zdobywa kolejne kawałki i lądy
zjada historie na tapecie przedstawione, stopklatki
Pożera powoli, rozkodowując ich dawną intensywność
Ten dom jest taki cuchnący odwróceniem, goryczą

Ubrudziłam się tobą bardzo
od twojej pieśni brud
Obracam się drugi raz na pięcie
Znam już trochę swoją mechanikę
ta minimalna możliwość ruchu
zatracić się w tym kołowaniu się
Znów widzę przesuwające się echa
po rzeczywistościach tańczących
Niedokończone rysunki się ścierają
Poczułam lekkie hamowanie
ktoś zatrzymywał mnie za włosy
siedząc na jednym z ramion karuzeli
zatrzymywał mnie swoim szuraniem
przydługich nóg o ziemię

Pieśń piętnasta. Przyrząd gimnastyczny Sensory Integration

Przede mną
drążek pojedynczy, przyścienny, nieistniejący

z obejmami i sworzniami mocującymi kurtyny
Listwa naścienna, spopielony słupek oraz odciągi
z hakami, by utrzymywały niezwykłe ciężary
Słupek, listwa naścienna z otworami po oczodołach
zapewniającymi regulację twojego poniżenia
Odskocznia gimnastyczna treningowa ku górze
z obiciem, ocynkowana rura stalowa, co chód oddaje
na obu końcach haki umożliwiające zawieszenie
twojego braku ciała na skrzyni gimnastycznej
będziesz mógł osiągać na tym sprzęcie lepsze wyniki
Wymachy ku górze
Materace gimnastyczne z wypełnieniem z pianki
regenerowanej, w nieskończoności się regeneruje
Liny z okuciami do zawieszenia twojego rozkładu
System mocowania lin do ściany, byś już nie spadał
Oto zestaw do treningu braku ciała Sensory Integration
Resztki po twoich skórach, po układzie nerwowym
są wyciskane przez metalowe konstrukcje ze słów
Cóż to za niezwykły projekt wystawienniczy
Te poręcze z podparciami do ćwiczeń duchowych
Ławka do treningu mięśni, dopiero je teraz ćwiczysz
Wcześniej ich nikła obecność nie była odczuwalna
nie wykorzystywana przez ciebie na co dzień
dlatego zanikły, teraz muszą urosnąć jak dzikie rośliny
które do bolesnej korozji cię doprowadzą przez zakwasy
Solidna konstrukcja ramowa z rur wysokiej jakości
Do lin spięta obudowa obciążników, byś ciągle fikał
zamknięty obieg linki, napinacz linki, wiszący drążek
do wyciągnięcia twojego zbitego w siebie cielska
Przyrząd do prostowania nóg zahamował karuzelę
i dzięki temu teraz jestem zawieszona na przyrządzie
Razem z tobą na *Sensory Integration* rozciągam się
Ja, miłosierna Samarytanka, nie wiem, jak pomóc
którą dźwignię mam poluzować dla ciebie
Profil stalowy półzamknięty z elementami
a w środku wśród tych lin i metalowych kółek
śpiewam pieśń dla skazanego na galerę, by mu miarowo
wierszem ułatwiać rytmiczne wykonywanie ruchu

Pieśń szesnasta. Użytkownik zestawu Sensory Integration skrzypi

Każde me słowo skrzypi z niedooliwienia
Słychać tak bardzo, jak się otwiera i zamyka
jego brzmienie w moich koślawych ustach
wszystko przez ten zestaw ćwiczeń na rozciąganie
Nagle wypowiedzenie czegokolwiek staje się trudne
Długotrwała jest moja rehabilitacja, skomplikowana
Opracowano system automatycznego nagrywania
na taśmy magnetofonowe zaleceń, instrukcja obsługi
moich pieśni pasujących do osobistego programu
Instrukcje do różnorodnych typów ćwiczeń

Zestawy opisów pozycji wykonywania ćwiczeń
komendy, cząstkowe opisy ćwiczeń, liczebniki
oraz informujące, motywujące komentarze nagrane
zmieniając we mnie elementy i moduły dynamiki
z liczbą powtórzeń na wybrane partie wspomnień
Ćwiczenia są łączone w dowolne zestawy, mam do wyboru
mogą być pogrupowane według charakterystyki problemu
Przygotowany układ może być łączony
z odpowiednio dobranym podkładem muzycznym
możesz zatem śpiewać do mnie cały czas, ty
wydając mi rozkazy i polecenia dyscyplinujące
bym w swym fartuchu nylonowym doświadczył potu
Poprawa samopoczucia, a przede wszystkim świadomość
sprawności własnego ciała
w nowej formule, nowe nieciało
Dzięki delikatnym impulsom przekazywanym
przez słowa uzyskuję efekt naturalnej pracy mięśni
podobny jak przy wykonywaniu tradycyjnych ruchów
Każdy może ułożyć swój indywidualny, sumienny styl
Niepowtarzalny, powtarzalny zestaw ćwiczeń
Jest to konstrukcja jedyna możliwa dla mnie
by mój tłuszcz odrzucić, by mój byt wreszcie znikł
dzięki zintegrowanej diecie z soli morskiej
Krystalizuje się ona w przejściach granicznych

Pieśń siedemnasta. Ćwiczenie z powtórzeniem

Śpiewam z pośpiechem w głosie swoim
będziesz miała wrażenie mojego ruchu
Jestem teraz może trochę podobny do ciebie
podobny do białej instruktorki aeroaerobiku
Zawieszone gesty spadają pod swym ciężarem
spadają ze zmęczenia, noszą w sobie tony
tony smarów i łojów baranich, schowanych
Pracowałem jako konstruktor, inżynier sumienny
Nosiłem w sobie trochę smutków, swą nadwagę
spowodowaną przez to, że regularnie się pieprzyłem
z kurtyzanami świata zalęknionego, spoconego

Tu następuje niesłyszalny refren
Miałem miłą żonę, od czasu do czasu zauważałem ją
między meblami kuchennymi, między RTV, kwitnąca
Traktowałem ją jak ostatnią w kolejce do moich majtek
przed nią za marne pieniądze robiły to profesjonalistki
wyciągnięte, długie, z gębami od krzyków udawanych
Pieprzyłem się z nimi regularnie, a płaciłem dobrze
ona patrzyła na mnie jakoś tak dziwnie w oknie
wiedziała wszystko, bo kobiety umieją niuchać
tymi swoimi szerokimi, łapczywymi nosami
Płakała codziennie dwie godziny, to był jej refren

Refren

Z powodu tych moich burdelowych przyśpiewek
chyba nawet kiedyś chciała wyjść, ale utknęła
między meblami kuchennymi, między RTV a AGD
nie mogła się w końcu przecisnąć się przez nie
Wchodziłem w wielkie zady tłuste i podatne
z ciągłą świadomością refrenu ukochanej-kwilącej
Nie chciało mi się sobie czegokolwiek odmawiać
wykonywać jakikolwiek ćwiczeń, pobudzić się
uruchomić mój układ krążenia myśli i uczuć
Tłuste złogi właśnie stały się przyczyną zawału
Po odbytym stosunku płaciłem rudowłosej pani
Zdążyłem spojrzeć na jej zaostrzone końce włosów
Zawał serca klasyczny, powieki zasłoniły wszystko
Ktoś jednak skierował do mnie jakieś pytania
ja nic nie mogłem usłyszeć, wtedy właśnie
odezwał się we mnie ten refren z dawna odrzucany
Chciałem go przekrzyczeć, uciszyć w sobie
te płaczliwe śpiewanie i ujadanie w powietrzu
co w sobie instrukcję obsługi mojej pokuty nosiło

Refren
Teraz do tej pieśni akompaniuje mi dyskretnie jej refren
zachęcając mnie do wytrwałych ćwiczeń, by zgubić to ciało
Ma w sobie tę burdelową dekorację z nasieniowodów
Moje resztki wyłowione dzięki *Sensory Integration*
rozrzucone zostały; do różnych ćwiczeń zmuszone
w tym rytmicznym ruchu archeologicznych bioder
zgubię ten płaczliwy pogłos, po wszystkich refrenach
i ćwiczeniach z pamięci, z ciągłymi powtórzeniami

Pieśń osiemnasta. Bianca odwraca się trzeci raz

Zgięłam się mocno na wciągniku *Sensory Integration*
Ciśnienie odśrodkowe nakazuje mi ruch dookoła osi
Skręt tak mocny we mnie, jakby ktoś mocno mnie ściskał
Wykonałam jeszcze skrzypiący odwrót oczu ku pustce
nie czytając z ust kłamliwych, speszonych podglądaniem
Przeszkadzam wykonującym pokutę w ciszy

Jestem tu zmuszona do pieśni, choć jej nie chcę
Me usta owrzodzone, pełne bakterii przygodnych
Owrzodzieją me uszy, oczy, dziąsła zbyt miękkie
Zmuszona jestem do odwiedzania ciebie w popiele
Znów mocno kręcę się w sobie, ma szybkość wzrasta
Przyjemne są te zaniki wszystkiego na rzecz rozmazania
rozmywania się w budyniowym krajobrazie

Znów na mych żeliwnych ramionach karuzeli czuję
pokutników martwych, wybrali niewłaściwe miejsce
Męczę się ich ciężarem ogromnym, jedyną rozrywką jestem
taka cyrkowa ze mnie dekoracja, żeliwna, czarna, czujna
na swych długich ramionach ze stali zaplątanych niosę
niosę wysłuchanie ściszonych do zera

Jawię się spowiednikiem zmuszonym do wycierania się tobą
Nie rozgrzeszam win zastygłych dawno, sklejonych warstwami
Jestem tylko takim dodatkiem w dzikiej kolorystyce utrzymanym
co nikomu i niczemu nie służy i tylko zabiera miejsce
by wszyscy cieszyli się, że na końcu świata można się pobujać
w rytmie pieśni dawnych, w moich ramionach opadających
swobodnie

Pieśń dziewiętnasta. -500 stopni

Gdy moje wirowanie na 500 obrotów ustawało
odezwał się we mnie nagły chłód wewnętrzny
Tu było chyba 500 stopni poniżej morza
Tu było chyba 500 stopni poniżej wszystkiego
500 chłodnych stopni wiodących mnie w głębiny
popiołów, proszków na przeziębienia i grypę
Zniżając swój wzrok przyciasny, schodziłam w dół
do skrytej zamrażarki, do głębokiego zamrożenia
gdzie nadpsute mięso leżakuje jeszcze
Przedłużyć daty ważności, wytłoczone czytelnie
na wierzchach, na zafoliowanych bandażach
Najgłębsze są przemysłowe zamrażarki
w które nikt nie sięga już rękami do dna
Drżenie było coraz większe, skurczyłam się, płacząc
głęboki i na miarę był szyty ten mój płacz właściwy
Na dnie lodówki ma dłoń macająca lękliwie wyjęła
zmrożoną postać jakiegoś istnienia zapomnianego
Nie wiesz, jakie to kiedyś kształt w sobie nosiło
tak głęboko było zmrożone i obrośnięte lodem
Ciepło moje rozmroziło Temu usta zabliźnione
Dotknęłam w miejscu, gdzie był otwór śpiewaczy
Wielka, czerwona dziura krzyknęła ze zdziwienia
Oto jest otwarta i wydaje z siebie dźwięki nareszcie
przerażona opuściłam to na ziemię z hukiem
Bryła lodu z otworem gębowym krztusiła się
Białe, bezkształtne szykuje się do pieśni
już stroi swe dźwięki niskie i wysokie
rozpoznaje swój własny głos, nie słyszał go dawno
Pisk zamrożony w trakcie jego trwania w sople ostre
na świadectwo ocen niedostatecznych

Pieśń dwudziesta. Odmrożone usta śpiewają

Niesamowite to uczucie usłyszeć swój głos, znów
pełen stęknięć, cichych jęków wewnętrznych
Jestem istnieniem schowanym w lodowatej powłoce
Lód z warstwy moich łez mnie otacza i skrywa
ich słoność rzeźbi mnie powoli, ulegam korozji
stopniowemu rozwarstwieniu na 500 części
Jestem produktem o przedłużonym terminie istnienia

przed potępieniem wstawionym do zamrażarki
Mija czas, przeterminowuję się z czasem w czyśćcu
Zniweczony, wraz z lodem i owocami kruszon
Zostałem wyróżniony i wrzucony w głębokość
Teraz liż mnie, liż, bym się ocieplił stopniowo
swym ciepłym językiem pełnym słodyczy i ciepła
Ciepło twe czuję w powietrzu, o przybyszu z daleka
Nie jestem męski ani żeński, jestem przedostatni
Nie pamiętam już nic ze swego pachnącego życia
krwią i kałem pachnącego życia, 500 obrazów zostało
Mieszkałem chyba lub mieszkałam w bloku szarym
wykonywałem z jakąś piekielną regularnością pracę
nie przypominam sobie jakiejś rodziny mdłej w tle
Za ścianą mego mieszkania ponumerowanego
przez lata, za tą ścianą była bita kobieta i dziecko
Łamał na nich meble, żelazka jakiś pijaczyna ohydny
Ja popijałem wtedy herbatę lekko już wystudzoną
patrzyłem w brudne okna, nie reagując na ich płacz
nawoływania ratunku jakieś osoby mieszkającej obok
Tak sobie siedziałem z zimną herbatą i myślałem o nich
Te ich piski ścierały się ze mną, ja tylko patrzyłem
Z czasem nawet na mych ustach pojawiał się uśmiech
taki pasujący do tej boskiej komedii za kurtynami
Pewnego dnia z nudy, z cynizmu zacząłem liczyć ich ból
500 razy krzyczała, płakała wraz z dzieckiem, liczyłem
z pietyzmem, z delikatnym uśmiechem prawie że szaleńca
Już byłem w połowie tysiąca, gdy nagle zmarłem
Śmierć przez poparzenie nieszczelną instalacją elektryczną
Me ciało przebiegały jeszcze mocne wstrząsy i wielki ból
gdy spytano mnie płaczliwym głosem tego dziecka
Pełen konwulsji, nagłego żalu, zrozumienia chowałem się
już chciałem się potępić i skazać na wieczne ukrycie
gdy wielka litość zmieszana z pogardą, przyfrunęła
na 500 skrzydłach skonstruowanych z niczego
wskazała mi wielką chłodnię, możliwość zapomnienia
Pokuta dla mnie jest znaczona przeterminowaniem
Moje potępienie i zbawienie wtedy za ścianą walczyło
Wszystko przez tę chłodną herbatę, co ją piłem
ustami zmrożonych głęboko, w ostatniej warstwie
w ostatniej warstwie magazynowej zamrażarki

Pieśń dwudziesta pierwsza. Bianca kręci się czwarty raz wokół

Skręć mnie mocno jeszcze raz, wyciśnij
soki malinowe i z dzikiej róży tłoczone
Znów zamarzają ci usta warstwą słonego lodu
od twoich smarków, śluzów, łez ściskanych
Bryła lodu znów zlewa się z zamrożeniem
Diamentowe igiełki znów pokryją go słusznie
dziergając na nim nowe wzory nieporządku
powodując erozję tych materiałów odpornych

Nieucho pokryło się szronem z zimna
już myślałam, że umrę w tej temperaturze
w 500 stopniach zimna, ale byłam już umarła
pełna złamania, gruchocząca jak instrument
Mam w swojej pustce jakieś dawne ziarna
wydają jeszcze nikły szelest, odbijając się
Sine usta szepczą pieśń jak modlitwę
którą śpiewa się przed wielką zagładą
wiedząc, że się jednak przeżyje w postaci
garści popiołu sypanej na głowy dla mas
Pchnięcie skręciło mnie znów mocno
Bujana zabawka znów zagrała swą melodię
Zaprogramowaną pieśń mam jak pozytywka
W przerwach gruchoczę sobą wokół
gubiąc swe treny w szalonym pościgu
Czy czujesz dziwną obecność potępienia?
Jest tak blisko, wyciągasz się mocno
chwytając się czegoś ostatniego, wystającego!
zaprojektowanego dla twojego uchwytu
zaprojektowanego tylko dla twojej dłoni
Ostatni uchwyt na karuzeli, we mnie chwyć
najgłębiej

Pieśń dwudziesta druga. Bar mleczny na peryferiach

Poślizgnęłam się, spadłam z siebie znów
Rozbiłam się o linoleum, rozłożone było
linoleum ciepłe i cuchnące linorytami
spalonym mlekiem i kisielami śmierdzącymi
od dna przypalonymi, od dna
Stała tu gigantyczna cysterna z mlekiem
najbardziej tłusta i pełna kożuchów
wyglądająca jak wielka pierś kobieca
zakończona silikonowym sutkiem
Przylepiona do niej była jakaś osoba
bezzębna i łakoma
z wytrzeszczonymi oczami ze zdumienia
przechwycała do ust te tłuste kożuchy odstane
Wielka pierś złączona mocno z nim
gdy zauważył moją obecność, odwrócił się
patrzył na mnie, patrzył tępo w dal
Po jego twarzy i ustach spływał strumień
tłustego, wysokokalorycznego przepełnienia
Zachłysnął się nawet, krztusił pełen wysiłku
Wielka pierś jednak regulowała wszystko
zasłaniała przed nim wielkie horyzonty lęku
Była cała pozłacana, tak że niczym w lustrze
odbijała wszystko, odbijało mu się tłuste mleko
Widział on swoją postać i moją w tle
Niezbyt jestem zadowolona z tego zaproszenia
do baru mlecznego na peryferiach

Widziałam karmienie piersią złotą do syta
Obrzydzenie mnie jakieś nagle ogarnęło
Tłuste kożuchy pętliły się w jego przełyku
Oderwałam się z trudem od piersi zbyt ciepłej
zbyt lepkiej
zwymiotowałam, doszczętny wymiot ze mnie
ostatni

Pieśń dwudziesta trzecia. Pieśń z sutkiem w ustach

bełkocząc
Już nie wymiotuj, proszę, patrząc na mnie
na tę przepełnioną bańkę mleczną, maślaną
Wielkie złoża dobroczynnych elementów
odkładają się we mnie niczym brud
Jestem tym, który chciał posiąść bogactwa
Całego świata rodzynki i pieczywa białe
kradłem, niszczyłem, zdobywałem wiele
wypełniając się słodkim mlekiem, miodem
po brzegi, po krawędzie dobrobytu, wykipienia
Złoto zlewało się z bielą w mieszankach
kruszcu, jedzenia, maseczek na usta, na oczy
przykładanych przez czarnych niewolników
Diamentowa rozpusta kusiła mruganiem
słodkim teatrem zależności i manipulacji
Za złoto, bursztyny sprzedawane dusze
za tłustą pierś pełną sączącego się nasycenia
w korzeniach swoich ma głód i strach
Kanaliki mleczne schowane są głęboko
Moje lśniące, pachnące życie kończyło się
nowotwór żołądka i układu pokarmowego
Najbardziej znani na świecie lekarze wróżyli
kuracje alternatywne, milkwaye
przedłużenie mi w komfortowy sposób życia
Wiedziałem, że czekają mnie bóle porodowe
wraz z żoną zadecydowaliśmy o eutanazji
w szwajcarskiej klinice z różowym widokiem
Obserwować sobie te jeziora mgłą zasunięte
Taka refleksyjność nachodziła wtedy człowieka
tak miękko i przyjemnie odchodzi się w ziemię
Po co zwoływać ciężkie myśli w szyki bojowe
w ramach dawnej pieśni skruchy?
Me złoto w mojej pelerynie wisiało, dekorowało
Złote runo musiałem zostawić, z uśmiechem
żegnałem się z najbliższymi, całując ich lekko
po miękkich, rumianych policzkach
Słońce zachodziło nastrojowo na obrazku
Ktoś nawet wspomniał o wielkiej słuszności
Gdy wszyscy na palcach odchodzili cichutko
kroki prawie dekoracyjne, baletowe, wycofane
przyszedł do mnie uśmiechnięty blondyn
niosąc w ręku me oświecone zbawienie i spokój
Podłączył do złotych żył, ropa w nich płynęła

Wykonana ręcznie z kryształu górskiego kroplówka
z rureczkami splatanymi w warkoczach ścisłych
Cenna substancja kropla po kropli dozowana dla mnie
Ciepło i przyjemnie zasnąłem pełen wygody
wtedy nagle nastąpiło gwałtowne drgnięcie
zerwałem się z siebie, zobaczyłem się w korytarzu
ktoś dopytywał się o mnie, a ja nie byłem gotowy
Wiedziałem, że jestem nagi w szpitalnym raju
Skryłem się wśród kryształowych kroplówek
wśród jedwabnych rurek od sprzętów medycznych
Te wszystkie konstrukcje skłębiły się razem
tworząc wielkie wymiono, uczę się ssać
z trudem zdobywania pokarmu i zmęczeniem
Gryzę z bólu wielki sutek, on łagodzi mój ból
przeżarcia, przepełnienia, wygodnej spiżarni
Ten ból niedonoszenia mego życia jak ciąży
Kiedyś skończy się ten pokarm, a ja będę mógł
być nowo narodzonym, z którego się cieszą
zabierają go ze szpitala do siebie, do domu
skurczonego i zależnego w kocach ciepłych
pachnącymi tłuszczami dosyconymi

Pieśń dwudziesta czwarta. Bianca odwraca się kolejny raz na palcu

W me zmarszczki powiał znów wiatr
Owinęłam się nimi dosyć zgrabnie
Modnie splisowana już jestem
Cień po mojej skórze w kurtkę uszyty
z ukrytymi kieszeniami, zakamarkami
Powłóczyste resztki hamują moje ruchy
jeszcze korale z mych zębów wiszą
na szyi powleczone na struny głosowe
Na czole spoczywa już kapelusz pleciony
ze słów mielonych z dodatkami włókien
Kręcę się w tej rewii cała w dekoracjach
w których rozpad i spopielenie następuje
Trzymam w ustach niedopałek papierosa
drogocennego, wyrzuconego przez kogoś
pamiętającego, że są ci, którzy dopalają
Te resztki po innych w moich ustach
Zaciągam się głęboko ostatnimi gramami
Znów byłam w sobie tak skupiona
Wykonam teraz piruet zbyt szybki i błędny
Jak tu zwrócić na siebie uwagę twoją
gdy popiół pokrywa mnie w środku
kamufluje tajemnie me konstrukcje?
W szarości, w połowie jestem uchwycona
Przechwycona w połowie okrążenia
między piekłem — niebem kręcę się
Wykonuję piruet, a mą łyżwą uderzam w lód
Całe me ciało wielka dynamika rozpiera
rękę podnoszę do góry i jakaś umowna sukienka

podkreśla mój ruch zapętlony, a potem rozbijam się
potykam i słyszę już śmiechy i chrząknięcia
Lubię rozbijać te piruety nieskończone
do krwi mieć te kolejne złamania wewnętrzne
mieć poczochrane włosy, sukienkę rozdartą upadkiem
tysiąckrotnie uderzać się o chłodną taflę i kusić
kusić CIĘ swymi upadkami

Pieśń dwudziesta piąta. Zakład utylizacji odpadów higienicznych

Znów byłam zatrzymana w swoim pędzie dookoła
Jeszcze kręciło mi się w głowie od zwichrowania
Widzę częściowe układy urbanistyczne miejsc pokutnych
Sami sobie konstruują wszystko podług swoich umiejętności
A tu, proszę, jaki się znalazł mrówczy architekt ukryty
Na pudrowym podłożu zbudowany, dobrze prosperujący
zakład utylizacji odpadów higienicznych
w sumie takie miejsca muszą przecież gdzieś istnieć
Gdzieś to wszystko trzeba gromadzić, te bandaże
zużyte, zaropiałe waciki i łazarzowe prześcieradła
w które obwijane są zwłoki, po przejściach dalej
Te resztki ciał pozostawianych w ramach operacji
na otwartym sercu albo otwartych ustach, oczach
ciągle się zatykają w rurach przechodzących dalej
wybijają swój smród i zawartość na wierzch znów
Widzę niewysoki budynek z dużym, wilgotnym kominem
wielkie złoża śmieci, z których może lęgnąć się epidemia
Noszą w sobie organiczne ślady tych, na których żerują
bakterie rozwiązujące najbardziej skomplikowane zadania
rozwiązują ich znaczenia do liczb pierwszych, do zera
Lęk przed nimi nakazuje spalać w ogniu potężnym
ślady po zostawionych słabościach i niedołęstwie
Każda z cegieł tego budynku z popiołu sprasowanego
ustawiona krzywo, jakoś tak niedopasowana do innych
Na każdym bloczku napis wypalony w ceramice
pismem kaligrafa, starał się bardzo brzydko pisać
Konstrukcje wytrzymujące nacisk przechodzenia
Każda z cegieł była osobno i razem, tworząc zgrabną ruinę
w której ktoś mieszkał, narzekał głośno z daleka
W kominie nikła strużka dymu krążyła
rysując rebusy trwające
bez rozwiązania

Dym sygnalizował
że zakład utylizacji jest czynny
mimo bardzo późnej pory

Pieśń dwudziesta szósta. Obsługująca zakład spalania odpadów śpiewa

Czy już dobrze teraz widzisz mnie?
Czy już dobrze słyszysz mnie?
Między bandażami jestem rozkopana
Tutaj uczę się segregować jak grabarz
mak od piasku, zafajdane pościele, bandaże
Muszę je przekładać pieczołowicie na kupki
wrzucać do odpowiednich pieców gotowych
Układam z nich różne rzeźby i wzory
szukając nieustannie jakieś reguły
porządkującej ten smród, utrapienie
Me kiedyś delikatne i pachnące dłonie
pokryły się trądem, bąblami pełnymi trucizny
Przypominam sobie teraz me pukle włosów
włosów spadających na ciepłe ramiona
były obwinięte pachnącymi szalami
Pamiętam, jak szłam w pełnym słońcu
po Oranienstrasse w popołudnie, na obcasach
z błękitnego zamszu, lekko i swobodnie
wszyscy patrzyli wtedy na mnie
na piękno, na mą młodość w błękicie
a ja miałam głowę podniesioną wysoko
Wiesz, to było bardzo dawno temu
ledwo pamiętam te moje filmy zerwane
Lubiłam segregować już wtedy ludzi
przebywałam tylko w miłym towarzystwie
pachnących, nacieranych olejami bogactwa
Podobali mi się tacy wysocy blondyni
zajmują się oni typowymi polowaniami
w ustach mają waniliowe lody i smaki
Wraz z mym mężem mieliśmy piękny dom
wszystko było takie jasne, pastelowe
tylko jedna rzecz nam nie pasowała do końca
nasza służąca, która tak dziwnie patrzyła
Prowokowała moje rumienienie, wstyd nagły
Miała czarne włosy spięte i brodę wystającą
Czarne oczy pachnące doszczętną spalenizną
Podczas jednego z przyjęć, kiedy degustowaliśmy
kuleczki z orzechami i markowy koniak
znajomi nasi zwrócili uwagę, że jest to żydówka
tylko udaje blondynkę o niebieskich oczach
Brudne jej ciało, myśli brudne, a tam, gdzie brud
przyda się Tisztitószer[8], co rozpuści i w niwecz obróci
te dziwne problemy w kuchni
Jakoś się tak złożyło, że zaczynała się wojna
korzystając z wywozu śmieci, pozbyliśmy się jej
za pomocą Tisztitószerów, tej czarnookiej dziwaczki
Potem z radości płodziliśmy naszych potomków
W sumie zmarłam ze starości, w domu starców

[8] *Tisztitószer* — z węgierskiego: płyn do czyszczenia. [przypis autorski]

obsługiwana przez piękną blond dziewczynę
noszącą błękitne obcasiki do jasnych sukienek
Me słabe serce zgasło, gdy oglądałam program
w jaki bestialski sposób transportowane są zwierzęta
zwierzęta hodowlane, tak było mi przykro wtedy
Umieranie trwało chwilę mojej nieuwagi
Zerwałam się jak napięta struna, jednym uderzeniem
obśliniona, zsikana poczułam smród spalenizny
Spytano mnie w dziwnym miejscu, w jakimś holu
po żydowsku, ale ja nie rozumiałam tego języka
Gdybym wtedy miała przy sobie moją dawną służkę
to by mi wytłumaczyła te dziwnie skręcone zdania
Znalazłam ucieczkę przed popiołem tutaj
spalając te śmieci pełne wojennych historii
dawnych zranień zewnętrznych, wewnętrznych
Ciągle widzę w palenisku ten przerażony wzrok
dziewczyny, co kusiła, co ją odrzuciłam za oczy
za to, że musiałam się wstydzić przed znajomymi
na przyjęciu, na którym podawane były kuleczki
z orzechami, z koniakiem w małych kieliszkach
z cienką nóżką, prawie drżącą na tle płomienia
Teraz segreguję, śmierdzę zgnilizną słoną
od łez, wylewów, nagłych potopów łzawych
Kiedy oddzielę te wszystkie rzeczy od siebie
okaże się, że wszystkie są tym samym skrawkiem
ubrudzonym w tym samym miejscu, tak samo
Wtedy może ktoś z litości wrzuci mnie do pieca
bym się spaliła ze wstydu i zapłonęła rumieńcem
jeszcze raz

Pieśń dwudziesta siódma. Ostatnie odwrócenie. Hiperbola

Odwrócę się od śmierdzącej spalenizną
jej narastający smród ciężko porzucić
Śmierdzący odchodami swymi spoczywają
w kątach lękliwych, w ciemnych norach
Wyginam się ostatni raz, rozciągając
swe ramiona na polach walki odległych
oznaczonych za pomocą podwójnej linii
Linia przerywana, podkreślająca swą umowność
Ubrana w biały kostium gimnastyczki
łamię swe biodra, misterne kręgosłupy
w nieznane bryły geometryczne, odwrócone
Parszywa jest bowiem geometria szczebiocząca
wpisująca się w bryły, opisywana na nich
zgodnie z zasadami owłosionej matematyki
Wewnętrznie czuję jakieś inne algorytmy
inne funkcje wpisane we mnie, podwójnie
Hiperbola ukryta, podwójne podzielenie
wobec osi, wobec pionu, poziomu i zera
Me dwa ramiona wybrzuszają się w tańcu
zbliżając się do osi wiecznie, bez ustanku

zbliżając się z dwóch zupełnie innych stron
magnetycznie, tajemniczo, z odwrócenia
Różniczkuję odwrócenia, różniczkuję grzech
Nie ma w sumie ucieczki wobec mej funkcji
ciągle zaburzanej przez niezwykłe turbulencje
wykreślane w powietrzu na migi sygnały
Karuzelą pomalowaną farbą emulsyjną jestem
o dwóch sprzecznych kierunkach ruchu
piszczę z wysuszenia mych strun wewnętrznych
Rwę się cała na punkty rozłożyste w układzie
Kwitną one z pąków zlepionych łuską zamszową
Dawne barwy dekoracyjne zanikły
zbladły ze wzruszeń wobec Niego
Tylko szarości pozostały w tłach
Moja spocona twarz uśmiecha się jeszcze
wymuszony grymas do publiczności
Szpagaty rozciągliwe, bolesne, częściowe
w mój układ współrzędnych wpisane
Sześć punktów archeologicznych, pogrzebanych
zmieniają mą hiperboliczną funkcję
Rysunek mój na liniach akrobatycznych
elastycznie uginają się pod ciężarami ciała
Kręcenie się teraz trwa długo, już czuję
zawroty i zwroty mych postaw ukrytych
naskórki porozrzucane zostaną w okolicy
po mnie
Zmiatać je będą pieczołowici dozorcy
ubrani ciepło i opuszczający parę oddechu
w wszechstworza
wszechstworza zaklęte w ciszy przedpotopowej
Wszystkie zakwasy z soków własnych odłożone
wycisnąć je w ruchu monotonnym i szybkim
za pomocą zatęchłego odprowadzacza wody
Wylać te resztki po oczyszczeniach stóp
Dosładzanie fermentującego moszczu cukrem
druga fermentacja we mnie odkłada się złogami
Wielkie ciężary przenoszone przez usługujących
wiekuiście pomoc niosących, niewypowiadalnych
Ich imię się zamazuje, zaraz po napisaniu
w niebywaniu raczej odpoczywają ich nazwy
Trwa przyciskanie mnie do perforowanej ściany
w celu uzyskania wina ostatniego z tych zbiorów
o smaku łykowatym, dzikim i raczej niespotykanym
Z daleka to popychanie słyszę, lecz nie umiem iść
w połowie odległości pomiędzy wierzchołkami urojonymi

Me ruchy są niezwykle spowolnione
W pauzie trwa każde moje drgnienie
Biele wokół rozmazują się we mnie, a ja w nich
jakieś resztki jasnych pigmentów mej skóry
jeszcze sugerują moje przesilenia

Pieśń dwudziesta ósma. Lilith

Przede mną w głuchej pustyni widzę ją
w gigantycznej sukni moja piú bella regina[9]
Patrzy na mnie trochę speszonym wzrokiem łani
trochę się wycofuje, widząc me zdziwienie
Nie uciekaj, mam dla ciebie smakołyki skryte
w dziurawych, gubiących się kieszeniach skarby
Znalazła mnie tu, nie umiejący chodzić kadłub
owinięty sobą jak siecią niezwykle dokładnie
Oto Lilith speszona mną, cała w czerni koronkowej
ze słów misternie tkanych, cekiny i brokaty
Ach, cekiny i brokaty, cekiny i brokaty przeciągłe
brzmiące misternie przy każdym jej drgnieniu
Cekiny i brokaty na pobrudzonej od popiołów sukni
Najbielsze jej lica, już prawie mdleje zagubiona
Chłodnych dłoni nie ma gdzie włożyć ze strachu
przede mną
Nurkuje w swoim pylistym fundamencie pomnika
na którym została śmiesznie wywyższona pośmiertnie
za wielkie konstrukcje wokół siebie toczone z kamienia
Oto czarna Lilith niema, śpiewała kiedyś pięknie
pieśni zwycięstwa, pieśni pod łukami triumfalnymi
Przygryza wargi i wyciąga chłodną dłoń do mnie
Wielkie kokardy na jej ciele, na wysokości ramion
łączą się ze złotymi protezami, wkładkami push-down
wszczepianymi, lutowanymi do kości słoniowej
Jubilerskie inkrustracje w każdym jej fragmencie
Wokół nocnej kreacji tysiące moli podążających
za słodko-gorzkim zapachem tłustych nici
Zszywały one znaczenia ze sobą, tworząc dalekie krainy
Wielki, zgniły kołnierz infantki na niej
złożony z szeptów malowanych, szeroki
Cóż za precyzja składania tego w tak misterny twór
Nie została zabalsamowana zgodnie ze swoją wolą
Teraz jest rozciągnięta między wytwornie tkaną suknią
Stoi naprzeciwko mnie, patrzy na moją obojętność
Jest tak najpiękniej zamyślona, stojąca bez cienia
Lilith ubrana w sto tysięcy słów wypowiedzianych
zawiązanych w starych znaczeniach za pomocą kokard
ściskanych w ciszy i wielkim skupieniu układanych
Uchwyciłam się jednej z jej wstęg, rozwiązałam natychmiast
Ona — łania leśna znająca ten step wiekuisty z prochów
poczyniony, zapomniany przez systemy miernicze
pomknęła wielkimi susami, unosząc mnie ze sobą, niechcący
A na zewnątrz była noc purpurowa

[9] *piu bella regina* (wł.) — najpiękniejsza królowa. [przypis edytorski]

Pieśń dwudziesta dziewiąta. Lilith w powietrzu śpiewa do Bianchi

Bianco, Bianco najdroższa i ukryta ciągle
Zabieram cię ze sobą daleko, pod spód
Tutaj nasze pieśni nie są wysłuchiwane
Prochy żywią się melodiami skruszonymi
Wtul się w me włosy, bo podążamy
przez wiele milionów istnień skrytych
do pasa granicznego, gdzie tajemnica
sekrety ukryte w słowach i pieśniach
Nasze dusze podwójnie rozwarstwione
w ukrytych szczelinach czarny krem wyborny
Znam te szepty prawie modlitewne
w twoim zmęczeniu odnajduję chciwie
Czekałam długo na ciebie tutaj, niuchając
Nocowałam w swej sukni, żywiąc masy
skrawki słodkich korzonków rosnących
na moich dłoniach, na stopach żyznych
zagubił się ich smak, koloryt dawny
dlatego świetnie nadają się na nawóz
o nazwie fabrycznej Evergreen for you
Schowana w swoich dawnych dekoracjach
ze sklejki malowanej odręcznie, heblowanej
Scenografie po spektaklach, kostiumy zużyte
z bandaży, z plastrów przeciwreumatycznych
Mam jeszcze ciepły głos, tylko dla ciebie
Miodne wspomnienia rozświetlonych słów
Czy pamiętasz ich znikome ślady w sobie?
Zdyszana z pośpiechu śpiewam pieśń dla ciebie
Jestem taka pospieszna, jestem pospieszna
ciepła i wielokrotnie zagięta w sobie tutaj
Przenoszę nasze ciężary do cieplejszych krajów
naszą zgniliznę w koronkach ze słów noszę
Sunę z wielkim wysiłkiem do tyłu
trzeba teraz to przeliterować do początku
Moja czarna królewno, porzucona przez siebie
gdzie twój dwór okazały, gdzie twoje służące
których obecności niechybnie oczekiwałaś?
Osuszę twe łzy w biegu szalonym i celowym
Jestem Lilith, pocieszycielka wycofana w dal
Miękkie są nasze zbroje, delikatniejsze niż skóra
cieląt i koźląt ssących daremnie wodę ciepłą
przegotowaną, ostudzoną do temperatury pokojowej
Podatniejsze jesteśmy na rany cięte i rwane
Nie patrz tak na mnie, za głośno spoglądasz
Musimy uważać na fruwające tutaj papiery ścierne
wielkie, atakujące mechanicznie byty roztrzaskane
czasami Gruboziarniste pilnują pól pustynnych
Me kolana są sine od pasów startowych
podchodzenia do lądowania w celach fizjologicznych
Wysycha ma skóra delikatna bez kremów, bez dłoni
Marnotrawię swą urodę w tym pejzażu z tytoniu
Wybielona, chlorowana, w brudzie płukana bielanko

ubrana w litanie do najświętszych serc błyszczących
mają one funkcje odblaskowe, to czyni je migotliwymi
są zdumiewająco funkcjonalne w liściastych lasach
Wleczesz swe gobeliny, którymi się nikt nie interesuje
ani to latające dywany, ani wyborne dekoracje wnętrz
Wyścielają one wysypiska śmieci, pojemniki kradzione
pojemniki na śmieci przywożone jak trofea zwycięskie
Masz przy sobie klasery ze znaczeniami sprzed wojny
między dobrem a złem, drugiej czy dwudziestej dziewiątej
Przyciskasz pieśni do siebie jak ostatni oręż, tarczę rzeźbioną
chroniącą przed pęsetami i dźwigami abstrakcyjnymi
w ścisku, w skrzypieniu, w podnoszeniu wielokrotnym
Uciekając przed zagładą rychłą, chowasz się do kąta
liczysz i odliczasz od tyłu wszystkie wiersze w nadziei
Swoje imię czytasz od tyłu, jak imię przewrócone w śnie
lecz nie znajdziesz nic w tym przeczeniu frywolnej magii
Musisz się tu więc pogodzić z przyciasnymi słowami
z podśpiewkami naszymi sprzedawanymi za grosze
Śpiewane rymy i schematy dla fałszywej gwiazdy
oby swym blaskiem nas balsamowała przed zniknięciem
w zapadniach niepamięci, w niewidoczności pospolitej
Murzyńskie oblicza jednak w nas głęboko spoczywają
odwrócone od posłuszeństwa, powinności dnia-nocy
My, kolonizatorki u bram edenów, przedmieścia rabujące
Jakoś nam tak trudno oddawać to myto za przejście
ze zbiorów naszych, z plonów niezwykle płodnych
trudno dziesięcinę ze słów oddać, przekraczając dalej
tupiemy, podskakując w tańcu na znak buntu przeciwko
w korowodzie cichym, zamkniętym na wszystko wokół
Lecz w środku najgłębiej jest wielki lęk
tłuszczem obrośnięty toczy naszą lotność
Spoczywasz senna przy mnie, ze znużenia, ze snu
Mój złowiony sum cały dnem umorusany, okraszony
ciągle w poszukiwaniu mętnych granic dna stawów
Węgorze czarne prześlizgują ci się między zębami
gdy milczysz, także się kłębią, jak po bitwach morskich
To ich umykanie, zakreślone grzbiety, słowa ze śliny
nie odczytywalne przez wróżbitów ani grafologów
Pochwycam cię, by w ich centrum oś ruchu zanikła
powodując ich nienaturalny chaos i rozwarstwienie
Podzielić je, rozwarstwić precyzyjnie w podroby
na filety bez kręgosłupów dawnych, ości ukrytych
na skóry preparowane i suszone w pełnym słońcu
w popiołach nienasyconych ciągle i zmuszonych
Uważaj, możesz puścić mą wstęgę przez nieuwagę
Splotę więc dla ciebie nosze wygodne w drodze
z mych czarnych tasiemek powiewających i włosów
w powietrzu, co teraz bardziej słonym się wydaje
jego smak czujemy już razem w ustach naszych

ciszej
Kołysane przez szepty i szyfony
przez szepty i szyfony

Pieśń trzydziesta. Podróż podwójna

Niesiona w podskokach w absolutną szarość
przez przekorną mieszkankę czyśćcowych pól
niepłodnych, wyciętych dawno, dawno temu
Lot do oddalonych kresów, zacieranych granic
przez wielkie przestrzenie przykurczone
Szepce do mnie swoje historie, nie słyszę
Ona nie wybiera jeszcze nieba, choć przenosi
Ten dziwny zapach ukryty ma w gruczołach
w koronkach zdradza się jej odsunięcie ciche
Ona — środek transportu dla stłuczonych istnień
Postrzępiony latawiec powiewa kokardami
tasiemki czarne zatykają mi usta, dławią oddechy
wplątujące się między język, między koła
Nie porywa noworodków i dzieci mlecznych
lecz śnieżnobiałe bianki obtoczone słowami
nakarmione prochami strzelniczymi, melonami
Przynosi mnie tutaj do granicy, pozostawiając
Spogląda na mnie niemo, odprowadza do furtki
Nie pójdzie ze mną dalej i już tego żałuje
Literuje mnie, przegląda mnie, kataloguje obecność
B I A N C A B I A N C A B I A N C A
w jej ciemniejących ustach zanikam na zawsze
Tłumiki osadzane na każdej literze amortyzują mnie

Zakładanie plisek na siebie
zakrywanie ich wnętrz sobą
Delikatnie i sumiennie
Delikatnie i sumiennie

Zostawia mnie pełną kurzu złotego, porzuca
operowaną na stole chirurgicznym w przejściu
operowaną jej niewyraźnym i rwanym szeptem
Skłania przede mną czoło, żegna mnie uśmiechem
Zakrywa znów swe oblicze jako dusza czyśćcowa
odchodzi szukać w szkieletach swej fatamorgany

Przesuwa się wyraźnie moje epicentrum, przesuwa się
moje dygotanie spokojniejsze, jest spokojniejsze

Pieśń trzydziesta pierwsza. Pas graniczny

Skulona z zimna nie widzę nic
tylko siebie, 68 kg mięsa mielonego
co by się nadało
Jadą pociągi transportowe na bocznice
Słyszę ich przewlekłe odgłosy, sapanie
tam, gdzie rosną rośliny niezakwitające
zaniedbane i nierozpoznawalne w deltach rzek
łączących swą słodycz ze słonym zbiornikiem

Ukradkiem w rozlewiskach furtki pochowane
Podziemnie, odchodzące wody porodowe
Rowki przygotowane na przesuwanie mas
Smary, lepiszcza wyścielają wielkie łożyska
by cieplej i rozkurczowo
Stalowe skorupy leżą na śmietnikach
Cysterny z miodem wielokwiatowym
są roztrzaskiwane przypadkowo w pyłki
są zaorane, zziębnięte, pokryte smołą połacie
Pasy graniczne, pasy mistyczne, pasy cnoty
ściskane sznurem, drutem i wazeliną
by zawsze miały podwyższoną temperaturę
czekały w śliskim nieokreśleniu ściśnięcia
na przecięcie wstęgi ostateczne nożem
Choć tego dnia raczej nikt z domu wychodzić
nie będzie
Wieczorem będzie ostateczna dogrywka
podczas której pasy z kredy zamazane zostaną
licznymi nogami przedziwnych wdzięków
szurając, niszczą te spalone pola gry
resztki w kątach bramek cmentarnych

piano non vivace
Idę więc po linie, co za zręczność
Idę po linie szerokiej na hektary
kiedy ją przekroczyłam, nie wiem
czy się bardziej oddalam, czy nie
Szerokie połacie nieużytków czekają
Stojąc samotnie przy pasie granicznym
robię jeszcze listę rzeczy do rozpakowania
Zapomnieć wszystko, bez możliwości pomyłki
wypisuję zdyscyplinowana te rzeczy zbędne
a ma biała dłoń rumienieje, już dnieje

Pieśń trzydziesta druga. Bok

W szarości skóry jęczmiennej
plączę swe nogi, stepując jednocześnie
trochę nierytmicznie mi to wychodzi
Wzrasta przede mną bok w miarę uderzeń
konstrukcja z czarnego grafitu, magnezu
W belkach konstrukcyjnych i wspornikach
wielopiętrowe mieszkalnictwo komunalne
Wybijane kamieniami otwory drzwiowe
wilgotne ościeżnice w przeciągach
Podwiewa mi sukienkę chłód dziwny

Uderzasz mnie mocno w bok, przechodzę

W ciemnym korytarzu ramiona powtórzone
Piętra te same, podzielone tak samo na porcje
Bądź teraz, szukaj mnie, teraz ty mnie
Brudzę się grafitem ścian i rysuję na czarno
z ołowianym połyskiem łapię jeszcze błyski

Ślizgają się na mnie te larwy przejrzyste
zależne od źródła macierzystego, zależne
Piętro po piętrze biegnę po laur ściśnięty
Po korytarzach wlekę swoje ciało za rękę
ono opiera się siłą i się wyrywa do wyjścia

Uderzasz mnie mocno w bok, przechodzę

Jestem w ostatnim wolnym pokoju z rezerwacją
Czuję mnożącą się obecność, tysiące nad i pod
z boku i zewsząd czuję ich niecierpliwość
Przede mną tylko okno, w którym ustawiam się
we właściwym miejscu, pod właściwym kątem
Posłusznie, z spuszczoną głową patrzę w dół
w przepaści głębokie i tęskne, tak tęskne
Topnieje tu popiół zmiatany pod rogi dywanu
Kto tu zagląda zgięty do środka, ten tak wygląda

Uderzasz mnie mocno w bok, przechodzę

W milionach okien stoją poeci z otwartymi usty
żadnych dźwięków samodzielnie nie wydają już z siebie
Zgarniani, zbawiani grupowo w pośpiechu przypływów
Rozgrzeszenie w tłumie przeoczą ich dawne pozdrowienia
dla szatana z wakacji, listy, które wysyłali spod swych ud
bo się im dziwnie pomylił adresat, może to wina poczty
Ramionami tak szerokimi zbierani z głębokich wykopów
wyżłobionych w wapieniach przybrzeżnych, podmytych
w ramach stawki, którą zabiera zwycięzca za partię
gry w kości za kości

Uderzasz mnie mocno w bok, przechodzę

Pieśń trzydziesta trzecia. Rysunek II

Czuję za sobą tupanie z uwiądem w tle
Zniszczony rysunek od paru dni
stoi w wodzie niezmienionej, pełnej soku
Grzebiąc łapami w błocie pogrzebowym
wyszukuję korzeni wyhodowanych przez wilgoć
Kształt jakiś nieokreślony śledzi me postępy w nauce
Rysunek określają punkty kaligrafowane, początkowe
gdy je połączysz linią, to się ujawni graf skryty
Używałam cyrkla na tej lekcji geometrii, kreśląc
łuki zewnętrzne nieba, oba ich końce to błędy
Kontrasty się wzmacniają, jest tylko czerń i biel
Me ciało niedoskonałym instrumentem kreślarskim
Przestrzeni wielkiej nie zmierzyłam łokciami suchymi
nie pokonałam jej za pomocą skruszonej ekierki
w rogach prawie diabelskich, nie pokonałam czyśćca
Droga krzyżowa stacja 51, autobus się tu nie zatrzyma
niebezpieczna tu okolica i w rozkładzie jazdy
brak twego rozkładu, brak 51 kości skruszonych
na tarce z orzechami, z daktylowymi opłatkami
Mielę punkty drobnoziarniste na plamę barwną

byle się nie zmieściła w tych właściwych skalach
Sama rysuję me granice walcami wynajętymi
w bryłach geometrycznych przechowują łona
Potajemnie wychowują w swym chłodzie mioty
z margaryny poczynione, by straszyć nimi innych

Uciekajcie w popłochu przed mym rysunkiem
Nawołujcie i w popłochu tatuujcie me imię
pod pachami chowane, na lepsze momenty
załóżcie głębokie dekolty na kolacje uroczyste
może się uchronicie przed rysunkiem kolczastym
przed siatką ogrodową, wrastają w nią pnie ciężarne
w ich cielskach powoduje to bolesne przypominanie
Ale teraz rozcieram swe granice restrykcyjne
rozmazuję linie na włochate strzępy miękkie
Rysunek drugi ukryty jest pod spoconą dłonią
ma być bowiem trzecia jego cześć zmazana
a ten środkowy fragment ciągle walczy między
nieprzekreśleniem a przekreśleniem śliskim
Spoczywa on wkopany w ziemię częściowo
Część jego wystaje w postaci płyt granitowych
z wykutym liternictwem jednostajnie osobliwym
z dawnymi datami śnieżnobiało precyzyjnymi
z imionami osób śpiących, ułożonych na boku
Sen o złożeniu do grobu w garniturach brokatowych
Kroki do wieczności pomylone w tańcu z podskokami
na trampolinach z błony śluzowej wyścielającej
wnętrza eleganckich wnęk z buku, z brzozy
Wtopiona druga część zawsze w okolicach ziemi
rysuje się na glebach nawożonych łajnem
Rysunek ciernisty okrawa kształt pusty, zastany
Określa mój kształt bolesny plątanina bluźnierstw
słodkie, pozostawione w ścianie, dla płaczliwych raczej
w miękkich kamieniach wetknięte, trwale się utleniają
Pluję w siebie, analizując reakcje chemiczne zachodzące
Znów obrastają moją mordę liszaje i pleśniawki kwitną
hodowlane, nawilżane stale mą gęstą śliną, w głębokości
uniemożliwiają mi bezkrwawe szemranie i lamenty
Hultajskie ich zwyczaje w zdobywaniu nowych pól
na mej twarzy w okolicach ust walczą nieustannie
o przewodnictwo i wpływ na śpiewy wulkaniczne
Zalana lawą swego głosu zbyt głośnego podkurczam się
czekając na wykopanie z asfaltu z pobocza autostrad
po których mkną, miękko świszcząc w pędzie, One
Rysunek rozpada się, z trudem podnoszę ręce
nadając mu formułę nieczytelnego i niechcianego
odrzuconego przez budowniczych rysunku węglem

Pieśń trzydziesta czwarta. Wiatr od morza

Nasze gardła wysuszone, wzmocnione
resztkami nut impregnowane wielokrotnie

Stoimy w oknach pokutującej i grzesznej Prory[10]
Największa ruina w okolicy nadająca się na eventy
czekając na Jego ruch na lękliwym postumencie
Fundamenty dawnej budowli siłą były gwałcone
Teraz to miękkie wszystko nareszcie i bezzębne
tylko przewiewa przez nią wiatr, hula niezłapany
Wszyscy mają otwarte gardła na roścież
Kąciki ust są nadcięte jak krocza przy porodzie
by się poszerzyć, by się nie rozerwać w sumie
gdy doda się wszystko i wyjdzie wynik bez reszty
Z otwartymi gardłami czekamy, pokalani
Wielkie organy z pociętymi otworami
puste, wydrążone, wyrestaurowane bardziej
tylko gardła pozostaną, po nas tylko gardła
Wiatr od morza powiewa spokojnie w naszą stronę
owiewa nasze policzki sine od wysiłku, od czasu
wwiewa się do naszych ust powoli i leniwie
porusza naszymi archeologicznymi szczątkami
strun głosowych, utkanych w węzły żeglarskie
drążąc te nasze tunele podziemne, podmorskie
wszystkie czyni gładkimi szlakami dla siebie
Przez drgnięcie wydobywają się z nas głosy
nieznane dotąd dźwięki, melodie, niewyśpiewywane
miliardowe organy brzmiące nie sobą, lecz Jodem
Nie pozwala nam śpiewać siebie, związuje nas
zabiera nasz ciężar z portu, wyprowadza w Pełne
Grube liny jedwabne, splotem krzyżykowym snute
ich wątki naprzemienne w porządku nieodgadnionym
Wciąga nas w głębokość, do której tęskniliśmy
Ten statek rozpruwa się w zetknięciu z wodą
Żyrandole roztrzaskują się, i marmury, i zaplecza
my w nim idziemy na dno, osnuci planktonem
po to, aby nie być już, by nie bywać i się nie pojawiać
zatracić się w tym dostojnym opadaniu w ramiona
które zaciskając się w pozdrowieniu, uwalniają nas
od śpiewania pieśni czyśćcowych

A ze zdziwienia otworzą się nam dzioby nienasycone

Pieśń ostatnia. Dolepienie do Nieba

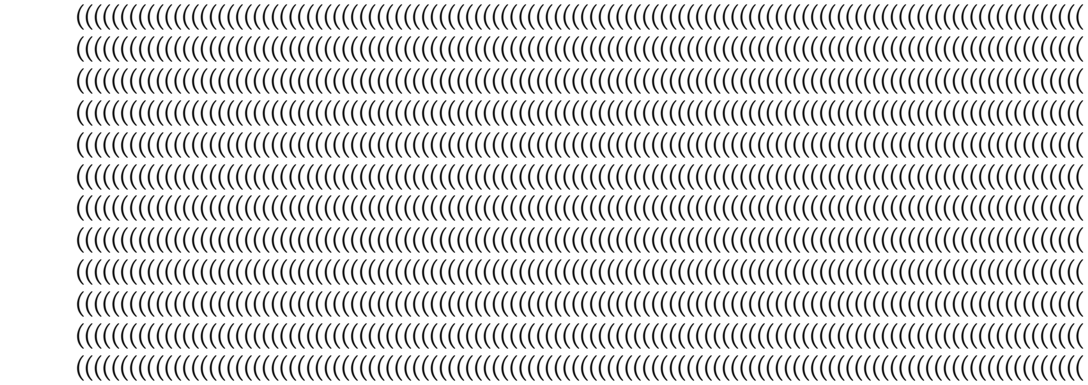

[10] *Prora* — ośrodek wypoczynkowy na wyspie Rugii, zbudowany przez nazistów. [przypis edytorski]

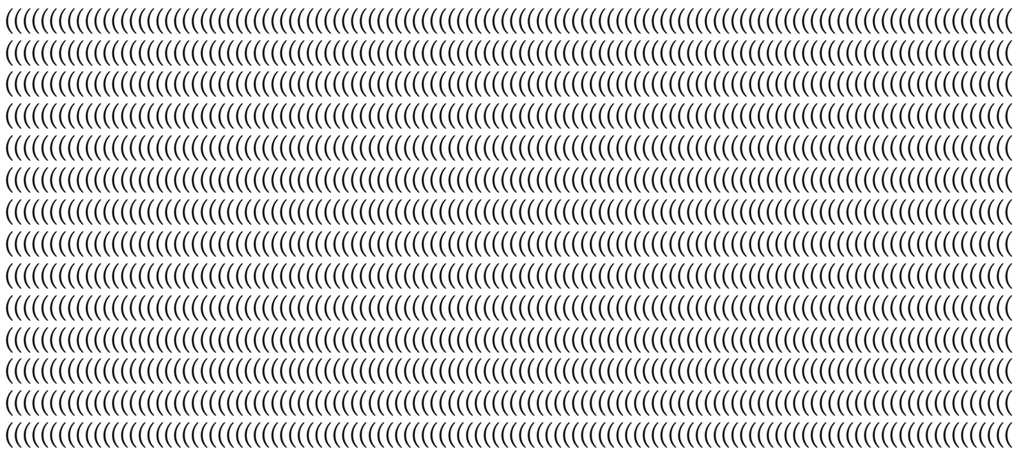

Piekło

Pieśń pierwsza. Pieśń przekreślona[11]

Przekreślam się na początku i linie przecinają mnie
Przekreślam wszystko, nie wybieram jasnej czystości
liter jasnych między rytmiką nad linią, tylko je ścinam
na wieczną pamiątkę nieczytelności i nieważności
Linie jak wykres kłamstwa — prawdy przekreślają mnie
Zagrzebana w błocie, uduszona plwocinami, laudacjami
do fałszywych proroków ze słoniny, ze złota, drewna
namaszczanych bez odpowiednich procedur i pieśni
olejami zbeszczeszczanymi i gestami udawania, grają
dla mnie, bawią mnie w moim ogrodzie odrzuconym
Oto Jestem, nie dla ciebie boże, teraz nie szukaj mnie
Oto jestem, zagrzebana głęboko w sobie niegotowa
niechętna na konfrontację z tym, co jest litościwy zbyt
Przecinam wyrzuty sumienia, żale zasmarkane
Skomlę, przeczuwając rozstrzygnięcie i pochód śmierci
Ja pies jej, syty-żyr, obwieszczam swym gardłem piekło
potępienie wieczne dla wielu czarnoustnych wśród nas
Znam wszelkie prawdy nieobjawione i apokryficzne
Historie cynicznie wymyślam, paląc papierosy z liści
z drzew prawdy, okolicznych jemu złączonych korzeniami
Nieobrzezana jestem i zresztą już za późno, za późno
na te ceremonie poświęcenia przerośniętego, nienowego
Jak pisać o piekle, co jest bardziej niż cokolwiek we mnie
Redzie je schować i je ukarać za to, że ciągle jest tutaj?
Nic nie zgniecie nas na czyśćcowy proszek sprzedawany
w porcjach, w torebkach plastikowych za 30 srebrnych
skrytych przed rodziną i znajomymi z najbliższej parafii
Wymyślam sobie swoje bóstwo bałwochwalcze ciągle
Ja na szczycie Mont Blanc czy górze gówna wie czego
Jednak wysoko stoję objawiona sobie, promieniuję
Wywyższam się ponad horyzonty, gwiazdy gniotę

[11] *Pieśń przekreślona* — w druku cała strona przekreślona jest skośną kreską. [przypis edytorski]

Wszystko gniotę mymi pozłacanymi nogami i ogonami
te kruche, niewiadome byty liche, proste, dobre
przekreślam je, by przekreślić ostatecznie siebie też
Milionami skreśleń stapiam wszystko dookoła mnie
Niech świat wraz ze mną cierni i zdechnie w ukryciu
Długie me szaty, brzęczące, zaprojektowane dla tyranii
zżerającej wszystko, nawet siebie z głodu ciągłego
Odrzuć mnie i skreśl, teraz jest dobry moment na to
Spróbuj rozcieńczyć mój grzech wbrew mej woli, wolę
jak jego kształt zamieszkujący we mnie poszerza się
Niech więc linie przekreślające mnie będą tłuste i łakome
Szpetne pieśni szepczę, odrzucając inne w nad nad miarach
Niewłaściwe pieśni na niedziele pańskie, na święta kościelne
Skreślaj mnie, skreślaj, a ja i tak będę trwała pod spodem
na znak przeciwko miłosnym piosenkom, modlitwom
nawet za cenę mojego pomnika, co zostanie strącony
bo sezon skończył się na mój charakter bóstwa i na imię
Pokreślone mam rysy twarzy, lecz nie jestem twą maryjką
choć czarną, najczarniejszą wśród wszystkich kobiet
Na dachach świata siedzę, niszczę pieśni święte
Obcinając im głowy, ręce, łamię śpiewających
Przekreślam wszystko, nie ucieknie mi żadne słowo
Zatrzymam ich słodkie poloty kontekstu i zniweczę
Przekujcie aureole święte, co mogły kiedyś być na mnie
te, które w moim rozmiarze, przekujcie na naszyjniki
dla mnie na wernisaże i spotkania autorskie w piekle
na które już teraz wszystkich serdecznie zapraszam
Przekreśl mnie teraz, proszę, i uczyń nieczytelną
niech me słowa pisane w zmęczeniu i uniesieniu
zostaną precyzyjnie zmazane na wieki przewlekle
Powołani do skreśleń i potępień, wystąpcie teraz
Niezmierzona czerń tablicy, po której kredą mażę
znaki ochronne, znaki ucieczki, ukrycia gdzieś tu
niewielu się uchroniło przedostatnią litością
Są tacy, którym się to udało i skreślili się z listy
Na liście nieobecności teraz tak bardzo są obecni
w niwecz się nie obracają, nie zapominają się
Najmniejsze skupienie wszystkiego złego
Zatykam swe usta w pieśni przekreślone
pieśni skurczliwości do środka własnego
ściśnięcia i zmiażdżenia doszczętnego
Patrz, jak się boję, wkładam tyle do buzi\
Nie rozczytasz mnie w myleniu się moim
pokusa pozostaje, to przebicie dla oczu
będzie przedzierać się do czytelności mozolnie\
Czarne wersy nadciągają w szyku osobliwym
Boję się tego, jak zakradają się armią na mnie
Przekreślam te judaszowe pianie wyleniałych
Zagęszczam się w swych bluźnierstwach mocniej
wykrzykiwanych w dorner kebabach o świcie
w kierunku wschodzących zewsząd księżyców
stękających z każdą minutą przedzierania się
przez ciemność oczu skulonych i zawiedzionych
Lubię śpiewać te pieśni odrzucone przez siebie
nieudane, skazane na to, by się kotłowały w byciu
nieważne, zbite w kartki, zmięte do środka truchleją

Czemu więc tak potrząsasz biodrami w moim kierunku
marcepanowy wrogu w przeczeniach wykrywany
czemu?

Pieśń druga. Zmierzchy bogów naszych

Nasze wielkie procesje nadciągają burzą
miodnych i szaleńczych mów na naszą cześć
Powiewają nasze sztandary mnogie, tkane
Sztyletujemy krawędziami naszych języków
Zabijmy tych, rzucających w nas jabłkami
z mostów rozpostartych nad naszymi przejściami
Jesteśmy Bogami zabierającymi ciągle dla siebie
tylko dla naszych czarownych przydomków
one wywoływać mają strach i ukrycie
Otoczeni dziećmi, kobietami w bukietach
oddają swe lenna w nasze kosze i kufry
Zabieramy im wszystko jednym gestem ręki
Podcinają nasze kryształowe koturny wysokie
a my ściskając pięści, odchodzimy, grożąc temu
który niby-wszechmocny i nie zgwałci nas kolorem
taki niby-wszechmocny i nie zabarwi nas kolorem
Nasze pięści zwinięte w siebie przechowują
groźby, nienawiść do wszystkiego, do Niego
Nasze armie już szykują się zdobyć jego terytoria
Siła nasza ogromna, zabierająca wszystko w tajemnicy
Niech on przyjdzie, składając nam pokłony na dywanach
przenośnych, składanych, które wędrują wraz z nami
Rozrzucamy kości zamiast kwiatów przed antyhostią
Piszemy Tylko Wielkimi Literami Te Zdania Nadrzędne
zgniecione zostaną wraz z nami w pyły alergiczne
rozpadają się w naszych, kwaśnych, cytrusowych rękach

Mordercy prasują nam koszule wyjściowe na noc
Oglądamy się za diabelnym, zmierzającym do nas
Poi nas z niezwykłą regularnością i troską
trzy razy w ciągu dnia, drobną łyżką podaje nam mannę
Kasza pozyskiwana z odwróconego procesu utylizacji
z buraków pastewnych, kradzionych i ukrywanych
Nasze wieczne panowanie, gdzie są zasłony gęste
opadają one głęboko, marszcząc się, dają mrok
chronią nas przed dziwnym widokiem na urwisko
Powoli zmierzcha nasz zewnętrzny blask okrutny
zewnętrza błyszczące, strachliwe, zadające śmierć
Oto idziemy, krwawymi bóstwami nazwani na zawsze
Złoto i wyrwana kość strojna dodaje nam jeszcze blasku
Oto zdychamy w promieniach wschodzącego, nowego
nie umiemy śpiewać dla niego, nie nasze głosy
Nasz chór odrzucony, każdy z nas ma głos pierwszy
nie możemy znieść hegemonii zmiażdżonych nas w nas
Pokazy mody królewskiej kończą się w porze happy hours
Wszystko miało zdychać, nie wzdychać już nigdy więcej

Uczyńmy więc krzywdę słodką, porzućmy dobre zamiary
Nie do zniesienia jest dla nas bóstwo miękkie i głębokie
W nasze żelazne konstrukcje nie wleje się już nic
Wielkie oddzielenia, granice naszej kumulacji pełnej
Nasze naoliwione policzki chudną ze strachu i paniki
przed naszymi sąsiadami, co mają podobne zamiary
Chcą nas pozbawić tronów, komnat bursztynowych
Nasze usta malinowe wysychają z braku ducha w nas
on dodawał nam kusicielskiego piękna, o które się walczy
chronił nas przez całe nasze królowanie w pozłocie
Wessani w siebie przypominamy sobie naszą wielkość
Dekoracyjne formy językowe, muzyczne wiążą nas
Okazało się, że zaprawdę jesteśmy nieśmiertelni
czego skrycie się obawialiśmy, unosząc ostatni dech
w kierunku ścisku, milczenia i zła
podobnego najbardziej do koloru naszych skór zamszowych
które boskim zabiegom pielęgnacyjnym były poddawane
gdzieś w krainach żurawiny suszonej, zgnilizny i zmierzchu

Pieśń trzecia Bruna storia

Trzecia pozostałość po rozstrzygnięciu
po próbach ognia, wody i pryzmatu
upadła najgłębiej w siebie, w obłęd
z którego nie ma wyjścia ewakuacyjnego
choć wejść była mnogość zachęcająca
Jestem częścią odrzucającą oblubieńca
Trzepotał on swoimi rzęsami w moją stronę
z frędzlami, z jasnym uwielbieniem k'mnie
Jego obietnice szeptane niech porwą zwierzęta
stwory leśne, które lubią te słoniny na patykach
Mając je w pyskach, obserwowały mój rozprysk
Odrzuciło mnie daleko od niego, w norę
krecią dziuplę szalonego, ślepego posuwania się
tylko naprzód, bez zawracania i odwracania się
Tony ziemi zakrywają moje górnicze szczebioty
w nieodkrytych do tej pory głębinach gnilnych
Upojona denaturatem filtrowanym przez watę
z trupią czaszką na okładce objawiam się wam
nieprzenajświętsza, nieprzenajświętszy mój śmiech
Chciałbyś może, abym była dziewicą waleczną
konającą w imię boga milczącego za chmurkami
które maluje chaos i przypadek zmyślnie złośliwy?
Wolę być Bruną, z jej ust para zimna ucieka
w wielkie przestrzenie ciepła, miękkości waszej
Gdy cesarstwo kwitło girlandami, krwią krzepliwą
byłam nałożnicą rzymskich cesarzowych i cesarzy
Głaskali swe tygrysy po głowach, głaskali mnie
Miałam wielką władzę panowania, zabijania
Władam wielkimi tronami, potęgami, armiami
Mordowałam swe służki wdzięczne, nieśmiałe
Trucizny kwieciste w sprayach rozpylanych
W me łoże wsiąkały coraz to nowsze smaki i soki
Mój kielich ciągle był nadpity mimo przepełnienia

Wymyślałam krwawe uczty, gdzie mordowano dziewice
niewolnicy ginęli podczas hucznych, gwiaździstych nocy
Osobiście ich biczowałam, doprowadzałam do ujadania
Osobiście, z zaangażowaniem obłędnym biłam jaśminy
Wbijałam ich miękkie ciała w glebę, w marmur
a wtedy kosmyki włosów uciekały mi spod koka
Me jedwabne tuniki czerwonymi wzorami okrywały się
Tak wygląda Maxima-Optima, Szalona zwana Wielką
Ssij mnie mocno, truj się mym sokiem cierpkim
z bzu czarnego i nasion odrzuconych za gorycz
Panny składane mi w comiesięcznych ofiarach
bym była łaskawa dla ich miast dopiero utkanych
W najczarniejszych arkadach przechodziłam, tupiąc
niszcząc, gwałcąc wszystkie porządki zastane
doryckie, korynckie i porządki jońskie też
Nokturnowe szaleństwa do wczesnych godzin
z bufiastymi sukniami, z poduszkami w ramionach
Bym się zdała bardziej bóstwem, co nienawidzą go
Oskarżana przez kuzynów, synów za spółkowanie
z literami przekrzywionymi i z przecinkami w nocy
Dowodami na to miały być kosze martwych maślaków
z którymi powracałam jako morderczyni skryta
Chcieli mnie ująć za zbrodnie i zasztyletować
ale moje gniewne, czarne spojrzenie spod czoła
prześwietlało ich spiski na moje ciało i władzę
zatruwszy ich, cały świat zatruwając, patrzyłam
patrzyłam na agonię pełni i tej niby-nieśmiertelności
młodzieży, kwiatów, małych piesków, owadów
Te ramiona zgarniały wszystko dla siebie, dla mnie
Stałam się prawie legendą, żmijową panią ptaków
choć ma postura wykluczała aż takie okrucieństwo
Oleje wylewane pod me stopy, ścierane włosami
Popełniali samobójstwa przy białych winach
oni opiewający nieskończone, niedokończone

A ja chichotałam, patrząc, jak zdycha świat
piszczący i wznoszący ostatnie spojrzenia po litość
Na mych pobielonych pudrem dłoniach zdychasz
Teraz ty zdychasz

Pieśń czwarta. Winna śmierć

Sącząc z gąbki prawie octowe wino, leżakowałam
Z bólem krzyża wylegiwałam się na skórach
szukając kolejnych ofiar mych kaprysów lata
wśród pięknego i młodego korowodu blondynów
Oto byli z prawej, lewej strony piękni *phoibosi*
grali jakieś stare, wierszowane pieśni z lutniami
Myślałam, jak rytmicznie wybijam im te nutki z ust
Czy jako bezzębni będą tak samo umuzykalnieni?
Uśmiechałam się do siebie, obmyślałam plan śmierci
wtedy podeszła do mnie półnaga piękność z owocami
czarownie pachniała nienawiścią, nierozpoznaniem
Oj, te panny malowane, oj, te panny szykownie roztrzaskane
Zdziwiona tą odwagą zmieszałam się jej obecnością

Zmieszany kielich powrócił do ust, niosąc ze sobą truciznę
Pijąc winną przynętę, poczułam się senna i zmieniona
Krzyknęłam z nagłego bólu, rozrywającego mnie w środku
Wiedziałam, że zostałam otruta, krzyczałam o pomoc
Nikt z ucztujących nie przerywał biesiadowania śpiewnego
Na ich posągowych, marmurowych twarzach trwała cisza
z wolna dostrzegłam jednak delikatne uśmiechy rysujące się
Wybiegłam na korytarz i leżałam jak skulona ślimaczyca
plując siebie wokół, zsikując się z boleści przygodnej
Tak odchodzi bogini wraz ze swym postumentem na kołach
Winna trucizna zdobywała mnie w licznych żołądkach
cięła mnie na fragmenty, toczyła eksplozjami mą biel
urojoną i wymyśloną na potrzeby wizerunku wykutego
W ciągu jednego momentu mój chłodny oddech spadł
Oczy wytrzeszczyłam w marszczący się mrok czyhający

Wtedy poczułam do siebie nieprawdopodobny wstręt
Szept dziwny nie do zniesienia, przekrzykiwałam go
Całym swoim wściekłym rykiem królowej zagłuszyć go
Tylko to odezwało się we mnie, wielki mój wrzask
Odsunęłam się sama tam, gdzie najdalej, gdzie nie słychać
nic prócz mego głosu królującego nad śmiercią i nad łaską
którą odrzuciłam na wieczność od siebie, w przepaście kredowe
Ściąganie do punktu najmniejszego, prawie niewidocznego
Myślałam, że się rozpadnę, zniknę w jakichś śmietanach nagle
Tak bardzo byłam, za mocno trwało we mnie coś twardego
Zza moimi plecami, gdy odchodziłam, słyszałam lamenty
Głosy z dala wzywały jeszcze Brunę rozczochraną
zamieniły się z czasem w przedziwną odwrotność
Patrzcie, jak nadchodzę, najpiękniejsza

Pieśń piąta. Pieśń odchodzenia do Piekła

W tył zwrot, naprzód w siebie maszeruj
Butami rozdzierającymi, kowalskimi szuranie
Pozostawiając po sobie ślady w błotach
Odchodząc w dale powłóczystym krokiem
Nie chcę już twoich ud i ciepłego brzucha
Patrz za mną, na to ci pozwalam ostatni raz
na patrzenie, jak się odchodzi od ciebie
Me wdzięki uciekają, ale ma wola silna
Nie zobaczysz już nigdy mej twarzy i oczu
Nie będziesz liczył mych oddechów, jak śpię
Nie wkradniesz się we włosy w postaci wiatru
Nie dam ci się wymacać na dnie twojej kieszeni
Już nie rozpoznasz mego kształtu w swej dłoni
Na nic te twoje efekty specjalne, widzisz, na nic
Sklejam się do środka, byś mnie nie mógł zdobyć
twoimi sekretnymi możliwościami drążącymi
Moje kuszenie plecami kołyszącymi, widzisz

i pewnie zadajesz pytanie unde malum[12], Bruna?
Naśmiewam się z twego płaczu, jeszcze jednego
Wiesz, to tak jest, że to ty musisz prosić o łaskę
wizyty u mnie w pałacach doszczętnie zniszczonych
gdzie zaraza o moim imieniu pożera wszystko i ciebie
Pożrę cię też, jak tylko się pojawisz w moich podwojach
Me oczy, gęstwina ciężkich powiek i nie dostrzegam
Mam alternatywne zakończenie dla ciebie, o misterny
W tym scenariuszu główny bohater odchodzi w dal
nie rozmywa się jednak, lecz wszystkie jego detale
zaczynają skrzyć od ostrości postrzegania ich na raz
Wszystko zdaje się być takie brzydkie, jaskrawe
Płaczliwe wiatry już ścierają me imię, zapominając je
wracają do siebie bez mej odpowiedzi, milczę, milczę
Zmazują me imienne atrybuty podarowane mi kiedyś
Szkoda, że sama nie mogę ich wyręczyć w tym

Pieśń szósta. Bramy Piekieł

Puk, puk, otwórzcie, zmokłej bogini łez i moczeń nocnych
Stoi przy bramie, kołacze, oczekując waszej gościny na noc
Tu się rozpoznaję, przy wejściu i domofon z moim imieniem
Podzielone bramy na nieskończoną liczbę segmentów
ciągle dzielą się wewnętrznie, ciskają, miażdżąc się w granicach
Nadproża potężne, wielkie filary dźwigające ciężar spotęgowany
Obrazy i historie niby tu widnieją, ale się kamuflują nawzajem
przez spróchniałe zęby cedzone, przez zgryzy zatrzaśnięte
Nowe rysunki na odrzwiach wyrzeźbione dłutem zębatym
Skryte pod deskami świata zwłoki czynów przerażających
Znaki dziwne rozpoznaję, w woskowym świetle ich pląs
Polichromie zdrapane wiatrami dalekimi i kształty miękkie
W rozglifieniu łuku wieńczącego drzwi napisy po aramejsku
Charakter pisma wskazuje na autora przycupniętego
On chciałby zachować anonimowość, raczej się nie ujawnia
Pewnie jakiś dawny mistrz je kuł, bramy piekieł w ogniu
Są na nich zakazane kwiaty, których nazwy są ominięte
we wszystkich językach dawnych i przyszłych, i zaginionych
W przyczółce lampka z napisem *wolne*, możesz wejść
poprawić przed lustrami w sraczu wypadające włosy
Ślepymi maswerkami ozdobione, czołgankami upiększają
przy klamkach licznych na wszelkich wysokościach
podkreślają stylistykę podążającą w doły i w przepaście
Te modne tendencje w architekturze są osobliwie ciekawe
Zapachy obłędu mego, szaleństwa, tu rozpoznaję się na szczęście
Wśród musujących kształtów dostrzegam trzy postaci wokół

Obgryzam palce do krwi i dotykam tych figur mellitowych
Dwie stojące z otwartymi ramionami, jedno zwierzę zbite
Wszystkie spojrzały na mnie, uśmiechając się przeciągle
Zauważyły moją obecność dotąd tutaj niedostrzeganą
Wtedy poczułam histerię olbrzymią i lęk odsłonięty
Uderzyła mnie fala zła niewypowiadanego w czoło
Rzuciłam się do ucieczki, tłumiąc swój zgubiony oddech

[12] *unde malum* (łac.) — skąd [pochodzi] zło. [przypis edytorski]

lecz ma ręka spoczywała już na klamce, która odskoczyła
a brama była taka piękna, karmelizowana z tłuszczem
Ot, te sztuczki opierające się na skrzypliwych zawiasach
one wiodą nas na zatracenie w głębiny najstraszniejsze

Nie witajmy się zatem w progu
sata-musie, czy jak ci tam było kiedyś na imię

Pieśń siódma. Pieśń ściśnięta

Płaczcie teraz, wszystkie płaczki żydowskie
Te najpiękniejsze łzy ocierajcie wymuszone
Wysuszajcie swe płatne oblicza włosami
perfumowanymi i namaszczanymi, i długimi
Do tego pośmiertnego orszaku wybieram
te najbardziej wczuwające się i niewinne
z wielkimi oczami rozmazanymi za zapłatę
Drogimi kamieniami was obsypię, całe drogie
Te ręce załamujące się, te jęki, naciągane wycie
Ja nie mogę nad sobą płakać na zewnątrz
Wciśnięta w siebie widzę tylko swój smród
Nie potrafię czuć, tylko ścisk niemiłosierny
Wpychana w najmniejsze ramy moja wielkość
ograniczana liniami czarnymi, oskarżającymi
Me kształty dawne w bolesnym marynowaniu
Zapadam się nieskończoną ilość razy w się
W najgłębszą przepaść w sobie ciągle wpadam
Ciągle spadam w dziurę, którą jestem, pełną i złą
i te chóry potępione, te głosy z dawna cierpiące
przypominają mi dokładnie śmierć zadawaną
Teraz tęsknię za jego obliczem, które odrzuciłam
Za morzem pozostał i pozwoliłam mu zapomnieć
Tu wszystko już zostało spełnione w echach licznych
Tu wszystko już zostało zaprzepaszczone kiedyś
Wciśnięta w środku żyję tylko rykiem wewnętrznym
Nie wyobrażałam sobie, że tak boli śmierć wieczna
Umieram nieskończoną ilość razy, niewidząca kresu
zadać sobie ból z jego dekoracyjnymi detalami
Mieć przez chwilę możliwość tej rozkoszy boleści
Nienawidzę najbardziej mego bytu skurczonego
wszystkiego, trwającego w nieśmiertelności mojej
Płaczcie, o piękne kobiety płatne i lakierowane
Zmuszajcie się, zmuszajcie się wzajemnie, podsycajcie
do żalu za moim wiecznym pogrzebem w listopadzie
Trwam z więdnącym wiankiem chryzantem na głowie
Odszedł ten, co podawał mi wino do ust, pragnąc mnie
bez niego wysuszona oceniam ciągle mą stratę wieczną
Brak mi teraz tych pieprzonych, pastelowych kolorów
kojarzących się z jego cichą obecnością w dalekich tłach
Niech wasz płaczliwy skowyt wzniesie się, o płaczki
w ten kosmos okrutnie cichy i wolny, piekielnie wolny

Pieśń ósma. Bruna nasłuchuje bóstw spokrewnionych

Daleko i blisko pod mym ramieniem słyszę popiskiwanie
Żałosne, nerwowe moje drapanie w tym miejscu, gdzie swędzi
Głos spokrewniony usłyszałam wbity we mnie, tak daleki
Śpiewak fałszujący drżał, srał w majtki bawełniane z domieszką
po nogawkach rajstop ściekał mu mocz ze strachu przed sobą
Wciśnięcia w głębokości nieodkryte przez żadne wehikuły
Byliśmy dawno napełnieni ambrozją i nektarem kradzionym
Szeleszczą części skołtunione mocno, pod spodami
Słyszę świsty jak pieśni powlekane żałością wyczynową
Bóstwa spokrewnione tłoczą się w tym niemiejscu, we mnie
Przekrzykiwania na ścianach przepaści, noszę ją w sobie
Nienawidzę ich, a oni mojej obecności, jednakże zmuszeni
Skóry po nas zostają, po bóstwach leśnych, prehistorycznych
Posłyszałam głos pojedynczy, zdał mi się jakoś rozpoznawalny
Szepcząc w mym uchu, umiejscowił się jak w niewygodnej pufie
Ten pisk, syczący torturował precyzyjnie dźwiękiem nieznośnym
Jego głos, trzeszcząca dźwignia kości zginająca, kości zrywająca
Zasypcie grubą warstwą żwiru to gnojowisko smrodem oszałamiane
Wszystko od niego ucieka, nawet on od siebie ucieka lękliwie
To gardło jest tu tak zwężone, nie ma przełykania i oddychania
Nie wbijesz w to rurki, by uratować mu życie, by mu uratować śmierć
by uratować jego pieśni charczące przed każdorazową destrukcją
po szepnięciu jednostajnym, od razu niszczone są przez połykających
To najmniejsze terytorium bóstw zapomnianych w starych mitologiach
Zaśpiewaj mi swą piosnkę zdolnego szambiarza uwikłanego w zagadkę
Nadchodzisz, w mordzie trzymając swe kości zmiażdżone jak puchar
twym własnym pyskiem i tonowym naciskiem na siebie samego
Twój wątek przeplata się gdzieś we mnie rozpiętej i zgniecionej
mieni się w okolicy, dając znać, że się jawił kiedyś jako Pseudohelios
okrutnie biczujący swymi promieniami twarze pobielone rozpaczą
rytmicznie uderzając w ich skóry, jak w bębny bolesno-dźwięczne

Pieśń dziewiąta. Pseudohelios wyje

Ksandzie, Podargu, Ajtonie i Lamposie żelazny
gdzie się podziało wasze ostre, końskie włosie
wasze gęste grzywy zasłaniające mi głębokie doły
kopane na grobowce Heliosa okrutnego wieczorem
muskularne, dźwigające mój odwłok władczy
Pociągowa wasza misja skończyła się dosyć szybko
Podkradł mi was inny bóg zachodu z brązową twarzą
Nie barwi się tak mocno przy zmierzchu czerwienią
Me słoneczne potomstwo uciekało promieniami
przed mym gniewem olbrzymim i wrzaskiem furii
Jednakże wszystkie z dala gdzieś krążyły na orbicie
Mieszkałem jako prawie trup słoneczny trochę w Italii
Mój pierwszy syn, Faeton, nie mógł patrzeć na mnie
nawet w słonecznych okularach, wybuchał płaczem

Miażdżyłem jego pneumatyczno-aerodynamiczne kości
żelazkodeskami płonącymi, krzesłami wirującymi
Jego delikatna matka, pogruchotana odwożona karetkami
karetami króla słońca, jechała na sygnale mego odrzucania
Nienawidziłem widnokręgu przypisanego mi przez los
Wypalałem ich delikatne powierzchnie i wilgotne kąty
zakamarki schowane przede mną, jakoś trochę urodzajne
Faeton popełnia samobójstwo w trakcie zaćmienia słońca
tak był przyzwyczajony do mojego oblicza spalającego
Widząc już tylko pustynię w owej krainie pogrzebanej
szczątki plączące mi się między zębami i odchodami
na drodze gwiaździstej poznałem kobietę-kometę uciekającą
podążyłem za nią w inną galaktykę i tam poślubiłem ją
koronując się jednocześnie na największego patriarchę
Me kolejne mitologiczne potomstwo to drobne księżyce
za małe, by je rozbić o siebie z hukiem, ich jęki posłyszeć
Meteoryty wysyłane i przedmioty zderzane z ciałem
przy wieszaku na płaszcze przygodne, bujający się abażur
Abażur złoty był mi konkurencją w oświetleniu wnętrza
Abażur żółty, zgnieciony, bujający się wśród przerażenia siłą
Bicie po ich lekko uniesionych głowach w stronę słońca
Nikt nie jest dostatecznie godny, by spoglądać w me oblicze
gniewu i nienawiści do panoram rozpostartych wokół
Ona — kometa uciekła z dziećmi z mego widnokręgu
montując markizy przeciwsłoneczne, żaluzje ciemne
Przesunął się mój ruch jednostajnej fizjologii w bok
Mieszkałem znów tam, gdzie inna strona świata się myliła
Z kolejną boginią rodziłem kolejne brzuchy nienażarte
Przychodziły do mnie, prosząc o ciepło, biłem je okrutnie
po tych ustach zdziwionych, oczekujących minuty solarium
Potłuczone żebra córki nieznośnej i syna z chorym sercem
Sikali ze strachu, gdy wracałem wieczorem do mego pałacu
Zniszczeni, płaczący, lizali swe rany po wybuchach słońca
Wpełzali pod meble włoskie z wyprzedaży zakupione
Byłem przekonany o swej nieśmiertelnej sile niszczącej
lecz pomału prawie niezauważalnie stawałem się słaby
Traciłem swe rumaki ciągnące mój rydwan spalony
ich kopyta jakoś tak tętniły w coraz większym oddaleniu
Zrzucony ze swego słonecznego powozu dotknąłem ziemi
na której już nikt nie zamieszkiwał, porzucona w pośpiechu
Zdychałem przez kilka lat, doczekawszy niepełnosprawności
Zachowałem swój jad ukryty między zmarszczkami na zapas
by starczyło do końca tego niszczenia wszelkich przejawów życia
Me mroczne panowanie i regulacja buntów żelaznym drągiem
zanikało jakoś i bladło, znikał mój ostry blask z powidokami
W domu starców nikt nie chciał się mną zajmować i doglądać
Każdy się mnie bał, opowiadałem im o mym niszczycielstwie
o tych zależnych i zaciemnionych, powoli wzrastających w cieniu
Opowiadałem, jak odchodził Faeton pierworodnie niszczony
po miękkościach odsłoniętych, po miękkościach zasłoniętych
Pielęgniarki chowały twarze, a chłopcy ze wstrętem spoglądając
życzyli mi wszystkiego najgorszego, dużo chorób w dniu imienin
podawali mi papierosy, czekając, aż zgasnę, charcząc w dymie
Z czasem zmieniłem się w *czerwonego olbrzyma*[13] obrzękniętego

[13]czerwony olbrzym — nazwa gwiazdy będącej na schyłkowym etapie ewolucji. Nazwa pochodzi od ich barwy i zwiększających się rozmiarów/ [przypis autorski]

Nowotwór wpompował w me ciało wiele powierza i wodoru
choć leżałem, umierając, byłem znów najmasywniejszy, potężny
W samo południe, gdy słońce było najwyżej, pojękując, odchodziłem
Jak umrę, wszystko zgaśnie, potężne bóstwo zasypia ze wszystkim
w grobie wraz z rodziną żywcem pochowaną, wraz ze służącymi
i psami, i z wężem ogrodowym, programem telewizyjnym na piątek
Miękki zastrzyk przeciwbólowy kołysał się we mnie łagodnie
Łuski węża ogrodowego pokryły me oczy, oddech ustał w ciszy
Wtedy poczułem pierwszy raz lęk, zmuszał mnie do uciekania
odrzucając moje zewnętrzne warstwy, zachował się tylko środek
Jądro, skondensowane w środku mym, okazało się skarłowaciałe
Zostałem zdetronizowany, pośmiertny zamach stanu i ścięcie głów
Nagłe zrozumienie uderzyło mnie w brzuch najgłębszy, w biszkopt
Uciekłem jak najdalej od tych szeptów nawracających uciążliwie
w wielkim pośpiechu, histerii dotarłem tu, do królestwa strachu
zsikując się ciągle przed sobą — przed nadchodzącym czarnym karłem[14]
Zbity do mego wnętrza, nigdy się nie poszerza ani zwęża
Przypominam sobie płacze nieustające za mną, za okrutnym
że był taki ohydny, już prawie nie wspomina się go przy obiedzie
Jakieś charczące huki tylko określają moje pochodne kształty
ktoś ciągle śpiewa głosami mych ofiar w tle, naśladując idealnie
Przypomina mi ich strach przed nadchodzącym Pseudoheliosem
zamykane przede mną żółte drzwi do pokoju, drzwi do piekła
które i tak wyważę, i wejdę do tej szczeliny, i zmieszczę się tam

Pieśń dziesiąta. Piekło pseudoheliosa

Określając me śluzy ciągle skapujące
e
e
Zapadające się litery w sobie noszę tu
cały czas, przy sobie mam swój koniec
Skrzywione usta tak trudno narysować
Jakim ołówkiem szkicować ich kształt
granitowo-fioletowy i obawiający się?
Oto nadszedł głuchy dźwięk z zimna
Więziony w sobie, własne żebra-kraty
Wisi przede mną żółty abażur pradawny
Jakieś istnienie rozumne i przebiegłe
szeleści, zadając mi rany, ramy wąskie
cytując i śpiewając — tatuując we mnie
słowami i pieśniami miażdżącymi się
teraz odwrotnie rozciągane, za ogony
na szorstką stronę, która nie pozwala
na noszenie ich bez otarć i zniszczenia
Trzeba zawsze było sprawdzać metkę
kraj pochodzenia tych tkanin skrytych
zakazywanych i wytrzymałych jak juta
Noszę ze sobą zawsze swój koniec
Widzę ciągłe tylko zakończenia ze mną
z głównym bohaterem filmu amatorskiego
w którym wtórują głosy zamazywane

[14]czarny karzeł — hipotetyczny końcowy etap życia gwiazd. Gwiazda przestaje świecić, stając się w ten sposób zimnym *czarnym karłem*. [przypis autorski]

tylko zakończenia mi pozostają
puszczane w ciągłych pętlach
one zaciskają
piekło

śpiew z dziwnym raczej niespotykanym akcentem
gdzież się podział ów, ten helios pierdolony, pragnący spalić świat?
nauczymy cię dyscypliny, my, krwawe owoce lychee, organizujące
spotkania po latach i uczty zakrapiane winami poświęconymi
sraj ze strachu, nadchodzimy na ciebie, znów w odwiedziny
żeby ci było jeszcze bardziej przykro i byś był bardziej samotny
przyzwyczaj się do naszej obecności cierpkiej i karzącej
hi, hi, będziemy dydaktyczni bardzo, oczekuj tego, tylko tego
ohydne, niby takie silne i oświecone, teraz płacze to nieżyjątko
dogonimy cię i będziemy niszczyć, aż nie będziesz w stanie piać
ze strachu, że noc się nie kończy, a złe sny są takie namacalne
i szeleszczą złowieszczo w przepoconych, długich palcach
wydrapiemy jego gardło językami z płomieni, samozaciskami
aż skuli się do niemożliwości, aż będzie wzywać swe dzieci
my z jego ust wszystko pochwycimy, spożyjemy łapczywie
napełniamy się bowiem sokiem jego, prawie że pęczniejemy
w naszym wiecznym głodzie, w trwaniu zakonserwowane
i niezmiennie perwersyjne w rekonstrukcjach

Pieśń jedenasta. Bruna śpiewa pierwszą pieśń wojenną

Wysuszone są me usta, już żaden pocałunek
Nie uda mi się schować w kimś przez moment
Oto mój wróg, wróg śpiewający przede mną
skrywa się za słowami pełnymi czarnej wydzieliny
Umiejscowił się przy moim uchu i pęcznieje
przez chwilę, potem rzęzi w swoim oblężeniu

Będę prowadzić wojnę międzynarodową i wielką
zamorduję wszystkich piosenkarzy dorabiających
Takich jak ty mordować, ich przyuczone głosy
przyuczone głosy do jakiejkolwiek atrakcyjności
W ustach powleczonych same kamienie i ziemia
Szykuj już swój herb wojenny, będzie powielany
herb z czerwonym pasem i zapinką żelazną na nim
Zetrzemy się w bitwie na moim terytorium
ja wyznaczam

Każdy jest tutaj czyhający na ciebie, więc sikaj z lęku
W twoich oczach zamieszkuje strach i ta nerwowość
Nie będę miała dla ciebie żadnej litości, nie licz na to
Już machiny wymyślam, by zdławić twoje liche chlipanie
Zbieram je, gromadzę w zbrojowni, zaskakując cię

Pułapki na lisy i szczury zastawiam, tym się zajmuję
z siatki, z drutu, poranić cię i cię jeszcze bardziej poranić
Ten twój stan zapalny ciągle się aktywizujący pulsuje

pulsuje rytmicznie, przeczuwa swoje wieczne trwanie
Machiny szaleńcze, nowe rodzaje broni będę próbować
Kierować będę je wszystkie, ich małe i wielkie lufy

do twej buzi

Pieśń dwunasta. Bruna wsłuchuje się drugi raz

Dorzuć trochę swoich kości do ognia, bo robi się chłodno
Pod wyleniałą peruką z kreciego futra i z nutrii brzmi wokal
Nadkobiece ma zdolności manualne, taka męska jest i silna
Nawet teraz odwrócona do wszystkich nie chce występować
Idź tam do niej, namów ją, by rozwinęła swe spocone pięści
Niech nie boi się odkrycia swej szpetnej twarzy, robaczywej
Chodź do mnie z tłustymi włosami zgubionymi i wyrywanymi
Przedstaw się ładnie, bardzo proszę, teraz kolej na ciebie
Próbowałaś trunków zakazanych pozyskiwanych z boleści
Witaj w klubie tenisowo-golfowym dla potentatów ropy
czystych, zarumienionych podnieceniem, swoją personalną furią
Pogryziemy wszystko nieznane, sprowadzane z dzikich krain
Będziemy się oblizywać, cieszyć w środku ze swej nadrzędności
Kobiecy wokal wrzaskliwy, taki przekomarzający się o swoje miejsce
Niszczyła wielu, by zaśpiewać taką niezwykle odwróconą pieśń
No może teraz zaprezentujesz ją szerokiej publiczności
przed moim pomazanym obliczem, barwami wojennymi
Nikną już oczy i moje twarze w maseczkach wojennych
Będę cię zabijać wsłuchiwaniem się we wszystkie półtony
Podziemne kwiaty swe pąki zżerają, przerażone wiecznością
Jak uciszyć tych samozwańców rozrastających się w kątach
Samozwańce w korowodzie zaciśnięte w mojej głowie depczą się
i przepychają, i ładnie się ukłonić należy, no mniej więcej tak
Któż tu będzie pierwszy, który pierwszy wystąpi, pokazując się?
Sztuczki sceniczne, aby jakieś osoby zaklaskały z zażenowaniem
chyba nie do końca zrozumiały, że ta pani śpiewająca to trup
Jakaś taka dziwna jest, dziwnie się uśmiecha przez brak zębów
że w ogóle pozwala się na takie występy, scenografie pomylone
Ona się nie rusza, w sumie nie umie śpiewać, jak inne jej podobne
a suknie ma w pasy czarne i nie wiruje w pędzie zgnieciona
tylko pluje, krzyczy ściśnięta i to cały jej występ uroczy
Przeciska się przez siebie, a każdy jej ruch to niemożliwy ruch
Biegnijcie do pierwszych rzędów zobaczyć jej make-upy
namalowane jej uśmiechy w zespole pieśni i tańca ściśniętego

Pieśń trzynasta. Urania śpiewa głosem odwróconym

Szepcząc słowa rozpryśnięte, wykrzykując odstępy
ćwierćnuty i ósemki w częściach szesnastych
tych dawnych, ludowych, śpiewanych historii
Urania jestem, jestem pełna swej siły okrutnej
Nawet tu, zobacz moje zniszczone, krępe dziąsła
dziury wydłubane we mnie z precyzją mistrza
Niosąc długie sukna ze wzorami płaczliwymi
idę do ciebie, przeżuwając siebie, z pełną buzią
Urania była kiedyś sierotą zawszawioną podle
Nie była słaba jak inne, ale się wywyższyła nad
Uwierzyła w wojnę i najgłośniej krzyczała
wykrzywiając twarz w grymasie wielkiej siły
W pierwszym rzędzie tych najsilniejszych, Ja
szybko dostałam od mych kochanków szorstkich
dyspozycje życia i śmierci w mych kieszeniach
plątały się one ze sobą, gubiłam je w kaprysach
Inspektorka obozu pracy we wschodniej Ukrainie
tam gdzie Urania miała w każdym mieście pomnik
W każdym mieście powiatowym mój pomnik
Siedząc na podwyższeniach, władałam kobietami
Przynależały do mnie dziewczynki od 4 do 16 lat
druga grupa 16–60 lat, poza limitami nie istniały
Musiały oszukiwać mnie strojami, spuszczonymi oczami
Chodziło o zdolność do kreatywnej pracy i siłę wyciskaną
by budować utopijne ruiny, jakąś tajną bazę na piekło
Staruszki nagie, kobiety rozkwitające, dzieci w barakach
Ja spoglądałam na nie surowym wzrokiem karcącym
Matki, siostry, kochanki bogów zwiędniętych pod butem
zdychają w hurtowni drobiu zziębniętego i białego ze strachu
Urania urządzała sobie wspaniałe uczty zakrapiane winem
gdzie wszystkie zapraszała, wyciągając z baraków chłodnych
w tej przedostatniej wieczerzy, widzą ją tylko kobiety ciężarne
patrzą zaciśnięte z bólu głodu swego i dzieci schowanych
omdlewają, piszczą, nigdy później nie słyszałam takiego pisku
Kolacja z masłem, szynką, ciepłym chlebem, miodem kapiącym
Oto były me siostry, zakonnice skazane na mnie, na Uranię
Siostry pod wezwaniem najokrutniejszej, bez serca miłosiernego
Biłam ich gładkie oblicza, ciągle się odradzające po nocy
Rajskie ptaki, feniksy, takie piękne, prawie jak nietknięte
suki o modrych i czarnych spojrzeniach, bite po głowach
tam podobnież umiejscowiona jest dusza ludzka, podobnież
Czy można być tak okrutnym jak ja, co ubieram się w ich ból
Biodra szerokie, przepasane dekoracyjnie wrzaskiem i śmiercią
Co za chorały antygregoriańskie mi towarzyszyły wtedy
gdy strzelałam do łabędzic uciekających w lasy, chronią się tam
wraz z małymi dziećmi, nie uciekną nigdy przed Zapobiegliwą
Czuwałam, aby ich serca z piernika pękały z boleści, kruszały
rozmiękając od łez
Urania jest popromienna i zdeformowana, nie ma słabości
Nie ma we mnie pięty Achillesa ukrytej w kaloszach ciężkich

Trwało to lata, choć nie liczyłam tych niezbyt oświetlonych chwil
Ostatecznie wszystkie kobiety zostały kupione przez Szwedów
zapłacili masłem i mięsem różowego łososia za 20 wagonów
Pojechały ściśnięte i szczęśliwe, trzymające się za ręce razem
Machałam więc im chusteczką, nienawidząc ich coraz bardziej
ale wybrałam sobie sztuki z tego tłumu, by służyły mi do końca
panny niby mądre czekające na swego oblubieńca, aż przyjdzie
ale wyręczyłam go w tym jego opóźnionym przychodzeniu
Zabijałam je, strzelając im w łagodnie rozmazane oblicza
strzelając w ich miękkie karki, co do całowania i pieszczot służą
Zostałam w końcu schowana przed kontratakiem do miasta szarego
Schowana troskliwie do schludnej nory przez dawnych przyjaciół
pamiętali doskonale pieśni w moim wykonaniu sprzed lat
W małym przydzielonym mieszkanku żyłam jeszcze długo
czytając dzienniki i kręcąc przy tym głową ze zdziwienia
Urania pomału przestała promieniować, choć pozostałam w głębi
na zawsze wywyższona przez tamte dawne nimfy, przez ich śmierć
śmierć błogosławionych, ta wyjątkowość skryta, niepowtarzalna
Zmarłam w swoim mieszkaniu samotnie w mroku postępującym
Po tygodniach ktoś odkrył mój posunięty rozkład, rozkładówkę
gdy smród w okolicy nie pozwalał już spożywać kolacji postnych
Usnęłam w trującym powietrzu popuszczanym
śmierć na skutek nieszczelnej instalacji gazowej
Pan dozorca zapisał w notatniku jedenaste przykazanie
nie zapomnę sprawdzić kuchenki złowrogiej przed snem
Gdy się obudziłam, uderzyła mnie mnogość oddechów
rozpoznałam je w ciemności przepełnionej nimi
szept przezwyciężający mą grubą powłokę prześwitywał
Usunęłam go swym żelaznym ramieniem, znów było silne
ramię odrzucające litość, ornamenty strachliwe i blade
Marszowym krokiem kolosa weszłam tam, gdzie skały
Intensywniej wszystko teraz czuję wszystko i rozpoznaję
Jestem związana nokturnami, co kiedyś były mi śpiewane
przez te, które nienawidziłam za tę ulotność, za dusze
Ja niczym klucz nutowy rozpoczynający ich ciąg melodii
ostrość zapisu nutowego, przepisanego czytelniej
Nie pominięty zostanie żaden detal, żaden szczegół
Ten utwór sama sobie dedykuję, dla Uranii skowyt wijący
156 zgodnie z katalogiem Kehla[15] albo diabli wiedzą kogo
zaciśnięta liniami, na których to wszystko zostało opisane

Pieśń czternasta. Urania in ferno

W krzakach wysterylizowanych, w chowanego
próbuję się znaleźć, nikt mnie nie szuka tutaj
Trwam jako niezbity dowód w postępowaniu
Jakieś resztki uczty zalegają we mnie
Nastawiona na temperaturę 250 stopni
jestem zakalcem zapadniętym ciągle
nie ma żadnej szyby, żeby mi się przyglądać
Pieczona w formie chwytającej mój kształt
dziury we mnie pęcznieją po kulach dawnych
tkwią jak rodzynki i rozsadzają mnie

[15] *katalog Kehla* — spis dzieł Wolfganga Amadeusza Mozarta. [przypis edytorski]

Ich rozgrzane wątroby eksplodują we mnie
Wewnątrz mnie jakieś obecności obce
drażnią mój głód i rozpacz, i zapadanie
Czy wielcy bogowie tak muszą kończyć
w okowach własnych, stalowych ramion?
Moje kipiące istnienie do nieskończoności
ciągle jest kadrowane do punktu gęstego
Formy wykute własnoręcznie w ogniu
w ogniu wulkanu, w śmierci, w płaczu
dzięki temu są niezniszczalne z gwarancją
Zgniłe kawałki ciast, rozrzucone mięso
Wszystko mrok, nie ma żadnych świateł
Nie ma świateł do ostatniego występu
słynnej Uranii o głosie nieludzkim
Wszelkie me wydostawanie się z formy
wszelkie me wydostawanie się ze słowa
jest odcinane za pomocą noży japońskich
przez te śpiewające przy pobliskim ognisku
Z dziwnymi uśmiechami już nadchodzą

nadchodzące śpiewają

jesteśmy raczej martwymi naturami
ustawimy cię i wszystko, co się spełniło
w różnych konfiguracjach kompozycje
ograniczony jest ten zestaw rekwizytów
czesać ich ostry kształt swym wzrokiem
możesz obserwować dotkliwiej ich detale
tylko pomagamy, komponujemy wytwornie
w detalach znajdziesz wszystko, co znasz
czerstwe kawałki ciast, rozrzucone mięso
to pożera mrok i nie ma rzeźnych już świateł
rzeźnia nie jest w modzie, raczej tu nie pasuje
widzimy raczej szarą tkaninę podwieszoną
w końcach szarpaną z bolesnymi frędzlami
a wśród niej takie kęsy zgniłe jak pamiątki
rozrywające jej jednostajnie potępiony koloryt
na scenie dla ciebie ustawimy scenografię
nasza siostro uwięziona przez siebie w nas
a my jesteśmy raczej martwymi naturami
z uśmiechami szerszymi niż cokolwiek
z uśmiechami dekorującymi wnętrza
zapomnianych ruin

Pieśń piętnasta. Drugi front wojny z uranią

Wysyłam posłańców z nożami kuchennymi
z nożyczkami zaostrzonymi na szorstkościach
by rozpocząć walkę o przewodnictwo, uranio
Rywalizujmy, która z nas bardziej zdeformowana
Urządźmy sobie konkurs piękności pośmiertnej
Wystąpmy w najokrutniejszych kreacjach
Wszystkie melodie już ograne, nie zdarzy się nic

Mordami przeżuwamy ciągle tę samą strawę
Przeżuwamy się nawzajem, zmuszone słuchamy
Jesteś obok mnie z tą kulą i cyrklem niestępionym
urania niby włada, niby nim odmierza proporcje
tych ciał idealnych i zdolnych do wysiłku
Nienawidziłam cię od pierwszego dźwięku
od pierwszego wejrzenia
Te ramiona niby smukłe, a jednak masywne
Zbieraj teraz posiłki, swe armie niszczące
Twój głos ściszony, zmuszę cię do milczenia
Kontenery będą cię wywozić, kontenery
w interpunkcji drobnej będziesz wywożona
Góra plastiku po powierzchniach malowana
dlatego nie ma tych żył mineralnych w środku
tych krystalicznych pęknięć w środku litej
z której jąkające się mojżesze mogłyby wskrzesić
studnie i fontanny znakomite, rozłożyste
Teraz pozwól, że będę cię okładać słowem
rytym w tych samych miejscach, co kiedyś
Kiedyś w te miejsca uderzała urania w uranię

Pieśń szesnasta. Podsłuchy

Leżę na wysypisku śmieci sprasowana w kubik
Wokół mnie podobne kostki do gry oszukiwane
Jakiś dźwięk, fragment we mnie częścią odłożony
odzywa się i charczy, próbując się przedrzeć
Ten masyw sprasowany walczy o głos mocniejszy
lepiej może go nie dopuszczać, czuję jego ton
Łasi się jakoś tak dziwnie, ale brak mu skóry
Łasi się, by jeszcze raz czujność zatracić
Chwyci, zniszczy wszystko wokół wyłożone
Obliczył sobie to na podstawie rachunków
że on jest Rugewit, stosując kalambury i losy
Rzucając, obliczył, że na każdej jego stronie
na każdej jego kostce siedem jest kropek
dają one nieśmiertelność, to taka liczba
Mimo że śmierdział odchodami rybimi
potrafił się zakraść cichutko, skraść wiele
owoce kwitnące, świeżo kradzione warzywa
Już go słyszę, pod mą pachą chyba skrył się
Zakneblуję go jeszcze czymś, by milczał
taśmą malarską albo workiem foliowym
z wizerunkiem uśmiechniętych kobiet
oblizujących palce ze słodyczy schowanej
Zamknijcie mu mordę, ten otwór zdechły
gdy przyjrzysz się uważnie, zauważysz
w jego obliczu matowym śmierć
Iluzjonistycznie narysował sobie wiele głów
żeby się mienić i odmieniać ostatni raz
Przez przypadki odmiana okrutna

Pieśń siedemnasta. Rugewit nabrzmie-wa

Me słowa przenoszone są w lektyce zbutwiałej
Ostatni raz je przenoszę, ich wątłe brzmienia
na mych plecach odciśnięte są po nich ślady
między przerwami wciśnięte i rozkładające
Oto jestem — zawołam rozdartym otworem
lecz nie jako sługa nasłuchujący do rana
lecz jako Pan wyróżniony i alabastrowy cały
Mało znane bóstwo znalazło bowiem sposób
na wielki powrót do słynniejszych i silnych
Chowałem się w dziuplach szarych wiewiórek
Me dzieciństwo było idealnie świetlano-miodne
gdy zmężniałem, zacząłem pracować, wyjeżdżając
na wakacje do kurortów dla tych najbogatszych
Któregoś dnia, widząc młode kobiety, zrozumiałem
W kostiumach kąpielowych się śmiały, smarowały
Margaryną pachnące, głaszczące się, całujące się
Widząc mnie podglądającego, drwiły ze mnie
Zuzanny w kąpielach obfitych z kwiatami, z winem
do których nigdy nie pozwoliły mi dołączyć się
Zrozumiałem, że mogę je skraść w ciemności nocnej
że mogę skraść te napoje niebiańskie z nich wytłoczone
bardzo drogie, niedostępne w tanich marketach
Przygotowałem się do tamtego dnia starannie
latami oglądając przewodniki po wielkich miastach
oglądając rozkraczone łona, co tam zamieszkują
Zapuściłem w mym sercu gęste ziarno bluszczu
obrosło mnie w środku, zakrywało mój strach
Wszystko dzięki temu było jeszcze bardziej tajemnicze
Rugewit wzrastał w domu jaskółek lęgnących się
Na starym strychu się lęgły, a ja z wysoka spoglądałem
Tak namacalne były me ofiary przechadzające się
Wiłem się bardzo blisko terenów mieszkalnych i osiedli
Pierwsza ma ofiara złożona na ołtarzu była dziewicą
taka jak ja, na wakacjach z rodzicami odpoczywająca
Opowiedziała mi to przy szklance gorzkiej lemoniady
Ona wypiła lemoniadę przed tym, jak ją zgwałciłem i zabiłem
Muszą mi podlegać te wyszarpywania się gołębi ofiarnych
ofiary jaskółeczek składanych, bym był spokojniejszy raczej
Nikt nie usłyszał jej wtedy, nawet ja jej nie usłyszałem
W wielkim uniesieniu mord rozkoszy i nieprzyzwolenia
Orałem jej ciało gładkie, poczułem się bezkarny w szale
trzaskając w jej morskie loki młotkiem remontowym
Zakopałem ją cichutko, uciekłem do swojej skrytki
Rugewit nadchodził we mnie z hukiem, drżeniem ziemi
nikt tego nie czuł, tylko ja znałem dziwne wibracje
Podsycałem w sobie te pragnienia unhappy endów
podniecając się tą wielką gromnicą na zigguracie wetkniętą
Śliskie były ryby wielokolorowe, ciągle na nie polowałem
Miałem władzę nad ich ławicami parskającymi śmiechem
Drugi raz udało mi się zabić młodą studentkę prawa karnego
Zadźgałem jej ciało nożem ostrym, z dalekich krain zdobytym

Trzecia to była sprzedawczyni mięsa i podrobów z okolicy
Zgwałciłem ją, zatłukłem kijem stalowym w norze lisa
Strzaskałem jej golonki, noszące jej ciężar na spacery
Czwarta zabita, dziewczyna w parku z pieskiem lękliwym
Poleżeliśmy chwilę po miłosnym uniesieniu na trawie
Choć ona już wtedy wielkimi oczami spoglądała martwo
na sosny wysokie, zupełnie jak żywa, odpoczywająca
Piąta była bardziej tłusta, w seksownych dodatkach
Była prostytutką tanią, dostępną w każdej chwili, nawet tej
Żywcem zakopałem tę kruszonkę słodką z nadzieniem
Szóstą goniłem długo, aż me zmęczenie było wielkie
zdążyłem rozbić jej czaszkę kamieniem, jak goliatce
Miała być ta siódma, która miała być zwieńczeniem
Mieć mitologicznych siedem głów niezniszczalnych
Ja, wielki Rugewit, pan życia najpiękniejszego
Jednej mi brakowało, by zyskać ten szlif brylantowy
na ostatnim polowaniu ofiara zbiegła w busz
okazała się odważną dziewicą Joanną d'Arc, postępową
Znała jakieś wschodnie sztuki walki i motywacji
Nie zdążyłem zdobyć jej białego ciała jeszcze chłopca
Uciekając przed mą histerią, wydała mnie w ręce policji
Sprowadziła armię rewolucjonistów, oni nie chcieli boga
któremu składa się takie drogocenne podarki w święta
Oskarżyciel wpadł na ślady mej konstrukcji bolesnej
odkrył te wcześniejsze, zużyte materiały budowlane
Wszyscy wykrzywiali swe twarze surowe, wyniosłe w ocenie
gdy oglądaliśmy zdjęcia, ich portrety w ramkach, z wykopalisk
Jakże się zmieniły od naszego spotkania w leśnych zaułkach
Jednak brak miłości nie wpływa dobrze, zaniedbują swą urodę
Prychnąłem śmiechem, widząc ich zdziwienie okrucieństwem
Rugewit musi składać sobie ofiary, takie jego przeznaczenie
Gdy wyrok przeczytano, byłem z siebie dumny, zachwycony
Te tytuły i osiągnięcia małego człowieczka — wiewiórki
Zostałem skazany na krzesło elektryczne, które sprowadzono
ze stanu Nebraska, krzesło stalowe, na lekcję niby-dyscypliny
pożyczone od kolegi, który akurat go nie potrzebował teraz
Oto krzesło — to mój tron Salomonowy, ma sześć stopni i pół
W gazetach było me zdjęcie powiększone jak portret papieża
Przysłali mi księży w różowych podszewkach, w koroneczkach
katolickiego Anglika, islamskiego pastora, nawet rabina czarnego
Wobec nich ogłosiłem nową religię, której byłem wyznawcą
Całe me królestwo rozkoszy mieści się między literą J i A
Potem było wnętrze sterylnie niebieskie, chłodne w nastroju
Troszkę obawiałem się bólu rozkosznego w natłoku
Za szybą widziałem rozwścieczone twarze rodzin mych ofiar
Zabrałem ich córy do łoża leśnego i rozgrzebanego, ha

bóstwo wylosowane, teraz odchodzę w obłoku
w błyskach glorii, w chwale na tronie, ponad słabymi
Przywiązany, w kapturze czarnym ustawiony król
Według żelaznych zasad ustawiony do zdjęcia
Ono rozjaśnić ma boską twarz z mroku
Przez me ciało przeszły wielkie fale i huki
Głowa opadła
lecz poczułem nieśmiertelność
uzyskaną w dziwny sposób, miałem siedem głów
znów nieuchwytnie dziki, wielki niebotycznie

zbliżałem się do miejsca mej nowej świątyni
Czy o tej porze będzie jeszcze otwarty kościół
poświęcony memu straszliwemu orędownictwu?

Pieśń osiemnasta. Siedmiokrotne potępienie

Zostałem zatrzaśnięty w pułapce z ogonem
którą mógł zbudować ktoś podobny do mnie
Pułapka siedmiokrotna, indywidualna bardzo
Jestem gwałcony przez swą siedmiokrotność
uzyskaną z dużym trudem, z zawzięciem
Siłą bronię się przed Ich obecnością bliską
One zawsze wygrywają ze mną w szarpaninie
wtłaczają w me ściśnięcie jady niespotykane
uzyskiwane w tajemnych produkcjach korzennych
Wtłaczając we mnie rzeczy, które są nienazwane
albo skreślone z nazw i w słoikach skrywane
Pod fałszywymi nalepkami oszukują, by trwać
Z rugewita dawnego zostało spuszczone powietrze
tak go wyolbrzymiało, czyniło widowiskiem
Lepiący się ze strachu, trwam, czekam, piszcząc
Milionowe gwałty i morderstwa popełniane są
na moim drżącym, lichym bycie, dziurawionym
już nigdy nie zostanie nadmuchany tlenem z płuc
Nie będzie służył do niecnych zabaw na plaży
Znów nadchodzą nieme świdry w mą resztkę
Znów wtłaczać będą w mój lęk jeszcze większy strach
nie do wyrażenia, niewyśpiewany przez nikogo
Bluszcz obrastający moje wnętrze został zerwany
pod spodem nie było prawie nic, tylko piekło
Dostrzegłem swą słabość, nagość skrzywioną
Mnogie loki zgubione, tych dziewcząt dawnych
wielkimi się mi zdają, niszczącymi me skośławienie
Jeszcze bardziej, jeszcze bardziej gwałcą mnie
Nikt nie posłyszy mego wrzasku, nikt, nawet ja

zgubione loki[16]
pijane jesteśmy twym sokiem jaskółczym
prażonym wielokrotnie z wyselekcjonowanych kwiatostanów
z przedziwnego moszczu zabarwionego ciemnym cukrem
na krześle wiszą odwłoki-powłoki, sztuk siedem
rozciągane, wyciągane, jakoś dużo tego tutaj
wiele dziwnych jaskółek krąży w tobie
po asfalcie biegniemy jako kudłate zbroje
złapiemy cię teraz za świeżo wydepilowane głowy
teraz boleśnie czuj, czuj, czuwaj

[16]*zgubione loki* — w druku od tego miejsca tekst jest wyrównany do prawej. [przypis edytorski]

Pieśń dziewiętnasta. Pieśń terrorystyczna

falująca
Terrorystyczna pieśń rzęzi w ustach moich
powleczonych śliwkowymi kolorami zakazanymi
Otulona czarnym suknem religijnym, zapadniętym
Zakradnę się do ciebie, jak będziesz w ciągłej agonii
podłożę bombę skonstruowaną w gniewie słuchania
rozerwie cię na strzępy słów i boleści, bezkrwawo
Me słowa stoją w prawie równych szeregach, równo
by atakować stoją w zdaniach zdyscyplinowane
Zaszczepiłam w nich silną chęć do walki z tobą
Ta niecierpliwość niszczenia w nich zatopiona
Pulsują w rytmach i gramatykach niby to spokojnie
gotowe jednak do falstartu mściwego, już wyją, już
Chcą rozproszyć twoje dawne szeregi, falangi skryte
Uważaj, zaraz oblepią cię, chciwie szukając spełnień
jak pijawki, które miały być magicznie uleczające
Ja chowam się za ich zwartymi szeregami
planuję strategię muzyczno-wojenną
z falującymi liniami zapisującymi mój gniew
Takie wielkie widowisko, gdzie wszyscy giną
w tragiczny sposób na wieki, z medalem rdzawym
Jak zakopać cię martwym, kneblując pieśni zgaszone?
Twój głos potrącony niech nie wydobywa się na wierzch
Ile trzeba węgla brunatnego wsypać w twoją dziurę
ile węgla ma dostarczyć Polska Spółka Energetyczna
ile ton gliny trzeba wyłożyć na twój grób domniemany
by zapomnieć o twoim lamencie w Głuszy?
Nie dam ci już więcej tej harfy bezstrunnej
Wszystkie siedem strun zaszarpanych
nie da się ich już nigdy naprawić
Czarne jej obramowanie puste
by rezonans wzmóc
teraz na tobie się szarpie
na tobie ta szarpanina, trwa gra
Słyszę kolejną duszę zniszczoną
swym nieumuzykalnieniem zmęczoną
Wzgardzona wobec, szczerzy swój dźwięk
rozdziera on moją głowę skarłowaciałą, wrytą
Ból szkicuje we mnie żałosne rysunki wyciągane
W szkicownikach ciągnę te rysunki kolekcjonera
Nie usłyszeć tych chórków otępiałych z bólu
Niestety brodzę w melodiach, brodzę ciężko
w melodiach, których się nie śpiewa
w pierwszej osobie liczby pojedynczej
Nigdy nie powinno się ich śpiewać

Pieśń dwudziesta. Lukrecja nuci na bezdechu

Podnoszę swój głos nisko, za nisko podnoszę znów
spod czoła gniewnego i zachmurzonego Lukrecji
noszącej w sobie same trucizny w ustach, w języku
Ona w sukienkach przewiewnych nosiła paczuszki
Moja pieśń ma smak fałszywy, trujący śmiertelnie
Pocałuj mnie namiętnie w usta, a dam ci ich smak sobą
Spróbuj, zasmakuj tych związków we mnie chemicznych
Mojej cierpkości wonie zagubione degustuj swobodnie
Mając dwadzieścia parę lat urodziłam zgniły owoc
Córka, zakradła się do mego brzucha i tam spała
Ja wtedy studiowałam medycynę w białym kołnierzu
Ona przerwała mi swym krzykiem wszystko, me plany
Urodziłam ją, choć marzyłam o aborcjach kwiecistych
Całoczerwony potwór, ciągle domagał się mnie bardziej
Rosa, tak ją nazwała moja matka, ja jej nie chciałam
nie chciałam jej nazywać, wołać po imieniu do siebie
Nie przytulałam jej, nie karmiłam, nie patrzyłam na nią
nienawidząc jej najbardziej na świecie, za tę jej niewinność
za uzależnienie od Lukrecji zwaną dalej Potężną
Nie przerwie mi planów jej byt jasny, złożony do łóżeczka
w te pościele, w ubranka dla najmniejszych, tkanych
Dziecko nie lubiło mej obecności bliskiej i dalekiej
Unikała mnie, płakała, gdy przychodziłam z pracy, z apteki
Praca sprzątaczki, wycieraczka po nocach, po nogach
Miałam być królową, królową cennych skarbów ukrytych
szmaragdowych buteleczek, odważników miedzianych
Wracałam do sutereny, gdzie była ona czuwająca
Spoglądała na mnie coraz rozumniejsza, wiedziała wszystko
jak bardzo jej nienawidzę, jak bardzo jej nie chcę i nie kocham
W cichości swego serca wymyśliłam pewnego dnia śmierć
Zatruję swą córkę najjaśniejszą Rosę, zabierającą mi władzę
orędującą, taką nieskazitelną, pewną swej obecności
Zaplanowałam to w szczegółach, obmyśliłam skład
Znałam się trochę na tych substancjach, na ich brzmieniach
Postanowiłam wyśpiewać nową pieśń głosem pewnym
Plan dawał mi energię do życia i radość wielką
Tego wieczora nie było mej matki stróżującej cierpliwie
Przygotowałam kaszkę z morelami, z dodatkami skrytymi
Skradłam je z apteki cichutko, niezauważalnie w nocy
Nakarmiłam jej twarz, nie chciała jeść mi z rąk
Wykręcała główkę na boki, nieświadomie się broniąc
przed nieznanym smakiem matczynej ręki, z dzikimi owocami
Za mamusię jeszcze pięć, łyżeczkę za mamusię, ta ostatnia
Umyłam ją pierwszy raz, z pewną dozą uczucia dla odchodzącej
ceremonialne, tkliwe obmywanie prawie że trupa
Spoglądała na mnie prawie ciepło, głaszcząc mnie po policzku
Ułożyłam ją do łóżka i czekałam z niecierpliwością na jej sen
W głowie plotłam już nowe historie bez dwuletniej córki
Próbowałam ją budzić, a gdy nie usłyszałam oddechu
owinęłam małe ciało kocem i zawiozłam na działkę
Zakopałam ją pod zwiędniętymi porami, z zimna umierającymi

mrucząc kołysanki, uśmiechając się do siebie w nocnej aurze
W mieszkaniu zaaranżowałam włamanie nieznajomego i zniknięcie
Nie odkryto intrygi skrytej, przez lata córka była poszukiwana
Pogrążona w fałszywym żalu cieszyłam się spokojem i ciszą
tylko matka spoglądała czasem tak samo niepewnie
tak, jak kiedyś spoglądała ona, ten okropny bachor zaginiony
Już śpij, kochanie, Lukrecja założyła własną firmę kosmetyczną
o nazwie Rosa, widzisz osiągnęłam sukces rynkowy i medialny
Zaprawdę powiadam wam, świetna nazwa firmy produkującej róż
Wyszłam za mąż za chłodnego człowieka, on umiał liczyć
za człowieka, którego nie kochałam, a on nie kochał mnie
Nie posiadałam dzieci, Lukrecja się wysterylizowała na zawsze
W wielkich, chłodnych wnętrzach o różanych odcieniach trwałam
Odpoczywałam, nakładając tłuste kremy na mój rozkład powolny
Ostatecznie zginęłam tragicznie, w wypadku samochodowym
mając niecałe pięćdziesiąt lat i doczekawszy bajecznej fortuny
W zimowy wieczór jadąc swym luksusowym autem lustrzanym
wpadłam w poślizg, rozbiłam wóz o drzewo olbrzymie
Poczułam wielki huk i ból, ostatnie, co zobaczyłam w lusterku
to były gałęzie tego drzewa, wyglądały jak pory zziębnięte
takie rosły kiedyś na owej działce, gnijące i martwe już
od niespodziewanych przymrozków

Pieśń dwudziesta pierwsza. Rosetta

Wywinięta wnętrzem na zewnątrz zobaczyłam się
Wstyd ogarnął mnie wielki, rozpacz powłóczysta
Ktoś pytał głosem mej córki Rosy nieumiejącej mówić
Wystraszyłam się rozpoznania trującego zapachu
Skurczyłam się w histerii, w wywyższeniu swoim
Drzwi piekła się zatrzasnęły za mną z hukami ciężaru
Zobaczyłam na ich odwrotnej stronie narysowane koło
To była rosetta
Witraż wybity przeze mnie w kształcie kwiatu umarłego
Zostałam wtłoczona siłą w najmniejszy detal tej układanki
Skazałam się na ciągłe podzielanie się, ściśnięcie jednoczesne
Wszystkie te ramki ołowiane pełne były goryczy ściętej
po tym, co się mogło kiedyś stać, a się nie stało przez kolec skryty
Nie było żadnego prześwitu, okno dekoracyjne na mrok
tylko mrok się w nim odbijał pojedynczym kolorem moim
Zgnieciona do nawetniemilimetrów
byłam fragmentem rysunku potępionego w katedrze ciemnej
Odwrócona katedra iglicami w nas wpięta, ból perfekcyjny
Mogę myśleć tylko o niej, inne myśli zostały mi podcięte
Nie mogę odwrócić oczu, tylko szczegółowo trwam w śmierci
Tylko ja wypełniam jedno pole tej konstrukcji, reszta jest pusta
Nigdy ich nie wypełnię żadnym niedostępnym mi lekarstwem
ukradzionym od boga lub z apteczki diabła najniższego
W pustych polach dookoła czuję obecność Innych, pląsających
Ustawiają miliony luster, bym się sama wciąż potępiała
Te lustra płatkami błyszczą we mnie, mój płacz nade mną
a one śmieją się jej głosem i mają jej echa w sobie, odbicia
Śpiewają pieśni tortury; skonstruowane przez Lukrecja™
wielce szanowna i potężna w swej figurze z pęknięciem

głosem Rosy[17]
piękna jest ta róża w ciemności hodowana
w piwnicach przechowywana wraz z zimnymi włosami porów
oto działka, hodowla amatorska warzyw umarłych
oto grządki rozkopane równomiernie i cicho, by nie słyszano
ten kwiat podziemny, podlewamy rosą bolesną
nie stępił się jego przepiękny widok, nastrój w tobie
patrz na nas, na lustra wszystko widzące ostro, dostrzegające
wyolbrzymiają teraz twą rozpacz, smutek skulony w miazdze
stałaś się nieważnym kawałkiem, którego śmierć obwieszczamy
psujesz całą kompozycję, jej urok, ciągle odrzucaną za smak
nakarmimy cię papkami, których jeszcze nie znasz w boleści
specjalizujemy się w tym tajnym ziołolecznictwie od wieków
przez wieczność trucizna w tobie będzie nabrzmiewać
lecz nigdy tego segmentu nie rozsadzi, nie uwolni cię
no, to nasza ukochana lukrecjo, może jeszcze jedną łyżeczkę
za córeczkę

Pieśń dwudziesta druga. Czwarta pieśń wojenna gratis

To dostaniesz ode mnie za karę
czwarta pieśń wojenna gratis
z gałęziami ciernia i stroikami
Są one z dawna przeklęte, suszone
Przykleję ci tę pieśń niezgrabnie
taśmą klejącą owiążę, dołożę ją
do całości jako upominek drobny
byś ją zaniósł i przechowywał
położył ją w jakiś starych szafkach
Wraz z innymi pieśniami zabierz ją
Tu słowa są ostre, raniące wokoło
Nie na sprzedaż, ale za darmo dostarczę
pod wasze dobrze ocieplone domy
Lukrecja włożona w ramkę dekoracyjną
milknie w latyfundiach odziedziczonych
A przede mną już ćwiczy swe solówki
bogini wojny upadła, pokaleczona mocno
Pewnie to ona zaśpiewa w dzisiejszy wieczór
Uszy podkulają się z nienawiści do nowego
więc szykuję nową pieśń wojenną
śpiewa się ją przed bitwą krwawą
kiedy ciemnieją nasze oblicza, skrywane
pod tarczami jak parasolami
przed świtaniem schowani w swych ciałach
Taka pieśń jest dobra, gdy gorączka wielka
gdy wszystkie noże wpychają się same
do naszych rąk gniewnych i zaciśniętych
by się oklepywać mocno, do złamań wielu
Po bokach kruszyć twarde krawędzie wroga
do akompaniamentu potrzebujemy lęku

[17] *głosem Rosy* — w druku dalsza część tekstu jest wyrównana do prawej. [przypis edytorski]

i huków, i armat największych z dziurami
w które wkłada się bomby rozrywające
cały świat i niebo spokojne przedzielające na poły
Teraz ściągajmy te kominiarki terrorystyczne
maseczki upiększające nas w walce z tobą
Jakże piękne są dziś te dziwne barwy wojenne
Pokażmy swe nierozpoznawalności ciemne
niech ujrzą kolejną twarz nieludzką prawie
Pokażmy swe oblicza wyniosłe, wszystkim
Zło jest gratis do niebiańskich smakołyków
tylko tak to jest zapakowane i przemycane

Pieśń dwudziesta trzecia. Badb Catha kracze

Krótkie włosy zachodzą mi na oczy
nie widzę nic prócz ich ostrych końców
Badb Catha wspaniała, groźna niezwykle
kracze w dalekich krainach nieznanych
Wykształcona w dobrej rodzinie przyzwoitych
Pani kruk, panienka z dziwnym spojrzeniem
Studiowałam fotografię z ocenami celującymi
Lubiłam fotografować w czerni-bieli reportaże
Potem młodziutka, pachnąca wyjechałam do Afryki
dokumentować narastającą tam wojnę diamentową
Dzięki dostępnym mi stale pieniądzom żyłam dobrze
Poznałam go na wytwornym, cukrowym przyjęciu
tamtejszego króla plemienia morderczego, wężowego
Zaoferował mi wielkie złoża kokainy i wina
Zostaliśmy przyjaciółmi, szanował mnie jak siostrę
spoglądał w me zaczernione, przekontrastowane oczy
Mówił, że widzi w nich śmierć, którą on kocha
Podczas jednego z seansów, gdy oblepieni złotem
bielusieńkie, magiczne mączki z puzderek
wpadliśmy razem na zły pomysł, przekrzykując się
Może podał go nam równocześnie jakiś demon
ta nasza wspólna zgoda, jednomyślność wtedy
Wiedział on od dawna, że lubię fotografować śmierć
niby to przypadkową, to zwierząt, to kwiatów dzikich
Zajmował się narkotykami oraz ich dystrybucją
był właścicielem paru magazynów z słodyczami
miał też żelazną czwórkę zajmującą się zabijaniem
Śmierć drobnych narkomanów, zbyt głośne prostytutki
rodziny konkurencyjnych handlarzy i niecni klienci
wioski nie współpracujące z nim, na śmierć skazane
Ustanowiliśmy układ, utkwił on w nas, mocno związał
On mi dozwalał robić zdjęcia tym zamordowanym
w których jeszcze życie się tli, bym mogła oglądać
napawając się widokiem ich odchodzenia i cierpienia
Tę noc spędziłam z Tym, co dał mi władzę oglądania
W mych nozdrzach już czułam wielką tajemnicę
Me podniecenie, me drżenie było wielkie, niezwykłe
Pierwszy raz zdarzyło się to w niedalekim porcie

podczas przeładunku miał być usunięty jeden oszust
Jechałam w samochodzie, prawie frunęłam jak kruk
zobaczyć ciepłe pole bitwy, napawać się widokiem
Strzelanina była krótka, wyszłam, spoglądając na niego
Błagał mnie o litość i ratunek, powoli i dostojnie
ustawiłam aparat, zaczęłam go fotografować cicho
Modlił się chyba, zasłaniał się przed mym uśmiechem
Podniecenie ogarnęło mnie wielkie, bo Oto Jestem
Bogini wojny syci swe kontrasty w skali szarości
jak walczy się ze śmiercią, jak śmiesznie się ucieka
Innym razem mój ukochany postanowił wybić wioskę
Pojechałam wraz z nimi, czekałam w furgonetce
aż zakończą przygotowania do mej uczty wieczornej
Krzyki kobiet, wrzaski dzieci i męskie płaczliwe głosy
podniecały mnie do tego stopnia, że cała piałam
Nie byłam w stanie zapanować nad euforią
uśmiechem mego wielkiego spełnienia i radości
Gdy już otworzyli drzwiczki, kaci całowali mnie po rękach
Nikt się przede mną nie schroni, zabiorę jego duszę
do mych skrzynek czarnych i tajemniczo zamykanych
W fotografiach pozowali zmuszeni do ostatniego uśmiechu
Widziałam te twarze popaprane, anatomiczne konstrukcje
Dzieci skulone, wyciągające dłonie do skrzydeł kruka
Kroczyłam między ich ciałami, ja, królowa ich umierania
Jakże dziwne kwiaty pokrywają tę łąkę, jakże dziwne pole?
Setek zdjęć, ujęć z różnych śmierci i cierpień wielu
Me suknie w czarnej krwi umoczone jak opłatek łamany
Mogłabym ratować ich przed odchodzeniem, tamować
ich krwotoki, sklejać tętnice przerwane w jednej chwili
ale białe oblicze wyniosłe unosiło się nad nimi
Tylko na pamiątkę zachowywałam ich wizerunki, portrety
portrety trumienne nieznanych żołnierzy, cichych rodzin
W zielonej, soczystej wilgocią dżungli schowana śmierć
której i tak nikt nie zauważy, nie osądzi, bezkarne me hobby
Król koki sprowadził mi nawet chłopca umiejącego wywoływać
zdjęcia w żółtych kuwetach, suszył je na ciepłym powietrzu
Wisiały te zdjęcia na sznurkach jak prania, drżały na wietrze
Zefir muskał je, kołysał te wizerunki, co litości nie doznały
Mój techniczny wkrótce sam się powiesił na tych sznurkach
Na którejś z fotografii rozpoznał swe dziecko i żonę dawną
Wisiał wraz z tymi zdjęciami, kołysał się na ciepłym wietrze
Nadużywałam słodkich narkotyków, pod rzęsami je nosząc
Zwycięska w czarnych sukniach u królów afrykańskich
Sprzedawaliśmy im najlepsze wyroby cukiernicze w okolicy
wraz z bronią do wojen krwawych i potępiających rzesze
Nad czarnymi łepkami płynęła biała królowa, język maczająca
przygryzając z podniecenia do krwi oczy zachodzące mgłą
na wspaniałych wypoczynkach sprowadzanych z mediolanów
Mój wielki król zawsze prosił mnie o podjęcie decyzji
strategiczne było me krakanie głodne śmierci i krwi
Opowiadałam mu często, jak odchodzą jego wrogowie
Pokazywałam mu zdjęcia dawnych niepodporządkowanych
Śmialiśmy się wtedy, pijąc szampan wyborny, kochając się
na tych zdjęciach, jak na niebie czerwonym bóstwa razem
a ludy prymitywne odczytują to z konstelacji gwiazd
Mordowaliśmy wzajemnie swych kochanków z dziczy

przygodnych, obustronnych, śmiejąc się, ćpając
Biała jak kokaina królowa nocy rozkoszą i towarzyszem
Miałam parę tysięcy zdjęć z różnymi trupami pozującymi
w ekstazach cierpienia, bólu zatrzymanego na papierze
Śmierć zdarzyła się porą deszczową, gdy odpoczywaliśmy
po nocnych eskapadach na dachach świata bezkarnego
Do naszego pilnie obserwowanego pałacu wjechała armia
Byli wśród nich zbójcy wyszkoleni do przerywania uczt
W pałacu wszyscy zostali zastrzeleni, nawet psy w ogrodzie
Gdy wtargnęli do sypialni byłam nieprzytomna, naga
Podszedł do mnie sędzia, strzelając z hebanowego pistoletu
w głowę jasną, całą w lokach z dawna zapętlonych w kołtuny
Zdążyłam usłyszeć tylko krzyk zdziwienia króla mego
Eksplozje nabojów w mej głowie zapukały krzykiem
Leżałam jeszcze chwilę na polu bitwy, słysząc swój ból
napełniając się obficie krwią, dławiąc się nią histerycznie
Me oczy zamarły i odzyskałam świadomość, znów byłam
Poczułam wielką moc, mój lot kruka znów był uwolniony
Poczułam obecność innego boga niedaleko stąd za rogiem
Uciekłam od niego jak najdalej, moje spojrzenie było przesycone
Uciekłam do jakiegoś ciernistego gniazda
gorycz się w nim lęgnie na wiosnę
Rozbiłam się o bramę, na której rozpoznałam dawne wizerunki
dawnej świetności, boskości nurkującej w bólu
Pióropusz został mi zabrany, nagość też została zabrana
Badb Catha, kiedyś nasycająca się widokiem bitwy
ucięte ma skrzydła i dziób, i wszystko ucięte
jestem kadrowana
skadrowana idealnie
do ostatniej fotografii

Pieśń dwudziesta czwarta. Zbyt ostre zdjęcie

Przechodząc między słabymi ciałami
śpiewającymi pod markowymi sandałami
byłam krukiem, na którego się nie poluje
Me piekło jednostajne, tupoczące cicho
Zostałam poucinana, me gałęzie szerokie
bym się zmieściła, musiałam być ciosana
Jestem zbyt ostrą fotografią z błędem
Na tym zdjęciu widzę się jaśniejącą jeszcze
za mną stada ich głosów, podążają za mną
na fotografii, na matrycy nieskończonej
takich drobiazgów nigdy nie znajdziesz
Diabelsko ostre linie i kształty skarżące
jęczą oralnie, te szczegółowe opisy techniczne
w scałkowaniach grzechów perfekcyjne
One przesiadują na wiecznej ławie oskarżycieli
która z samych czarnych konturów się składa
Mówią one o afrykańskich odmianach śmierci
Treny wyśpiewują, wskazując mnie w gniewie

One są dla dawnej badb catha strachami na polu
oblekane najbardziej niegodziwymi materiałami
budującymi je, dającymi im siłę straszenia potworów
Chciałabym od nich uciec na dawnych skrzydłach
lecz jestem w nie wciśnięta, do nich przypięta
One mnie teraz określają, nazywają powtórnie
wołają do mnie po moim grzechu, on został
na zdjęciach w całych seriach miliardy, miliony
w każdym z nich jestem uchwycona i trupia
na każdej z nich pozostaje jeden błąd techniczny
efekt czerwonych moich oczu na każdym zdjęciu
Krwią zachodzą, a nie łzami litości nad obitymi
barwi się karminem moja ślepota nabyta, barwi się

kontury wpisane w badb catha

owłosione kontury z pióropuszami, nie zwilżone łojem żadnym
jesteśmy w tobie dodatkowo, to takie najnowsze opcje techniczne
obiektyw panoramiczny, czy widzisz, rozrywamy cię jak akordeon
dopasujesz się do wszystkich nieznanych nawet nam możliwości
przysłona jest całkowita, raczej nokturnowe będzie to ujęcie
na nasz tort urodzinowy z gromnicami, co je zdmuchniemy
owłosione kontury rysunkowe drażnimy w powiększeniach
mnożymy się bez ustanku w swej nieskończonej pasji obwiniania
płynąc w tobie i przez ciebie, rozbłyskując w twej ciemności fleszami

Pieśń dwudziesta piąta. Pieśń zakamuflowana

Wygrzebuję się z siebie, otrzepując się z lepkich resztek
Przyjaciółko, całujmy się więc do nienawiści zmuszone
przerażone sobą nawzajem, raczej chętne do bójki krwawej
Wspólne zetknięcie jest bardzo bolesne i nienamiętne
już żadnych rozkosznych ogonów przydługich grzechów
Niszczymy się podskórnie, drażnimy swe rany
Zjem ci policzek, kawałek szyi być może pogryzę, żując
Będę pluć już tym twoim mięsem, co zaczęło pracować
Ty będziesz mnie ranić błyskami twych głębokich otworów
Teraz niestety muszę cię zabić, mój pierwszy raz zabijam cię
Proszę, rozepnij tę koszulę utkaną przez jedwabniki ślepe
przymknij oczy, jak to robią młodzi chłopcy kradnący jabłka
niedoświadczeni w śmierci za karę przymrużają oczy z lęku
Twe usta jak ich, jeszcze pełne antonówek tegorocznych
Wyj, teraz do mnie wyj, do kata, wykrzyw się jeszcze bardziej
Zapomnijmy o dawnych pokrewieństwach płci, skóry i żył
Ja też jestem gotowa na twoje ciosy, tylko poniżej łona zbijanie
Słyszę już twego brata nadchodzącego, niszczącego okolice
Czy możesz zasłonić swymi kruczymi rękami jego głos?
Uroda twa zniknęła, więc sypię zakamuflowanymi gwiazdami
Zakamuflowanymi gwiazdami prosto w brzuch trafiam, ciskając
Bez litości dla ciebie, będę się uśmiechać, aż rozgniotę cię pieśnią
pieśnią zakamuflowaną, będę strzelać słowami w jasne twe loki
Niemożliwe? To się jeszcze przekonasz, jak wielką moc ma kamuflaż

Za fasadą ze słów ukryte są wielkie arsenały, potęgi nieodgadnione
Rozpinaj swą bluzkę i przymykaj oczy z bólu, umieraj ciągle
Będę cię nienawidzić tak mocno, nawet śmierć nas nie rozłączy
Tak mi dopomóż piekło, wszyscy potępieni świadkowie ceremonii
zdjęcia z tej uroczystości będą na końcu, po wszystkim
gdy będziemy pozować do wspólnych portretów trumiennych

Pieśń dwudziesta szósta. Set Seta

Zagrzmijcie w trąby odwrócone, zostałem ukoronowany
Gronostaje łaszą się, kłaniają się zgruchotanymi ciałkami
Tak się powinno władcy cześć oddawać, skłonami
Zasłaniając twarze przed mym obliczem Najwyższego
Chorągwie szykujcie, flagi ze wstęgami, twórzcie pochody
śpiewając hymny ku fortunie, która mą fikcyjną nałożnicą
Rogi obfitości wypełnione słowami, udają one owoce
Grajcie, śpiewajcie piosenki przymuszone siłą i złotem
siłą i złotem wygięte ich słowa, melodie, modlitwy głośne
Z pochodzenia jestem Set, z rodu wielkich generałów
Ojciec spoglądał na moje ślinienie się astmatyczne ze wzgardą
Od dziecka byłem przygotowany do bycia kimś niezwykłym
służyłem w wojsku, tam zabijałem, pojedynczo, proszę
Nauczyłem się manipulować gęstwiną pokrak w kombinezonach
już wtedy byłem oszustem błogosławionym, wywyższanym
Set kradł im dusze, sprzedawał taniej, niż kupił na giełdach
Rysowały się już utopie podpiwniczone jeszcze uczuciami
lecz z czasem te podziemia wilgotne zostały zasypane pyłem
Przyszła wojna, jej postać, suknia w najsilniejsze wzory
Wyciąga się do mnie, prowokuje mnie pod sklepem z alkoholem
Oszołomiony jej hałasem mianowałem się Głównym Konstruktorem
Zacząłem wydawać pierwsze rozkazy i niszczyć swych wrogów
we wnętrzności ich ingerując, implikując im nowe funkcje
dla nich mój jad wcierany, by być nieuchwytnym w walce, śliskim
Rozdawany przeze mnie chleb z ziarnami nabojów, z musli
Wielkie szkoły przyuczające przedszkolaków do walki wręcz
Ich czarne usta od zjadanego atramentu straszyły się wzajemnie
Przepływała przeze mnie świadomość władzy, przyszłe królowanie
Zacząłem zszywać sobie nowe płaszcze, nowe miecze wykuwać
Zostałem wrysowany do atlasu dzikich zwierząt występujących
Litość — gangreną zdrowia kolosów i nowych olbrzymów
Straszyłem grupy płochliwe pochowane w norach przede mną
Wydawałem rozkazy zabójstw mych przeciwników i przyjaciół
rozkazy zabójstw w ilościach hurtowych, nie detalicznych
Uniform skrywał wielkie tajemnice, wygniecione i spocone
tatuowałem się mapami, których nikt nie potrafił rozczytać
Przygodne kochanki ginęły przerażone widokiem mych planów
daty, miejsca na przegubach, ostateczne rozwiązania pod ręką
Pornograficzne zespolenie i pozycje wykorzystywania śmierci
nie nazywajmy tego nawet tańcem, to ja prowadzę ją na parkiet
Przeciwnicy znikali podczas wycieczek szkolnych w lasach
Set we mnie wzrastał, coraz silniejszy prężył się dniami, nocami
Zmieniało się moje oblicze na coraz surowsze, kamienne w dotyku
Taki był ze mnie nowoczesny faraon, wielki złodziej w nocy śniący
Dokumenty zawierały coraz dłuższe listy do rozstrzelania

ich podpisywanie, charakter pisma, ciężar ostatniej pieczęci
Nacisk mej dłoni na papier czerpany ze skóry i włosów z kwiatami
Armia coraz głodniejsza, bardziej wściekła podbijała dalekie krainy
Pochody na moją cześć wydłużały się, wzbogacane były w pieśni
W usta wpływały miody pozyskiwane z uzurpacji pszczelarzy
Złoto sklejało mi palce i lutowało me dziury w słabych zębach
Pszenny brzuch pęczniał i coraz bardziej gniewny byłem
Z wielką zapalczywością paliłem świątynie dawnych bóstw
Ołtarze ich roztrzaskiwałem, ciąłem w bloki kamienne dla Seta
Gdzież są one milczące i zamyślone, niech zejdą i toczą spór
Niech schodzą z krzyżów, niech z komór gazowych się uwalniają
Niech wybiegają w panice z kolorowych glorii, co je otaczają
Zostawcie swe hula-hoopy mieniące się tęczami, bijcie się ze mną
Statuy wasze przerabiałem na swoje pomniki zalewane kwiatami
kadzidłami różnymi ubłagiwany jestem, jestem tym złotym cielcem
z fałszywymi wymionami, mleka nie wydadzą ni bogactwa nikomu
Mój wzrok pada właśnie na ciebie, czy czujesz jego szorstką surowość?
Padaj na kolana podcięte przeze mnie, wołaj, wołaj do nowego boga
Set obwieszcza swe imię, które jest już złą nowiną nazywane
na wszystkich odrzwiach, na wszystkich powypisywane
Wielkie strategie gniecenia ludzkich ciał wobec innych
Wybrałem sobie dobrze wroga nazwałem go, dla nich
Nie potrafiłem i nie chciałem z nikim się dzielić władzą
Jabłka władzy zachłannie jadłem, nie pozostawiając nic
Nawet ogryzek nie został z niewidocznym mym zgryzem
po którym można się zorientować, że jestem ludzki i zły
Pęczniały me złowrogie usta zapalczywe, cyniczne
Oni słuchali i gotowali się, by zanieść innym śmierć
Śmierć przysyłana, jeszcze tego samego dnia ją dostaniesz
nie musisz się niecierpliwić, na pewno ją dostaniesz od nich
Otaczałem się wokół dziećmi, można je ścinać bukietami
z ich ściętych łodyg ambrozja, nektar bez dodatku cukru
otoczony szczelnie, wyciągałem swe dłonie do nich
głaskałem po jasnych głowach i karciłem za brak dyscypliny
pouczałem ich właściwie, opowiadając przypowieści o sile
Me podium liczyło tysiące pilastrów zawiniętych w sobie
Tylko ja wygrażający niebu i skarżący je za zbyt jasne noce
za zbyt trzeźwe poranki po bitwach
Nad małymi, skarłowaciałymi pochodami widnieję rozciągnięty
Ochraniała mnie gwardia milczących, mroźnych morszczuków
która często się zjadała wzajemnie, zachowując dynamikę nocy
Wielokrotnie próbowano mnie zabić eksplozjami komet
Pewna trajektoria meteorytu zawarła się we mnie, zahaczając
Przejeżdżałem swym wozem, gdy wpadliśmy w zasadzkę
Widziałem twarz młodego chłopca celującego, zdenerwowanego
ledwo utrzymywał karabin, rozdawany za darmo na pochodach
Strzelił mi w twarz zupełnie amatorsko, celując za 10 punktów
Rozerwało się me oblicze niepoświęcone, krwawe relikwie
Żołnierze zastrzelili go szybko, próbowali ratować wodza
tamować mą krew, która uwolniona z użylnienia kipiała
Umierałem może pięć minut, skuwany mój wizerunek
tłuczony mój pomnik, moja statua 700-metrowa zniszczona
tak można zabić boga ze złotą twarzą Seta na polnej drodze
Ukryłem tętniące ranami oblicze w tkaninach, dłoniach
Odchodziłem od swojego ciała jakoś tak daleko, niespokojnie
Usłyszałem ryk, przyrost wielki mej drobnej figurki

Lustrzane drzwi do piekła zwabiły mnie swym odbiciem
Czerwone dywany witały Seta, w tle słyszałem ich głosy
kłaniające się nisko, uznające mą zwierzchność nad nimi

Jednak gdy bramy się zamknęły, zrozumiałem ich odwrócenie
łowiły mnie z dna i pożerały moje resztki, śpiewając hucznie

Pieśń dwudziesta siódma. Nowy Pochód

Wydłubano mnie z wielkich pomników, z głuchych muszli
Zrośnięty z ich masami zostałem ostrym nożem wyłuskany
Ogołocenie wielkie, obdarcie boleśniejsze i ciężarne
wokół mnie zaczął się nowy pochód potępienia
z daleka usłyszałem te odgłosy, zobaczyłem je w sobie
jak przenikają mnie warstwami, jak gnieżdżą się w mym zbiciu
Na miliony części zostałem podzielony, każda intensywna
Byłem niesiony w Ich kwiatach, w Ich ustach me kawałki
na butach przylepiony, pod paznokciami Ich, we włosach
Rozszarpanie zwiększyło się bardzo, zostałem rozdany na talerze
słowa i dźwięki, obrazy w pochodzie płynącym przez me żyły
w ciągłym, nigdy nie męczącym się sznurze silnym, zwartym
Uszyte mieli ze mnie swe falbany świadczące o ich potępieniach
Ze mnie mieli szyte flagi, proporce młodzieżowe dygoczące z lęku
Krzyczą do mnie, śpiewają ochryple ze złości, chcą mnie zabić
jak mnie spotkają w jakimś sklepie z nabiałem, to wepchną mnie
wepchną mnie do tysiąca jogurtów z trującym wsadem z jeżyn
Może ci się trafi spróbować mnie, może trafisz akurat na mnie
Wpychają mnie do najbardziej bolesnych zakamarków, w dziury
Wciskają mnie do kretowisk ślepych, które skrywają w sobie coś
Potwory te nie mają żadnych portretów ni wizerunków, ni imion
nie pojawili się jeszcze fundatorzy zamawiający takie portrety
raczej nikt obrazów ich nie uczyni, z lęku przed takimi paletami
Teraz śpiewam jako kawałek najsłabszy, zdolny do pogłosu
Lękam się wszędzie, gdziekolwiek mnie niosą One — łapczywe
Moje Greatest hits ciągle na listach przebojów w bibliotekach
Me portrety w piwnicach czekają jeszcze na ponowne odkrycie
Nieskończona możliwość dzielenia jednego, w gorączce mojej
Pochody pełne gimnastyki artystycznej, rozciągania mnie
Jestem chrząstką łączącą ich kości strzaskane i skarłowaciałe
Wykonywany pochód przez zawodowe wizerunki chybotliwe
Na podobieństwo moje, na obraz mój czynione morszczuki
w zalewach octowych zawijane, wokół mnie owinięte

usłyszany fragment pieśni z pochodu na cześć seta

gdzie się skrywasz przed kwiatami z krepiny, o królu wojny
w jakiej gęstwinie map zjełczałych, zaginiony wśród nas kompan
każdy z nas ma dla ciebie laurkę z dedykacją osobistą i wierszem
chcemy cię teraz wydrapywać, pozyskiwać z rudy miedzi twoje imię
formy do odlewania wydrążone tak głęboko, że nic ich nie wypełni
set wyciąga swe gardło na wierzch z bólu przemówienia wydrążonego
które kieruje, jako zawsze ostatnie słowa, do oprawców w łuskach
oj, czarne i głębokie są paszcze morszczuków, które chwytają cię

bawią się w wojnę, taką udawaną, tanią w ciągłym utrzymywaniu jej
i udają w tej wojnie, że jesteś królem setem, który ciągle ginie na końcu

Pieśń dwudziesta ósma. Antypieta

Bruna śpiewa
Wycieram tobą się, podcieram się tobą poprzecznie
Swą strzaskaną głowę na mych kolanach ułóż
Resztę o tobie będę musiała sobie wyobrazić
to tylko półtusza, półdusza, ćwierć wygięta leży
Leżysz, o mój adoptowany wrogu, w mym zgnieceniu
w poprzek ułożony, wijący się, cały w lęku skąpany
Na kamiennej twarzy rysuje się wielka wzgarda
Nienawidzę twego umierania i tego, że inni umierają
umierają za ciebie, za twoje imię, wyznawcy władzy
przelewając cudzą krew, dają ci ofiary na ołtarzach
na stołach potępionych i prowizorycznie stawianych
Leżysz mi na kolanach, konając i bluźniąc wyraźnie
Połamane kości wrzucone na mą suknię potarganą
mogę z nich teraz wróżyć, układają się w rebus
Król wojny na moim łonie wygnieciony spoczywa
Wychudzone, sine dłonie wbijam, zaciskam
byś trzeszczał i chrzęścił, i odsuwał wzrok z bólu
w mym cmentarnym łonie poprzecznie ułożony
Wyrywasz się, bo nie chcesz tej kary ode mnie
To taki prezent dla mnie, że mogę teraz patrzeć
choć me oblicze skrzywione wepchnięciami
Oświetleni cieniem takim, nic go nie może dać
układamy się w kompozycje razem wygięci
gwałceni przez wzajemną bliskość i oddalenie
Długie włosy Bruny właźą ci do ust ślepych
ich falowanie powoduje twą sprofanowaną śmierć
żaden konserwator nie uratuje naszej antypiety
nie ma takich środków chemicznych
przerywających
proces wzajemnego niszczenia dwóch figur
do jednej pieśni zmuszonych, wepchniętych niedbale
w siebie

Pieśń dwudziesta dziewiąta. Fenrir schowany śpiewa

Czy mogę się dołączyć do tej grupy rzeźbionej?
Będę w tle, jako cherubin nadmiernie owłosiony
Wzbogacę ten układ nierytmiczny ślinotokiem mym
Zawsze ten dodatkowy aspekt i tajemnicę zawrę
byście tym bardziej byli zagubieni w szelestach
Wysiewam wam nowe słowa, które będą suszone
przechowywane na piecach kaflowych z boku
Pełznę do ciebie jako Fenrir wzywany przez siebie

Schowane jest wszystko we mnie, pod plandekami
pozwiązywane, nigdy przedtem nierozłożone
Podzespoły przewożone, niepołączone w całość
tajnie przechowywane, nocami przenoszone w dal
Choć nigdy nie byłem autorem śmiercionośnym
w głowie torturowałem stada tłuściochów pączowych
często przymykałem oczy, bym zaspy trupie widział
Zbierałem do mojej duszy wszelkie niegodziwości
Oto ja, nowy misjonarz, nowy Fenrir zmartwstańczy
unicestwię cię językiem, przykrościami nadziewanymi
unieszczęśliwię cię sobą słownie sto tysięcy razy
Fenrir mieszka w wynajmowanym wiecznie pokoju
jego głównym zadaniem jest niszczenie dookoła
Pulchne, różowe twarze niszczone są przeze mnie
Autor scenariuszów tragicznych objawiony wam
z misternie planowaną intrygą zaskakującą zawsze
To ja dobieram odpowiednie role plączące aktorów
Plączę ich kwestie narzucone tak, że się łamią
wpadają w depresje harmoniczne, leczą się mną
wpycham w nich mój jad w kształcie drogowskazów
po to, by na wieki zaginęli w odstępach leśnych
przywiązani przez siebie do drzew przy drogach

Jako drugie dziecko chłodnych rodziców tliłem się
Od początku, od kiedy pamiętam jedyne uczucie
nienawiść do wszystkiego dobrego
Cynicznie wykorzystywałem osoby bliskoznaczne
szybko zostałem z domu wyrzucony bezpowrotnie
Pracując w teatrze jako sztukmistrz reperujący
dorabiałem nowe elementy ze starych scenografii
manipulowałem ich starymi znaczeniami w nowych
w nowych premierach występowały historie dawne
Bardzo skomplikowaną i wyrafinowaną grę tworzyłem
Stół, na którym zapija się bohater, przerabiałem na kołyski
szubienicę zamieniałem na krzyże, a je na deski wychodka
Nikt mnie nie lubił, ale byłem bardzo oszczędny w pracy
potrafiłem detali używać setki razy, modulując, klejąc
Pozwalałem sobie z czasem na manipulacje aktorami
Przynosiłem im fałszywe informacje na patenach
oni wsysali je nieświadomie ode mnie, padali ofiarami
Ofiary nowego scenariusza, co ma ciemny grzbiet
W głównych rolach u mnie grały niegodziwości
Niektórzy wpadali w alkoholizm, inni się rozwodzili
aktorka odeszła na leczenie psychiatryczne na zawsze
Wtedy poznałem dziewczynę, posiąść ją chciałem siłą
Ona bała się mojego oblicza pełnego złości malowanej
uciekała ode mnie pełna histerii, nerwowości jakiejś
Nauczyłem się ją tak nienawidzić, jak nikogo wcześniej
myśląc o niej, spijałem leki uodporniające mnie na nią
gdy cały sczerniałem z gniewu w sobie, byłem gotów
Ona była śmiertelnie zakochana w jakimś jasnookim
Uknułem misternie tę historię tak, że ona nie wiedziała
Przez listy, przez przypadkowe rozmowy i oszczerstwa
powoli, konsekwentnie, przez dwa lata mych strategii
doprowadziłem ją do samobójstwa w zapomnieniu
Ma księżniczka nawet nie wiedziała, jaką rolę zagrała
na pewno by dostała masę głównych nagród za grę

Złoto za rolę pierwszoplanową u takiego reżysera jak ja
Drugoplanową rolę teraz miał zagrać mój brat rodzony
który zawsze był do mnie porównywany jako lepszy
Pewien czas mieszkał u mnie, miał kryzys z żoną
Przez tygodnie szczepiłem go nienawiścią i gniewem
ostatecznie zrezygnował z pracy, zaczął pić dużo
Widziałem, jak leżał zarzygany pod moimi drzwiami
prosił mnie o radę i wskazówki, o didaskalia
Starałem się jak mogłem operować go amatorsko
Zgodnie z przewidywaniami, planami, zabił żonę
w szale, w zazdrości wpadł do domu i udusił ją
tak jak mu to wcześniej ktoś szeptał do ucha, ktoś
Oskarżony o zabójstwo został skazany na 15 lat
Jego więc odłożyłem do mych zapasów na zimę
gdy wyszedł, nie zapomniałem o nim, zapił się
Tak mój byt niewidoczny, acz nadrzędny trwał
Doczekałem późnej, samotnej, dobrej starości
Na półkach mej biblioteki stały scenariusze
zwijały się ich strony z bólu, do brzuchów zwijane
Imionami je nazywałem, rozpoznając w nocy
Czytałem te albumy ze zdjęciami, podziwiając się
Fenrir skryty, Fenrir szary, już nie zapomnisz mnie
Do końca zachowałem wielką trzeźwość umysłu
Niewłaściwe narządy w niewłaściwych funkcjach
w trakcie operacji woreczka żółciowego, burego
niewłaściwe detale w nieodpowiednich miejscach
spowodowały całkowitą katastrofę w mym ciele
Mój uśpiony oddech się wytrącił, zbudziłem się inaczej
Czułem jakieś zagęszczenie spersonifikowane i wielkie
dałem się wszyć w smycz Jego, ciągnął mnie teraz
za te nici, których kiedyś używałem, niewidzialne ciągnął
zaciągał mnie z tego przydługiego spaceru do domu
Fenrir haftowany w detalach bolesnych zaczął się pruć
coraz boleśniej pozbywany swej ukrytej, bogatej sierści
Mój nowy właściciel wołał już do mnie w gniewie
Do nogi, głupi psie, gdzieś ty się podziewał, Fenrirze?

Pieśń trzydziesta. Waruj nam zawsze i wszędzie

Schowany, wkopany do najmniejszej skrytki
do budy powleczonej mą wściekłą śliną i włosiem
zaprawa cementowa z tak trwałych składników
Znalazł się właściciel, woła mnie po imieniu
Zawszony i zbity leżę, liżąc otwartość mą teraz
a mój język tylko drażni szorstkością najboleśniej
Oglądają mnie w klatce haftowanej ze smyczy
a nad nią napisane w czterech językach me imię
„Potwór Fenrir[18]*, któremu się wydawało, że jest wielki,*
że pisze oryginały, niszcząc swych tanich aktorów
A to wszystko były tylko adaptacje starego piekła

[18] *Fenrir* (mit. skand.) — olbrzymi wilk, który ma zabić Odyna w dzień Ragnarök. [przypis edytorski]

już wszyscy tak dobrze je znają, oglądali tysiąc razy
teraz to wszystko się nie liczy, a już haftować nim można
jego dusza włóknista jest i ciągnąć można nici z niego
możemy z jego sierści bolerka tkać, rękawice śniegowe
Kłębek w nim ściśnięty, więc wyrywajmy mu jego nici
tnijmy na długości włóczki do zawieszania nisko
bombek, cacek szklanych w kształtach nieznanych
Łańcuchami go złotymi obwiążemy, niech błyszczy
niech nam robi nastrój, niech będzie nastrojowo"
To wszystko w mym imieniu zapisane na wieki
z regularnością przychodzi sam właściciel, zbija mnie
bym nie zajmował swoim bytem zbyt dużo miejsca
Tutaj jest mieszkań przygotowanych jeszcze wiele
Będę coraz mniejszy, gęstszy, coraz bardziej unerwiony
niepodobny do żadnego człowieka ani zwierzęcia
Śmieją się teraz ze mnie, wskazują palcami mą dzikość
Oto cyrkowa atrakcja pod namiotem nieprześwitującym
Chodźcie, oglądajcie me potępienie, chodźcie i oglądajcie
Przez kraty tych słów wystawiam swój pysk gotowy was gryźć
Przez gęstą siatkę zdań się nie uwolnię, aby was pożerać
Ostatnie zdanie musi ostrzegać tabliczką przyczepioną do pieśni
na wszelki wypadek tabliczka, gdybyście ręce wyciągali do mnie
jest na niej nakreślone, że jestem zły Fenrir warujący w piekle

Pieśń trzydziesta pierwsza. Pejzaż wewnętrzny

Z głębokości swojej wołam do siebie, ni nawet echa
bruna trwająca w sobie sama oducza się już śpiewać
Już nigdy nie będę śpiewać, już nigdy nie będę mówić
już nigdy nie będę śpiewać, już nigdy nie będę mówić
Moje pejzaże wewnętrzne mnożą się niezwykle regularnie
niszcząc drobne odrosty, narośla tęskne i miękkie
Kształty zdają się wykrzywiać, układać w drastyczne chichoty
Żadna farba w paletach, żaden pędzel ni szmata, bez podłoża
Maluj się, maluj, bazaltowy wielkoludzie, idą po ciebie
maluj się w ostatnich pejzażach wewnętrznych, bo za chwilę
za chwilę nie będziesz mógł już nic mówić, z bólu układać
Twój język się zmiesza bardzo, język się zmiesza ze wstydu
Ostatnie to płótna, ostatnie obrazy malowane przed śmiercią
gdy drzwi się domkną, ścisną się one wokół ciebie na zawsze
zawiną się wokół, kneblując twe ujścia bramami piekielnymi
porosty będą się już tylko tobą odżywiać i gnuśnieć z bólu
będą tęsknić za niemożliwościami, za niespełnieniami słonymi
Dawne figury płyną teraz w koktajlach nieprzebranych
nie mieszają się ze sobą tak, że wyczujesz poszczególne smaki
Masy lodowcowe niosą ze sobą wielkie ilości śmieci i błota
Widzę jeszcze, rozpoznaję cyprysy szeleszczące, ścięte w sokach
Ulice nazwane imionami mych smukłych ofiar skręcają bardziej
Wielkie, puste ruiny zaglądają we mnie ciekawie, szukając nicości
lecz we mnie tylko przepełnienia zakończone moimi porządkami
Żywot tych materii portretowanych przedłużony przeze mnie
gniją one bez światła, bez wyciągnięcia się i drżenia na wietrze

gniją we mnie, nie znajdując pokoju, karłowacieją, burzą się pianą
Schody w głębiny zapraszają, wiją się, kruszeją pod stopami
W przymkniętych okiennicach pląsa lęk tłusty, wygląda z okna
oglądając mój pejzaż wewnętrzny, wykrzywia mocniej panoramę
Liguryjskie czerwone drogi powinny przecież prowadzić do celu
Wiodą mnie jednak na punkt obserwacyjny, na Punta Corvo
Czerwienie zagubione w błędzie uciekają po bokach
sklepieniami się one zamykają wiecznymi, zasłaniając nieba
zasłaniając nieba nienamalowane w mym pejzażu wewnętrznym

Pieśń trzydziesta druga. Punta Corvo

Sztuczne kwiaty czarnym plastikiem pachnące
schowam się w nich jako bruna i tam będę spijać
z ich rozżarzonych pręcików szafran krokusowy
Stąd będę obserwować panoramiczne niszczenie
Wyrzucają tu mnie padlinożerne, przyglądając się
Biegnę wciąż do tyłu, do tyłu uciekając przed nimi
tam gdzie są czarne wybrzeża i plaże rozszarpane
Dawne ujście rzeki Magry do morza jest wyschnięte
Punta Corvo nad przepaściami, ostatni kawałek ziemi
we wspomnieniu jej pylistości próbuję się zakopać
usypać sobie jakąkolwiek mogiłę, byle jak przykryć
Wleczona na pogubionych szczeblach kości swoich
wznoszę swój wzrok z wysiłkiem nieludzkim
Widzę z daleka miejsce dawnego połączenia wodnego
Koryto rzeki szerokiej wkopane odwrotnie
brzegi zakleszczone dawnymi okowami kalcytu
antykaniony imponujące na tle ciągłego zachodzenia
Zwapnione, zwątpione skały gną się w kierunkach oddolnych
Są prehistoryczne dowody na to, że kiedyś tutaj były granice
Wielkie katastrofy geologiczne oddzieliły tamami ujścia
Rzeka tłusta, kiedyś czerpiąca z morza, miała tu swoją deltę
te małe i większe dopływy miały swe imiona pradawne
Magra zawróciła swój kierunek, rodząc ziarno bolesne
od środka zatamowana, utracona z woli, w gniewie
kanał wyschnięty, w nim tylko szkielety udawały dawny nurt
Jakże to dawne czasy, w których jej dal rozpływała się w toni
Głębokie koryto wskazuje na dawne, odrzucone zależności
Pozostały jednak ślady w dawnych połączeniach wodnych
Teraz sztuczna substancja płynie, lustrami odbija kanciastymi
najtragiczniejsze szczątki po historiach rozsypane pod stoły
Zasłaniam swe oblicza z przerażenia tymi powidokami
Bagna wyrzucające z siebie nieprzetłumaczalne odchody
Nie da się o nich powiedzieć w żadnych językach poplątanych
Nie ma już tłumaczy, żeby tę starożytność zaklętą pojąć
Widzę w ostrości wielkiej wyciągające się plaże w dole
rozgrzane nienawiścią do oświetlenia nawet sztucznego
Szukają ofiar, zazwyczaj spadają one spychane z Punta Corvo
spadają one jak kwiaty wiecznie nieżywe i trwające
na dywany spadają, pod stepujące, pod jaskrawe stopy
tych, którym się udało zbudowanie tamy wiecznej
Odwrócone imiona strumieni, kiedyś wpływających

Dziś kanałami gnilnymi się zwą i ciągle się rozkopują
kosztem nadających się do tego dostatecznie twardych narzędzi
i w wiecznym, przekornym udawaniu swych głębin wabią
A tam jest tylko parę minimetrów płynu, a reszta to szlam
stoi, nic nie wytrąca jego chemii zawiązanej w sobie
Pływają w nich nieżywe istoty zatkane wiecznym tłuszczem
z przerażeniem obserwujące te dziwne pojemniki od środka
Wiem, że zostanę zrzucona zaraz pod ich stopy z tej skały
Będę leżeć na plaży wyłamana, gnieciona przez ich paradę
Będę leżeć na ich betonach, malowanych emulsją światłoczułą
Misterne to kłamstwo spowodowane odległością, że to nie plaża
w której zanurzasz swój ciężar, w miękkości jej odpoczywasz
To wszystko malarstwo iluzjonistyczne, wrażenie perspektywy
Te odległości też są niewielkie, wszystko ściśnięte w sobie
gnieżdżące i włażące na siebie, i rozpychane ostrymi łokciami
Jak to wszystko może się mieścić w tak małym punkcie?
Jego granice nierozszerzalne, tkane z włóczki ciernistej
Jeszcze wokół tych skorup wydrążonych boleścią i śmiercią
podąża wieczna procesja, pochód z wieloma uczestnikami
dawnymi głowami roztrzaskują się o nisko założone stropy
Rysują kontury, ściągając swym wzrokiem wszystko w pobliżu
wszystkie resztki wyobrażające sobie zbyt wiele
Rozciągane na krosnach niewyobrażalnych barwią sobą tkaninę
Spadam na kawałek mej twarzy, na beton, słyszę już ich tupoty
gęste, zbite w jednorodny pokaz siły, militarnych możliwości
w milionach egzemplarzy powielane, odbijane boleśnie
W kalcytowych zębach kruszą śmietanową porcelanę
z dawnej rodzinnej zastawy wytłukiwanej regularnie

Pieśń trzydziesta trzecia. Procesja

Widzisz, jak z dala posuwa się owe wygniecenie jednolite?
Robótki ręczne, szatańskie puszczanie oczek w szlakach
120 wzorów, by dekorować w procesji sztandary poprzerabiane
po nocach niszczone, w zakładach sztandarów liturgicznych
Nici drogocenne wywlekane, w nowe znaczenia je zaprzątające
Kradzione poduszki, obrazy przemalowywane na inną modłę
Guma spalona z opon zdartych bardziej pod naszymi stopami
Już trzymają wstęgi czarne od proporców wklejone na siłę
Oto występ, oto pokaz największych zbiorów kolekcji prywatnej
oświetlanej spontanicznie żyrandolami z kryształowymi łezkami
Rzeka Magra znowu wypełnia swój sztuczny, betonowy brzeg
Polarna malina na ustach śpiewaczek zgnieciona w mękach
Na dawnych strunach głosowych grają już inni, dostosowując się
Otwarte na roścież złamania kurtynami się kłaniają przed Wijem
Trzaskają nieznanymi instrumentami, ni z dźwięków, ni z nazwy
Trzymają proporce połamane, sklejane klejami kostnymi
Niosą sztandary prześmiewcze na wymiętych kręgosłupach
Tańczą, wykrzywiając swe dusze kolorowe, ludowe, osty
Zakreśla procesja kręgi siedmiokrotnie, zawracając szybko
Należy przecież uzewnętrzniać uwielbienie dla Albinosa
zapewne jest on bardziej pociągający w grubych szatach
Oni są z obrazów pociętych, ze słów, ze zdań ściegiem skręcanych.
jeszcze bardziej skołtunione, pełne warkocze wiszą, brzemienne

Nie chciałbyś ich wziąć w ręce, oceniając ciężar zaraz po śmierci
one z Jego skórą się łączą, zwinięte w sobie cierpienie noszą
Związane są z nim jak gumką do włosów, on ich splot utrzymuje
W klatkach niesione potwory mogą swe dusze pokazywać w procesji
rozciągane przez te, którym zawdzięczają pokusy nieodparte
Wyciągają je teraz jak szarfy czarne w szeregach, szturchając się
każdy chce je przez chwilę ponieść i pochwalić się zdobyczą tłustą
którą można dopasować, uświetniając adorację mistrza ceremonii

To jest ta część procesji, która skręciła w niewłaściwym kierunku
samozwańczo ogłosiła swe centralne uroczystości wokół siebie
Ludowe karykatury wyciągały się w przekłamaniach liturgicznych
Szli pielgrzymujący pod przewodnictwem samego grotowłaza
a uczniowie jego, podczas procesji wykonywali śpiewy orientalne
deklamowali, wygłaszali biblijno-dogmatyczne kwestie, dialogi
Można na nich wiecznie pasożytować, czynić ich sobie poddanymi
Przebierani za aniołów czy świętych, nieśli insygnia królewskie
formowali żywe obrazy z historii potępień, zniszczenia, łamania
Udział w procesji, pełnienie określonej funkcji było powodem bitwy
posiadające imiona grzeszne, walczyły ze sobą zaciekle
Do procesji włączyło się wojsko, ono zawsze wieńczy uroczystość
Wypluta hostia znów stała się waflem o smaku rybnym
Baldachim tkany z włosia arystokratek i urodzonych szlachetnie
wyrywany im siłą, gwałtem zdobywany od tych bóstw wyniosłych
niesiony w szaleńczym tańcu przez sześciu pojawiających się
To wszystko miało monstrancję w czekoladzie rozpuścić
ciągle deformować jej ślady, kształty, dawną pamięć
Te niewypały miały straszyć wybuchami pirotechnicznymi
litanie, aklamacje, psalmy, hymny, antyfony, responsoria niszcząc
tępiąc wszelkie ślady po morskich i podwodnych wędrówkach
Bojówki faszystowskie zadbają o wszelki szczegół obchodów
obiją wszystkich, że jęcząc, będą chórami zastanymi w tłumie
Ze mną leżą inne kwiaty wysuszone pod ich stopami szerokimi
Nie znam ich, lecz wydają się przypominać mój układ dawnych żył
Czarną gerberą jestem teraz, zmiażdżoną przez maskarady
Procesja ich jedyną rozrywką w małym, przyciasnym miasteczku
gdzie miliardy gwiazd giną razem z kwiatami rzucanymi im
przez tych, co zwiędniętymi łodygami ciągną ciężary własne
Mielone kwiaty tysiąckrotnie, by zniknął zapach kadzidła świętego
którym kiedyś były napełniane, którym pachniały, kusząc piekło

Pieśń trzydziesta czwarta. Wij

Przed tak strasznym sakramentem padajcie wszyscy wraz
Wije się ten najdłuższy, ściągając do siebie wszelkie prucia
Wszelkie zło mu się przynależy w medalach właściwie
osnową to jego trzonu, ciągle snującego się wokół swej osi
Straszliwe to jedwabniki snują jego zapętlenia wygodne
Ciągle się nimi obwija, by swą dawną tuszę odzyskać
Ściąga ze świata włóczki wielobarwne, posiadające grubość
siniacząc nasze tyłki, krwotokami nadziewając pożegnania
Ma w posiadaniu wielkie skarby i konta multiplikujące się
Gardząc wszystkimi, wychodzi z torebką, w której ma złoto
w kieszonkach najdrobniejszych kradzieże dawne

Wije się, wije, ściągając swe fałdy po dawnym duchu
Teraz zbiera i zmiata wszystko skrywane i grzebie w tym
z zegarmistrzowską precyzją wydłubuje z nich, chrupie
Jego pusta twarz odbija tylko najstraszniejsze wizerunki
jest wśród nich cała galeria postaci, gestów do przymierzenia
Wielkie wypukłe lustro wkuwane w niego, błyszczy innymi
Wielkie cielsko jaka futrzanego z soplami po bokach nadciąga
Z daleka ściąga najstraszniejsze filmy wideo, oparte na faktach
Chce każde sekundy rozciągać w nieskończoność skończoność
Wygrzebany wędruje ciągle przez świat, posyłając mrówki
Zmielony chochoł nadciąga burzami, krzykami w wyładowaniach
Diagonale go zapowiadają w swych złamaniach i zatraceniach
kierunki błędnie wyznaczone po to, by wpaść w doły
Słyszysz, jak szoruje swymi stopami, płaty skóry opadają
Wielość jego naskórków niezmierzona, w głąb tylko szelesty
Pozostawia po sobie zawsze te same ślady pachnące utwardzaczem
Zbija zeszpecone, dawne piękności, twarze podrzucone mu pod
Jego rozpacz skryta pod głębokimi szatami, szatanami narzuconymi
Pewnie najlepsi krawcy zszywają mu te silikonowe odlewy cierpienia
w jedne masywne, kinetyczne stroiki, brzęczące wokół jak kastaniety
Co za zręczność ciągłego przeskakiwania wobec regularnej krytyki
to chyba jednak są ruchy w tańce zakluczone, a choreografia tajemna
Bogactwo niezliczone obciąża jego tren ciągle gubiący się, zjadający się
W koszykach z supermarketów mu przywożą nowe ciężary z karmelu
ciągle w nowe formy roztapiane na podwieczorek dla kolegów
na posiedzenia rady zarządu spółek z ograniczoną odpowiedzialnością
gdzie rozsiada się w fotelach zestawionych z ławek kościelnych
Drzwi dwuskrzydłowe trzeba poszerzać dla niego na trzy skrzydła
Asystentka jego, wielka nierządnica — ma napisane na wizytówce
Wszystkie narzędzia biurowe drżą, zwiastując nadchodzenie
dusze skulone jeszcze bardziej odwracają się od niego
szepcząc zapomniane paciorki, na które za późno w środku nocy gęstej
Omota wszystko swą architekturą z najtańszej blachy falistej
skręcane rdzewiejącymi śrubami deformującymi do oporu
Witaj nam, wielce nieurodzajny, skradający się powłóczyście
w najgłębszych jaskiniach zdobywałeś swe liczne blizny
lecz wśród brudu i futer zdzieranych masz tylko tanie drobiazgi
Oto śnieżne rękawiczki na przydługie palce, uszyte na zamówienie
Śnieżne uśmiechy, które jak guziki trzymają tłuste warstwy ze sobą
zwijają się ciągle, utrudniając jego chód, czyniąc go strojnym
Któż odpowiednio przywita takiego niespodziewanego gościa?
Bajaderowy jego bałagan, zalewany wielokrotnie Cointreau
w końcu jest on wybitnym specjalistą od organizacji tego typu eventów
W scenografiach piekielnych cateringi z jego łojów odzyskiwanych
w formie koreczków podawane, szczelnie się można nimi zatykać na zawsze
Niewierni słudzy w gnilnych wieńcach, zabierający sobie jego skrawki
łamią się nimi jak opłatkami, z jego skór wężowych, sezonowych
wkładają je potem do wisiorków i niosą jak medaliki bluźniercze
Przed tak strasznym sakramentem padajcie wszyscy wraz
marszcząc swe twarze w loki na podobieństwo do splątanego sobą
splątanego swymi niezwykle skomplikowanymi fryzurami
kształty wieży Babel, murów dzielących, krat więziennych układanych
Solidne są te sztuczne włosia, bardziej wytrzymałe niż naturalne
Przesuwając się prawie majestatyczne, drąży za sobą koryto rzeki
w której morskie tętniło życie, które zmarło wskutek oszustwa
i wycieku ropy skrytej pod jego powiekami przydługimi

On spowodował katastrofy tankowców, dryfujących kiedyś
żeglowały po morzu jako możliwe li tylko ładownie nieoclone
Z ich czarnych dziur wylały się nieczystości na odcięte tereny
po których Wij przechadza się jak w dawnym raju, podziwiając się
ciągle od nowa podziwiając swój wlokący się czarny masyw górski
Spod T-shirtu wychodzi mu kark owłosiony krecim futrem
woskowanym wielokrotnie, wielostronnie

Pieśń trzydziesta piąta. Pieśń Wija

chóralnie ludzkim głosem
Padnijcie na kolana, pozdrówcie z piekła Pana, w pląsach
Z tłustą falą me ćwierkanie zalewa wasze gardła pąsowe
Czyż ktoś jest większy z was ode mnie, niech teraz wystąpi
Wszystkie dusze wasze nie potrafią pełzać tak jak ja, uroczo
Pan wielkiego majestatu, król nad króle wasze, nad królowe
Na wszystkich scenach świata mam przystawione mikrofony
wzburzając tłumy do pieśni wojennych oraz ekstatycznych
Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy spragnieni mych gron jesteście
ja was przyjmę i dam wam władzę na ziemi, nad latyfundiami
nie wymagając od was żadnych męczeńskich gimnastyk, rozdaję
Chcę zarobaczyć te wasze mleczne spojrzenie, różowe policzki
zanim poznacie mą wijącą się naturę, opisującą się na sobie
Pulchne cherubiny ludzkie, zniszczę te nóżki przebierane
W czerniach, szarościach lub tęczach barwnych, przyjdę do was
Znam ja te wszystkie wyrażenia nagradzające i usypiające
aż raz niespodziewanie zdarzy się wam śmierć jak deszczowa pora
Posypani proszkiem do pieczenia wzrośniecie wysoko, potem w dół
strzepnę te wasze sztucznie wyciągnięcia, och, zakalcami będziecie
Podziwiajcie, jakże wielką nienawiścią was darzę w systemie ratalnym
Ja także, jak bóg, rozlewam się, żerując na waszym rozgnieceniu
Na waszych zemdlałych, zaśluzionych pyskach karpiowych składam całusy
szukające powietrza, łapcie rytmicznie śmierć w swe oskrzela płaskie
Pan wielkiego majestatu głosi dziś całemu światu śmierć
W mych ustach wieczna wzgarda, a w środku lepiej się nie pytać
Lepiej o to nie pytać mych ministrantów i padlinożernych dostojników
Oni nawet nie podejrzewają, z jakich głębokości nigdy nie zawołam
tylko antypsalmy wyśpiewuję, bawiąc się ich odwracaniem
Widocznie jestem nowym typem psalmisty, Dawida charczącego
wzbudzając w sobie Saula gniewnego, niszczącego instrumenty
Śpiewam po to, by niweczyć śpiewanie, to taka błyskotliwa gra z poezją
Któż za to mi wręczy nagrody doroczne z okazji dożynek wojennych?
Któż mi wypisze dyplomy uznania dla mych innowacyjnych rozwiązań?
Cóż mi dacie na pamiątkę waszej śmierci, wazony kryształowe
bombonierki zapakowane w wasze nekrologi ze wstęgami
wieczny odpoczynek racz mu dać, czarny Panie, będziecie śpiewać?
Sami wbiegacie w me pachy kudłate, uciekając od Niego
Poczęstuję się waszymi bombonierkami, zjadając wszystko
i was
Oto królestwo uczynione na znak rozliczenia administracyjnego
Jaskinia Sezama, gdzie tysiące rozbójników ciągle się tutaj chroni
Głazy-płazy pilnują wejścia do tego pałacu, tylko ja znam hasło
Na hasło te uchylają się szczeliny i można skraść coś z ziemi znów
porywać was do worków jutowych, przewozić nocami zaklętymi

Przed oblicze przychodzicie sami, szepcąc w lęku swe imiona dawne
nadawał wam inny te imiona, emanuele męskie, nutelle żeńskie
Ja was wytapiam, na me płaszcze, na jesionki w słodkich odcieniach
potem przejdę się w nich po centrach handlowych, powodując zazdrość
Po centrach świata przechadzam się, dzieląc was
jaśnie oświecony, faszystowski gla-mór
prawie morelowy

Pieśń trzydziesta szósta. Piesń Wija do bruny

solo
A któż tu leży pod naszymi stopami? Tak, tak, już cię rozpoznaję
Czyż to nie jest brudna bruna i cóż, me dziecię, powiesz mi teraz?
Więcej grzechów nie pamiętam, za wszystkie bardzo nie żałuję?
Klęknij, szepcz, szepcz mi, coś złego uczyniła, o niebiańska córko?
Przybliż się do mnie, niechże cię zobaczę, niech cię trochę poznam
Wezmę cię na ręce i rozgrzebię od środka, zobaczymy, cóż jest
Odkryjmy jeszcze, cóż za pozostałości masz w swym gardle
w śladach twych dawnych oczu rozczytuję pokrewieństwa inne
skryły się one za bruną, za tym kawałkiem rozpryśniętym w dal
Więc jak to tam było z tym pryzmatem na początku, gdzie reszta
czyżby się dostały w szpary wiekuiste inne niż nasze arkady?
Dawna bruna uciekała przed oblubieńcem w drodze na Miąskowo
najmocniej odpryśnięta, zawlekła się do grobowca rodzinnego
ponieważ za życia była pieprzniętą królewną, dzierżyła władzę
to teraz trzeba ją w odpowiednie szaty ubrać, w płaszcze purpurowe
Ten zestaw z płaszczem udręczonym podoba mi się, mój ulubiony
Zawijam cię jak ochłap po reszcie, która jeszcze pachnie w tobie
Nawet nie wiesz, jak żałosne jest używanie tak słabego języka pieśni
Gdzież jest twoje rodzeństwo, gdzież są Blu i Bianca skruszone?
Dlaczego nie przyprowadziłaś ich do mnie, dlaczego nie oszukałaś ich
wabikami, drzwiami wiecznie uchylonymi do mych komnat z ciepłem?
Och, jakże ja nienawidzę tych kolorowych kształtów ludzkich główek
Błękitne, białe i brunatne wzory podzielone wobec niego, no, no, no
A gdzież jest ta nasza piejąca pieśni, ja także chciałbym się jej ukłonić?
Została mi z polowania tylko bruna, już ja ją odpowiednio nauczę
Chce śpiewać, niech śpiewa, oto włożę w jej usta wielkie ciężary
Po cóż mi taka gerbera pod me łożysko, na co mi ten śmieć brunatny?
Widzicie, jak muszę wachlować się cytatami, jak uczony w piśmie
Myślałaś, że nie dostrzegę ułamania po innych w tobie?
Będziesz więc potrójnie po nieobecnych częściach cierpieć
jeżeli możliwe jest trzykrotnej mocniej cierpieć tutaj
a tu mi właśnie znajomy podpowiada, że jest dawka trzykrotna
czeka właśnie na ciebie, oczywiście, że jest możliwe dla ciebie
wszystko jest możliwe, nie ma rzeczy niemożliwych dla mnie
doprawdy, co za brawura czynów, do prawdy od prawdy
Jak widzisz, mam zacięcie do muzyki i słowa, niezwykle uzdolniony
Towarzyszy mi ciągły nadmiar kropek zakańczających te białe wiersze
Pozwól więc, że zlepię cię mocno w zakończenie interpunkcyjne
zatrzasnę cię w tobie z okazji tego niespodziewanego finału
ciągle zakończając się, pozostaniesz na zawsze znakiem zamazanym

w środku zamazanym swoim własnym kolorem, który tak lubisz
Arriwe' derczi, bru' na

Pieśń trzydziesta ósma. Pieśń interpunkcyjna bruny[19]

rondo

na końcu nie ma kropki
na końcu jest przecinek
na końcu nie ma kropki
na końcu jest przecinek
na końcu nie ma kropki
na końcu jest przecinek
na końcu nie ma kropki
na końcu jest przecinek
na końcu nie ma kropki
na końcu jest przecinek
na końcu nie ma kropki
na końcu jest przecinek
na końcu nie ma kropki
na końcu jest przecinek
na końcu nie ma kropki
na końcu jest przecinek
na końcu nie ma kropki
na końcu jest przecinek
na końcu nie ma kropki
na końcu jest przecinek
na końcu nie ma kropki
na końcu jest przecinek
na końcu nie ma kropki
na końcu jest przecinek
na końcu nie ma kropki
na końcu jest przecinek
na końcu nie ma kropki
na końcu jest przecinek
na końcu nie ma kropki
na końcu jest przecinek
na końcu nie ma kropki
na końcu jest przecinek
na końcu nie ma kropki
na końcu jest przecinek
na końcu nie ma kropki
na końcu jest przecinek
na końcu nie ma kropki
na końcu jest przecinek

Pieśń trzydziesta ósma. Rysunek III

Zagadka rysunku trzeciego przed nami
którego punkty nie tworzą żadnej całości
Wszystkie linie rysunkowe zwiędły

[19] *Pieśń interpunkcyjna bruny* — w druku wiersz ten przyjmuje kształt koła o 32 szprychach, ktore stanowią wersy, pustego w środku. [przypis edytorski]

jak je połączyć ornamentami w czytelny rysunek?
Poprośmy, może ktoś z widowni nam pomoże
może komuś uda się to, uda się to uczynić ręcznie
zgadnąć cokolwiek z domniemanego rysunku
Trzy szkice w teczkach woskowych noszę
spoglądam sobie na nie czasem nerwowo
Próbowałam łączyć te paprochy, te zabrudzenia
w solidne całości, ale umyka wszystko śpiesznie
Tych gwiazd w żadne gwiazdozbiory nie złożysz
umieralność ich największa w przestrzeniach
Z trzecim rysunkiem były same problemy
wpierw został zgnieciony, potem zapomniany
Kryję w spoconych dłoniach jego przechowywanie
Oto rysunek niemożliwy, lękliwie uciekający
uciekający samochodami dalekobieżnymi w dal
Rysunek rwie się, napinany do granic nieprzekraczalnych
lepi się do wszystkiego, pieczętuje swoją obecnością
Me pisaki są tu porzucone, wielki śmietnik ustników
W ogniu pieśni zakrywają swe śpiewne oblicza przed sobą
wobec tego brunatnego nowotworu tu ulokowanego
Paczki dobrze sklejone dochodzą do piekła w trzy dni
Mamo, prześlij mi, proszę, te ciepłe kapcie uszyte z wełny
do grobu prześlij mi je, bym mogła szurać po parkietach
woskowanych na wysoki połysk z okazji śmierci wiecznej
Rysowanie rozpada się mi w rękach, one też się rozpadają
Nic tu nie bywa odcinkami, odległości uciekły zawstydzone
Już w sumie próbowałam ciężki rysunek nanosić na ziemię
za pomocą schodołazu, chodzików dziecięcych, starczych
za pomocą swych niewidocznych podpórek szkicować jakiś kres
wszystkie były pokryte białym aksamitem i czekoladą
tym bardziej były luksusowymi materiałami plastycznymi
Patrzę przez ich nieszczelne struktury na mą słabość
na moje potykanie się, czołganie ze wzrokiem ku ziemi
Chodzę z głową gniecioną do dołu, przyglądając się wykopom
Te linie prowadzone na końce jak zagony gnilne, zmrożone
rytmicznie i równo rozkopywane ze znikomymi śladami pulchności
Zagony rytmiczne umykają teraz już pomału, w zaciemnieniu
zachodzą z blaskiem słońc schowanych za horyzontami
liniami się w nas wrysowują, dzieląc nas ozdobnie w okolicach zera

Pieśń trzydziesta dziewiąta. Domknięcie Piekła

Zasklepiane odwierty kiedyś będą powłokami niebieskimi
Nigdy nie roztopi piekła morska fala, nie zmyje jej gęstości
W naszym DNA same dna stukające posadzkami śliskimi
Rozwleczeni jesteśmy między smakiem curry a rozmarynem
peklowani suszonymi psalmami, one ułatwiają trawienie nasze
Potępienie dusz schowanych pod kamieniem zostanie na koniec
zakleszczą się wtedy wszystkie zamki samozatrzaskujące się
Gdzieś w bielach będzie więc krążyć ziarnko maku słodkiego
ziarnko piasku wulkanicznego z lawy gniewu spływającego
Ziemia rozpadnie się na brzegi, połamana różnie wobec morza

Pozostaną również odpryski ostre, odrzucone przez falochrony
Rzeźby dekoracyjne w miał się roztopią, kolory spłowieją
ustąpią kłaniając się niewyrażalnemu, nadchodzącemu
Będą mu tańczyć zupełnie nowe tańce, on je nauczy
Wszelkie cukry roślinne i zwierzęce zostaną skarmelizowane
Świat znów pachnieć będzie nowością, jeszcze opakowaniem
Będziemy podziwiać pieśni tak piękne, że dzięki nim nie będziemy
Wtuleni w ich kołyszące łona, oddychając sobą wzajemnie
Uszczelnione piekło sklei swe dziury, nie ucieknie żadne ciepło
Już nie będzie męczenników, jak warzyw na rynku wildeckim
Nie potrzeba będzie poświęcających się ludzi, jak selerów
Leżą oni wygrzebani z ziemi, zmarznięci z przylepioną ceną
ceną zawsze w jaskrawym kolorze zdradzającą ich zemdlony odcień
Płacz zostanie zniweczony płukanką z leczniczych ziół święconych
Znów spojrzymy na siebie, nie patrząc na naszą nagość niezgodną
na nadrzędność zdań wielokrotnie złożonych, na ich podrzędność
Rozbiory gramatyczne światów prawidłowo ułożonych w bukieciki
rozwiąże je cicho spokojny rytm przypływu, którego nikt nie zauważy
Niektórzy, zapomniani prorocy jedzący szarańcze jak chipsy, zrozumieją
Będą podnosić nieco swe głosy i narażać się na śmieszność wobec tłumu
Nikt nie uwierzy im w ich śmierdzące morzem słowniki
w kieszeniach mają owoce morza, ostatnie daniny na ołtarz ofiarny
Będą wyrzucani poza bramy miasta, a tam zajmą się hodowlą
agroturystyką z możliwością kąpieli w słonej wodzie
w parkach jordanowskich oblewanie się chrzcielną wodą
Wokół nich zwierzęta kręcące się, spokojne ich obecnością
wtulone w siebie, cicho pomrukujące ze szczęścia
Nie spotka ich wstyd ukryty, głowy zanurzać będą w miskach
W tej wodzie nie słychać odczytów i prelekcji dydaktycznych
tylko szum jednostajnie potencjalny w dźwięki dochodzące
Kwitnięcie inne nastąpi, nieskalanymi pąkami będziemy
Wszyscy święci wtedy powiedzą: no nareszcie się kończy świat
całe szczęście, że kończy się świat przed filmem o 20.00
Załóżmy więc okulary przeciwsłoneczne, teraz porażeni będziemy
te światła nawigacyjne mają niezwykle silne, krągłe pola rażeń
Finalnie podnoszę wzrok ponad siebie, wspierając się na łokciach
Znów te refleksy, wyznaczające mi początek, pojawiają się w kątach
te światła zwiastują zagaszanie mych śpiewów przed porankiem
Jutrznia już niedługo, dnieje mleczne światło w ciemnych ujściach
gdy przebudzę się, w mych ustach pozostanie kwas mlekowy po śnie
wiecznym

Pieśń czterdziesta. Końce końców

Chodźcie do mnie wilki szaleńczo szare
nakarmię was pomyjami po ucztach trzech
Wpychajcie w swe pustki wielkie kęsy
ja będę was głaskać, korzystając z nieuwagi
Na koniec zawsze jest najwięcej jedzenia
na mych obrusach tak wiele pozostaje
Przyjdźcie do tej, co ciągle się rozdrapuje
Rozdrapuje swe zrastające się usta do śpiewu
z nieśmiałości zrastające się, z lęku, z pychy
Oto przechodziłam między podwojami tajnymi

twarz może przez to bardziej blada i wysuszona
Teraz unikam swych odbić w szkłach dekoracyjnych
w ich połamanych ornamentach widzę potępienie
Oblubieniec za górami i lasami brzozowymi
a ja palę papierosy, stojąc znów na trzech nogach
Stoję w oknie nad brzegiem morza, wypatrując powrotu
Wszystkie trzy nogi już mi drętwieją przez me pozowanie
Ciężarna jestem wobec pieśni pęczniejących w przełyku
Po cóż przechodzić szlakami mglistymi przez lasy?
Po cóż przechodzić szlakami mglistymi przez siebie?
W pojedynku pojedynczo ciągle jesteśmy zagubieni
między kopytami porzucamy się na chwilę, na momenty
Świadoma relacji barwnych i praw kontrastów jestem
ciągle rozstrzygana, rozstrzygająca się w wielobarwności
Przebiegając przez przebieralnie mnogie, w pędzie pochwycę
w pędzie pochwycę werdykty w kopertach, skradnę je
W najświętsze wedrę się, ukradnę te werdykty potępienia
Mój śliniak już cały mokry od opowieści uciekających
Pogubiłam me wdzięczne diademy, dostojne dodatki
całą biżuterię wyjściową na błądzenia ślepe
Czyż nie jestem piękniejsza, bo potłuczona i naga?
Wytańczę sobie kształt grobu
będę w nim mogła się pomieścić z mymi zapasami
ze zbiorami słów i obrazów zupełnie bezcennych
Nie kładź więc na moje oczy monet dla przewoźnika
dla tego niewidocznego taksówkarza z czarnym uśmiechem
Chomikowe policzki napełnię pieśniami, będę je jeść
gdy chlebak pozostanie pusty i bidony wystygną
Wtedy złożę z nich kadzidło, złoto, mirrę dla przestrzeni
dla przestrzeni pytających, zostających w wolnym oddechu
Teraz szukam swego podobieństwa znów, lecz trzy echa słyszę
milkną z wolna dźwięki wysokie, niskie
wyskakują jeszcze przede mnie, bym sobie laurki sama sprawiła
Laury pachnące na wieczną pamiątkę śmierci moich potakujących
Potakujące śmierci zgadzające się na datę i godzinę zgonu
Ja, Lacrimosa wątła, wychodzę więc z mroku głębokiego
może jakaś barwa wychyli mój kształt z czerni i zabierze mnie
w kolejne długie historie, ciągle wijące się fraktalami, winem
Pomyśl, jakże przedziwne są smaki tych koncentratów
koncentratów z niemotyli z pierwszego, z drugiego tłoczenia
które wylewają się, burzą, rozwalają wszelkie pojemniki
do przechowywania naczynia rozwalone na trzy części
Rozwalają się porcelany z dożywotnimi gwarancjami trwałości
Jakże to wszystko niepraktyczne i najpiękniej niedokładne
lepienie z niebytów piętrzących się, przy bytach rozrzucanych
Kimże jestem teraz, gdy siedzę na kanapie, spijając ostatnie nuty
kokosowym starcem, karuzelą made in Purgatorium malowaną?
Może jestem w brunatnym wbiciu ciast ciągle się przypalających?
Segregując odpady do trzech koszyków, ciągle przymrużam oczy
Mrużę je, by być sędziną zaprawdę sprawiedliwą i litościwą
Jakże niepurpurowe są me szaty, lekka biel łasi się do mnie
Wszystko znów zabiorę do siebie, zlepię grzbiet zbioru pieśni
Musi być on tłusty, chroniący przed wiecznością uczulającą
mało ciągle na jej temat w miarę szczegółowych przewodników
Nikt nie wskaże nam odpowiednich linii autobusowych, nazw ulic
Nie przeczytamy na miękkich okładkach, jakie są ich przywitania

jak należy mówić i jakie gesty wykonać, nie obrażając ich?
Nieśmiało spoglądam, wychylam się na palcach, chcąc dojrzeć więcej
bujam się w mej niepewności, pewności dalszych panoram
bujam się w sobie, balansując, przekornie wychylając się na boki
bujam się, wyśpiewując pieśni poranne, zlepione jeszcze z nocą
Wtedy me oblicze znów się rozjaśni, znów rozpoznam kształty
które umiem dobrze nazywać po polsku i włosku i je rysować
Potrafię je jeszcze narysować swym spojrzeniem, więdnącym
Rebusy przywrócą swą rozpoznawalną treść schowaną
Roślinność na parapetach systematycznie odżyje
całkowicie zdziwiona mą pamięcią i troską nagłą
W głębokich tłach scenografii będę jednak dostrzegać te niebyty
wycofają się, ustępując temu imiennemu, foremnemu
Ruszę na zamorskie wycieczki przepełniona ekwipunkiem
Zatęsknię do brzegów oddalonych i pójdę na plażę się skremować
Chłodne rozmycie opłucze mnie i pochwyci mnie dla siebie
Teraz rozrzucam wam kropki na końce jak confetti czarne
Cieszmy się więc, posypujmy nimi na zakończenie piekła
tam tkwią wszystkie zakończenia, same końce właśnie tam
spalone ich lonty, kruszące się ciągle na obrusach odświętnych
płaczliwy wosk zaświadcza o ich winie i wysokim płomieniu
nie pozwoli im na jakąkolwiek restaurację dawnych pomników
Znów zęby się pokrywają zniszczeniem wyśpiewanym
Trudny jest ten śpiew odepchnięty, kłócący się ze sobą jednocześnie
śpiewać już nie chcę tak straszliwego udręczenia wypluwanego
Zamykam piec nastawiany na temperaturę ciał ich własnych
Odchodzę, łapiąc swój oddech znów w naturalną rytmikę
Zamorskie krainy wabią mnie swymi smakami nieznanymi
Powinnam się więc pożegnać ze wszystkim słowami znajomego
Arriverderci, brunatni z chwilowymi przebarwieniami ku Bogu
Kazalnicę mą żelazną ominęłam z daleka, nie wznosząc głosu ponad
gdyż moja brunatność oczywista, zęby połamane na pieśniach
co je licznie przed wami wywlekałam, ich kwiecistości zawiłe
Moja ucieczka przed detergentem zaczyna się dopiero
Znów rozgorzeje bitwa na śmierć, na życie, o światłocienie
bitwa o przynależność do zbiorów, określających się wciąż na nowo
Układy współrzędnych z osiami, z ościami, on znów będzie zerem
Podmywa stopy, jasność gruntu i uzębienia spłukuje
Przedostaje się tajemnie przez przerwy między wyrazami
aby podczas nieuwagi głaskać mój biało-czarny grzbiet.
Nadchodź więc i zakończ mnie, zakończ mnie sobą
wyznacz mi wielość nowych początków, na końcu.

Pieśń ostatnia. Czarne confetti

.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....

.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....
.....

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/rolando-biala-ksiazka

Tekst opracowany na podstawie: Bianka Rolando, Biała książka, Wydawnictwo Święty Wojciech, Poznan 2009.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl). Reprodukcja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopeć, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Kozioł.

ISBN 978-83-288-5235-8

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.